

Stara baśń, tom pierwszy





Ta lektura, podobnie jak tysiące innych, jest dostępna on-line na stronie wolnelektury.pl.

Utwór opracowany został w ramach projektu Wolne Lektury przez fundację Wolne Lektury.

JÓZEF IGNACY KRASZEWSKI

Stara baśń

POWIEŚĆ Z IX WIEKU

TOM I

I

Poranek wiosenny świtał nad czarną lasów ławą, otaczającą widnokrąg dokoła. W powietrzu czuć było woń liści i traw młodych, złanych rosą świeżo w ciągu kilku takich poranków z nabrzmiałych pączków rozwitych. Nad strumieniami, wezbranymi jeszcze resztką wiosennej powodzi, złożyły się łotocie¹ jak bogate szycie na zielonym kobiercu. Wschód słońca poprzedzała uroczysta cisza — tylko ptastwo zaczynało budzić się w gałęziach i niespokojnie zrywało się z noclegów... Już słychać było świergot i świsty, i nawoływania drobnej drużyny. Wysoko pod chmurami płynął orzeł siwy, kołując i upatrując pastwy na ziemi. Zawiesił się czasem w powietrzu i stał nieruchomy, a potem dalej majestatycznie żeglował... W borze coś zaszeleściło i umilkło... Stado dzikich kóz wyjrzało z gąszczy na polankę, popatrzało czarnymi oczyma i pierzchnęło²... Zatętniało³ za nimi — cicho znówu.

Las, Świt

Z drugiej strony słychać łamiące się gałęzie, zaszeleścił łos rogaty — wyrżał, podniósł głowę, powietrza pociągnął chrapami — zadumał się, potarł rogami po grzbiecie i z wolna poszedł w las nazad⁴... I znówu słychać było łom⁵ gałęzi i ciężkie stąpanie.

Spod gęstych łóz⁶ zaświeciło oczów dwoje — wilk ciekawie rozglądał się po okolicy... Tuż poza nim, położywszy uszy, pierzchnął przelękły zając, skoczył parę razy i przycupnął.

I milczenie było, tylko z dala ozwała się poranna muzyka lasów... Trąciło o nie skrzydło wiosennego powiewu i gałęzie grać zaczęły... Każde drzewo grało inaczej, a ucho mieszkańca puszczy rozeznac mogło szmer brzozy z listki⁷ młodymi, drzenie osiczyny⁸ bojaźliwe, skrzypienie dębów suchych, szum sosen i żałośliwe jodeł szelesty.

Szedł wiatr, stąpając po wierzchołkach puszczy i głośniejsze coraz odpowiadały mu bory, coraz bliżej, silniej coraz muzyka grała pieśnią poranną.

Ponad lasy płynęły zarumienione chmury jak dziewczęta, które się ze snu zerwały zbudzone i uciekały, czując, że obcy pan nadchodzi. Szare zrazu niebo błękitniało u góry, poślaczało się u dołu; obłoczki białe jak z rąbku obłonki pościeli rozwiewał wiatr po lazurach. Słońce strzeliło promieniami ku górze... Noc uciekała. Widać było ostatki cieniów i mroków roztapiające się w dnia blasku. Nad strumieniami i łąkami jak dymy ofiarne zakipiały pary przejrzyste, ulatując z wolna ku niebu i ginąc w powietrzu. Ukośne promienie słońca ciekawie zaglądały w głębinę, śledząc, co się przez noc rozrosło, zazieleniało, wykwitło.

Razem z szumem lasu zawtórował chór ptaków — wszczął się gwar wielki... Ożyły w świetle łąki, zarośla, puszcze i powietrzne szlaki — wracało życie.

Ptak

W promieniach wirowały, zwiąjały się, kręciły niespokojne skrzydlate dzieci powietrza, coś szczebiocąc do siebie, do chmur i do lasów.

Kukułki odezwały się z dala, dzięcioły kowale już kuły drzewa.

Był dzień...

U skraju lasu, nad rzeką leniwą, która go przerzynała, wśród gęstych drzew, gdzie cień schował się jeszcze, widać było kupkę gałęzi niby szalas naprędce sklecony; kilka kołków wbitych w ziemię, a na nich nacięte konary jodłowe... Obok tuż było wygasłe ognisko spopielale i kilka w nim niedopalonych głowni. Poniżej, w zielonych bujnych trawach, na sznurach do kołów poprzywiązywanych, pasły się dwa małe, grube, gęstym i najeżonym jeszcze zimowym włosem okryte konie.

Szeleśt jakiś w lesie znać je nastraszył, poznały nieprzyjaciela, nastawiły uszy, rozdeły chrapy, zaczęły niecierpliwie nogami kopać ziemię; jeden z nich zarżał, a echo po lesie poniosło ten dziki głos, który się rozległ i powtórzył słabiej za łąką...

¹łotoc — rodzaj kaczeńca. [przypis redakcyjny]

²pierzchnęło — dziś: pierzchnęło; pierzchnąć — uciec. [przypis edytorski]

³zatętniało — dziś: zatętniało. [przypis edytorski]

⁴nazad — z powrotem. [przypis redakcyjny]

⁵łom — tu: łamanie. [przypis redakcyjny]

⁶łoz — rodzaj krzewu z rodziny wierzbowatych; wierzb szara. [przypis redakcyjny]

⁷listki — dziś popr. forma N. lm: listkami. [przypis edytorski]

⁸osiczyna — gatunek drzewa, topola osika a. topola drżąca, której liście drżą przy najmniejszym podmuchu wiatru. [przypis edytorski]

Z szałas pokazała się głowa, cała włosami okryta długimi — zarosła rudo; dwoje oczów ciemnych skierowało się naprzód ku koniom, potem ku niebu, ruch się dał słyszeć pod gałęziami. Wkrótce potem, rozgarniając je, wydobył się spod nich człowiek słusznego wzrostu, krępy i barczysty. Długim leżeniem i snem skostniałe wyciągnął członki, ziewnął, strząsnął się, popatrzał na niebo, potem na konie... Te, zobaczywszy go, z wolna zaczęły się zbliżać ku niemu. Nadstawił uszu bacznie. Nic słysząc nie było prócz szumu lasu, śpiewu ptastwa, mruku strumienia.

Człowiek wyglądał dziko; włos bujny, poplątany spływał mu kudłami na barki i osłaniał niskie czoło, tak że oczy wprost spod nich patrzyły. Reszta twarzy także była zarosła, ledwie część policzków, zarumienionych snem i chłodem, dobywała się spod wąsów i brody — wśród których ust prawie znać nie było. Sukienna, wełniana, gruba odzież brunatnego koloru okrywała mu ramiona, pod szyją spięta na guz⁹ i pętlę. Nogi miał też sukniem i skórą poobkręcane, a stopy obwite nią i opasane sznurami. Spod rękawów sukni krótkich dobywały się ręce silne, włosom okryte i opalone. Twarz miała wyraz przebiegły, na pół zwierzęcy, pół człowieczy, zuchwały razem i ostrożny... Oczy biegały żywo... Ruchy ciała zręczne i silne, nie dawały wieku odgadnąć, choć młodość już pozostawił za sobą.

Postawszy chwilę, mężczyzna wrócił ku szałasowi i nogą silnie kopnął w ścianę jego, nie mówiąc słowa. Poruszyło się coś żywo za gałęzmi i wnet spod nich wypłynął chłopię, wydobyło się zza liści — zerwało rześko na nogi... Wyrastek mógł mieć lat z piętnaście, krzepki był i nieco do starego podobny. Twarz mu jeszcze nie porastała, włosy miał krótko ucięte, odzież grubą a wyszarganą, z sukna i płóciennych chust złożoną. Na nogi wstawszy, oczy przetarł kulakami¹⁰; ledwie miał czas resztę snu z powiek opędzić, gdy starszego głos chropawy, w mowie dziwnej, obcej, której na tej ziemi nikt oprócz nich dwu nie rozumiał, zawołał:

— Gerda, do koni! Słońce weszło...

Usłyszawszy ten rozkaz, poparty lekkim potrąceniem w plecy, chłopiec zbiegł ku koniom, odwiązał sznury, skoczył na grzbiet z nich jednemu i poprowadził je o kilka kroków dalej, gdzie trochę piaszczystego, suchego brzegu do wody przystęp dawało. Na piasku widać też było ślady kopyt koni, które już tam wprzód napoju szukały. Konie zaczęły pić chciwie. Chłopię siedzące na jednym ziewało, z ukosa spoglądając ku staremu, który około szałas się krzątał, mrucząc coś sam do siebie.

Byłali¹¹ to poranna modlitwa?

Na ostatek konie napojone podniosły głowy i jak zadumane słuchały lasów szumu; chłopak je sznurem pognął ku szałasowi. Tu już nagotowane¹² leżały, sukniem i skórą poobwijane, juki¹³, które starszy począł na konie zarzucać i przywiązywać. Milczący pomagał mu wyrastek. Na grzbiety koniom zawieszono sukno grube i skóry... Gdy wszystko było w pogotowiu, stary włożył jeszcze pod szałas i po chwili wyszedł z niego uzbrojony. U pasa miał siekierkę jak młot grubą, krótki nóż w pochwie skórzanej, na plecach łuk, przez drugie ramię procę i krótką pałkę drewnianą, krzemieniem nabijaną, którą przed sobą uczepił na koniu. Chłopak też ściągnął swój oręż z ziemi, nóż do pasa i siekierkę, którą do ręki wziął, lekko na grzbiet konia wskakując... Starszy się jeszcze obejrzał na noclegowisko, patrząc, czy czego nie zapomniał na nim; rękami popróbował sakiew¹⁴ na grzbiecie powiązanych i konia swego pod kłodą poprowadziwszy, skoczył nań zręcznie. Już mieli ruszyć z miejsca i starszy się rozglądał, aby wybrać drogę, gdy z gęstwiny naprzeciw, rozgartując¹⁵ ostrożnie leszczynę i kaliny, niepostrzeżona, po cichu wysunęła się głowa ludzka.

Ciekawie, zrazu z jakąś obawą, dwoje oczu jasnych przypatrywało się podróżnym. Zza gałęzi widać tylko było włos płowy, co je otaczał, młodą twarz ledwie zarostem pokrytą, białe zęby w ustach na pół podziwieniem otwartych.

⁹guz (daw.) — guzik. [przypis edytorski]

¹⁰kulak — pięść. [przypis redakcyjny]

¹¹byłali — czasownik z partykułą -li; znaczenie: czy była, czyżby była. [przypis edytorski]

¹²nagotowany — tu: przygotowany. [przypis redakcyjny]

¹³juk — skórzany worek służący do przewożenia bagażu na grzbiecie zwierzęcia. [przypis redakcyjny]

¹⁴sakiew — dziś popr. D. Im od wyrazu *sakwa*: sakw. [przypis edytorski]

¹⁵rozgartować — rozgarnąć. [przypis edytorski]

Podróżny tymczasem ku słońcu spoglądał i na bieg rzeki.

Ponad jej brzegami drogi żadnej śladu widać nie było. Zdawał się chcieć upewnić, czy ma ją przebrnąć, czy z nią czy przeciwko niej się puścić. Konie rwały się już do pochodu niecierpliwe, obrócone na wschód łbami — starszy pomyślał trochę, oczyma łukę zmierzzył, trzęsawiska i bór, potem zwrócił się na piaszczyste wybrzeże, kędy konie pojono. Tu stanąwszy, myślał pewnie, czy bród znajdzie, bo oczy utopił w wodzie, jakby mierzył jej głębiny. Byłby teraz i tę głowę mógł dojrzeć w krzakach, co go szpiegowala — ale się ostrożnie schowała, tylko gałązki opadły i drżały. Powoli konie wchodziły w wodę, która tu nie była grząska ni głęboka; zanurzyły się po brzuchy, zdawało się, że popłyną, ale tuż się znalazła ława piaszczysta i oto już — brzeg drugi... Oba podróżni¹⁶ wylądowali szczęśliwie, ledwie pomoczywszy nogi.

Drugim brzegiem, wyższym nieco i suchszym, wygodniej kroczyć było, choć tuż, tuż, za gęstwiną coś szeleściło dziwnie... „Zwierz spłoszony”, myślał podróżny.

Naokół, oprócz noclegowiska, śladu człowieka nie dostrzegło oko; bór, jak go stworzył Bóg, ku niebu wyrosły bujno, pnie grube jak słupy proste, oschłe z gałęzi od dołu, u góry w zielone wieńce ubrane. Gdzieśgdzie zwalona burzą kłoda, na pół przegniła, pół z kory opadła, pogięte od wichru wyrostki i poschłe od zgrzybiałości, mchami jak futrem na starość odziane olbrzymy.

Jechali. Na wzgórzu coś białe nieopodal. Pod dębem leżał kamień wyłobiony jak misa, nad nim drugi stał gruby i niezgrabny. Ręka niewprawna wyrzeźbiła na nim niby ludzką twarz straszliwą, czapką okrytą u góry. Starszy wstrzymał się trochę, zobaczywszy znak u drogi; obejrzał niespokojnie dokoła i mijając go, splunął nań z pogardą.

W tej chwili świst się dał słyszeć dziwny z krzaków i drzewce ze strzały utkwilo na piersi, w grubej sukmanie starszego. Ledwie poczuwszy pocisk, nie wiedząc jeszcze, czy do bronii ma się brać czy do ucieczki, obracał głowę, gdy chłopak krzyknął. Druga strzała utkwiała mu w nodze.

A z lasu dał się słyszeć śmiech, śmiech dziki jakiś, straszny, niby wycie zwierzęce, niby okrzyk człowieka... Zachichotało, rozległo się, zamilkło... Sroka siedziała na kamieniu, na czapce i, podniósłszy skrzydła, krzyczała, śmiechowi wtórując... A miotła się, jakby i ona groziła.

Konie głosami tymi podżegniete przyspieszyły kroku — ale nieprzyjaciela już ani widać, ani słyszeć nie było... Cisza panowała nad lasami, drzewa tylko uroczyście szumiały.

Starszy mężczyzna kłusował, naprzód konia pędząc skoro¹⁷; chłopak, który strzałę wyszarpnął z nogi, spieszył za nim, pochylony na szyi swojego. Przebiegli tak staj¹⁸ kilkor¹⁹, aż nie słysząc nic, nie widząc pogoni — zwolnili kroku... Starszy się dopiero obejrzał na chłopca ze zbladłą twarzą, z zaciętymi ustami, z wytrzeszczonymi oczyma przyległego do konia. Nie miał nawet czasu od strzały tkwiącej w piersi się uwolnić. Przebiła ona sukno i znać uwięzła w ciele, bo choć w szybkim biegu ugięła się i opadła ku dołowi, trzymała się jeszcze. Tu dopiero, na polance, konia ściągnąwszy, starszy obejrzał się na strzałę i zrzęcznie ją pocisnąwszy — choć syknął z bólu — wydobył, obejrzał ciekawie i do skórzanego na plecach worka wsunął.

Strzała miała z kości białej wyrobione ostrze cienkie, na którego końcu widać było krwi kropelkę.

— Pioruny by w nich były... I burze! — zawołał, warcząc, rudy. — Gdzieś się w krzakach znalazło oko, co podpatrzyło i pomściło za bałwana²⁰... Tyś ranny w nogę, Gerda?

Chłopak, z oczyma jeszcze oblakany i trwoga, milcząc, na nogę skaleczoną wskazywał. Rana jego głębsza była, bo płachty nie wstrzymały strzały.

— No — nic to! Jedna strzała polańska²¹! — zamruczał starszy. — Oni ich nie zatruwają. Obawiałem się, aby ich tam więcej nie było. Znać jeden rozbójnik niestraszny. Nie ważył się, zobaczywszy, żeśmy zbrojni... Ale może zawołać innych, narobić wrzawy... Uchodźć trzeba...

¹⁶oba podróżni (daw.) — dziś popr.: obaj. [przypis edytorski]

¹⁷skoro — szybko. [przypis edytorski]

¹⁸staja — daw. miara długości, licząca ok. 1 km. [przypis edytorski]

¹⁹staj kilkor — dziś popr.: staj kilka. [przypis edytorski]

²⁰bałwan — tu: posąg pogańskiego bóstwa. [przypis edytorski]

²¹polański — przym. utworzony od rzecz. Polanie, nazwy plemienia słowiańskiego. [przypis edytorski]

Spojrzał na słońce.

— Trzymaj się konia, a puść go za mną... Spieszyć trzeba, żeby nas w tym nie zaskoczyli lesie, póki nie dojedziemy do znajomych. Z południa²² na miejscu będziemy.

Chłopak milczał, starszy coś mruczał jeszcze, ku górze patrzył, konia sznurem ściągnął i polecili gęstwiną, nad brzegiem się ciągle trzymając, bez drogi — rzeka gościniec²³ znaczyła.

Puszcza wciąż była dzika, niezamieszkała, milcząca. Raz z dala na wodzie postrzegli jakby głowę ludzką z ciemnym, przyległym do niej włosiem, i dwoje rąk wiosłujących około niej. Lecz gdy się tętent dał słyszeć, znikła, wir tylko było widać nad powierzchnią wody. Minęli ją... I wyszła znowu z głębin... Na włosach czarnych dokoła opleciony był wianek z lotoci... Oczyma strzelała za nimi... Trochę dalej czółno małeńkie jak łupinka ślizgało się, płynąc z biegiem, ponad nim białą chustę widać było... Gdy tętent dał się słyszeć, znikła płachta na dnie i czółenko jak wąż wsunęło się między trzciny, łozy, wiśzary²⁴, których tylko wierzchy się chwiały... Kilka kaczek zerwało się przestraszonych, wyciągnęły szyje... Sznurem leciały gdzieś dalej... Plusnęły i padły²⁵.

Podróźni wciąż biegli brzegiem, to szybciej, to wolniej — dwa razy konie poili zmęczone i jechali dalej bez spoczynku — a słońce też podnosiło się coraz wyżej, grzało coraz mocniej. Choć w lesie świeżo było i chłodno, od łąk i piaszków zalatywał oddech gorący.

Nie zmieniała się okolica — bór ciągle szumił nad rzeką. Gdzieniedzie w piasku między pagórkami świeciło jezioro, szerzej rozlewały się wody, to ścisnęły wśród parowu. Mieniały się²⁶ tylko drzewa, sosny i jodły, potem zielonych liści brzozy i lipy, i osiki, i dęby na pół jeszcze śpiące a gluche na wiosnę.

Gdzieniedzie żółtawą ławą leżał piasek, to kępiasta trzęsawica²⁷, którą okrążyć musieli. Przed nimi z dala pomykał zwierz, z łąk pierzchały całe stada łosi i jeleni, dobijając się do lasu, na którego skraju stawały, patrzyły jeszcze ciekawie i gnały dalej, znikając im z oczu. Naówczas łomot stad spłoszonych konie straszył i pędziły żywiej, stuliwszy uszy... Póki sił stało.

Gerda ciągle ręką chwycił za nogę zranioną, czuł, że mu krew ciekła, jakby ciepły sznurek wijący się aż do stopy, i w skórzanym obuwiu zbierała się u nogi, czerwonymi kroplami sącząc się szparami chodaka.

Ale skarżyć się nie śmiał, zawijać rany hubą z drzew lub liśćmi, co by krew zatamowały, nie było czasu... Starszemu też trochę krwi pokazało się między palcami ręki; otarł je o końską grzywę, nie troszcząc się o to. Rozpatrywał się wciąż po okolicy, dawniej znać sobie pamiętnej, jakby szukając miejsca do spoczynku... Lecz nierychło²⁸, nierychło zwolnili biegu.

Tu rzeka, płynąc nizinami równymi, szerzej się rozlewała wśród błot, świeżą zielonością okrytych. Ze wzgórza nagiego, na którym stali, widać było łąki i trzęsawiska, wśród nich moczary i jeziora mnogie, opasane gajami. Kilka strumieni zbiegało się tu z borów ku rzece. Las, wśród którego stanęli, wypalony był i zeschły na znacznej przestrzeni. Gąszcze, co go podszywały, spłonęły do szczytu, daleko więc w głąb jego sięgnąć było można okiem i dojrzeć nieprzyjaciela.

Tu starszy z konia się zsunął, rzucił go, nie patrząc, i legł na ciepłym piasku, obu rękami pot kroplisty ocierając z czoła. Zmęczony był — piersi mu się podnosiły, a że krwawymi palcami dotknął twarzy i ją też sobie całą okrwawił.

Ujrawszy to, chłopak uląkł się i krzyknął.

— Co ci to, Gerda? Czyś ty mężczyzna? Czy się matka twoja omyliła, że ci nie wdziała chust i spódnicy? Kropla krwi, a tyle strachu i wrzasku?

Chłopak mu dopiero wskazał na własną twarz jego.

Krew

²²z południa — dziś: po południu. [przypis edytorski]

²³gościniec — droga. [przypis redakcyjny]

²⁴wiszar — kożuch roślin (czyli *ptło*), trzciny i paproci, porastających torfowisko położone na stromym zboczu; torfowisko wiszące. [przypis redakcyjny]

²⁵padły — tu: przepadły, zniknęły. [przypis edytorski]

²⁶mieniać się (daw.) — zmieniać się. [przypis edytorski]

²⁷trzęsawica — trzęsawisko; teren bagnisty. [przypis edytorski]

²⁸rychło — szybko. [przypis edytorski]

— Nie o moją mi strach — rzekł — choć skórznie²⁹ mam jej pełne, ale o waszą. Twarz, ojcie, macie we krwi całą.

Starszy na ręce swe popatrzył, rozśmiał się tylko i nic nie odpowiedział.

Gerda tymczasem, na ziemi siadłszy, nogę ranną rozzuł i począł czyścić obuwie, potem ranę ocierać i okładać hubą. Stary patrzył na to obojętnym okiem.

W milczeniu dobyli potem z sakiew suszone mięso i placki, które starszy na ziemi rozłożył. Poszedł się wprzód obmyć w wodzie i dłonią jej do ust zaczerpnąć. Gerda za jego przykładem zwałowała się też do wody. Siedli jeść w milczeniu. Konie na chudej trawie leniwie się pasły.

Z lasu wyleciała sroka; uwiesiła się na suchej gałęzi nad głową starego, pochyliła ku niemu i krzyczała. Zdawała się zagniewana, trzepała skrzydłami, podlatywała coraz bliżej... Wołała coś, jakby na gwałt zbierając drugie... Nadciągnęła w pomoc wtóra³⁰ i trzecia i wrzaskliwie to podlatywały, to przysiadły się przy nich. Stary, który się chciał zdrzemnąć, zniecierpliwiony, łuk napiął i strzelił. Nie ranił żadnej; zerwały się z krzykiem, zawirowały w powietrzu i wróciły krakać nad nimi. Gerda z głową zwieszoną, na rękach wsparty, nad końmi czuwał. Las milczał, niebo było czyste; owad tylko, wywołany słońcem do życia, brzęczał, gromadami unosząc się w powietrzu.

Po krótkim spoczynku na konie siedli znowu. Stary się do chłopca zwrócił.

— O strzałach, o krwi, o niczym ani słowa tam... Najlepiej byś nie mówił nic i niemego udawał. Niemcami oni nas tam zowią, choć my ich język rozumiemy. Słuchaj, co gadać będą, zda się to zawsze, ale udawaj, że ci ta mowa obca.. Tak lepiej: milczeć.

Spojrzał nań, czekając, by mu Gerda oczyma odpowiedział. Jechali dalej a dalej. Słońce już się z wolna spuszczać zaczynało ku zachodowi. Brzeg rzeki wyniosły coraz się zniżał, wilgotniejsze otaczało ich powietrze — cień zalegał boru ściany, gdy w dali, nad zaroślami, pokazał się słup dymu siny...

Stary, zobaczywszy go, drgnął z radości czy niepokoju; chłopak też weń oczy wlepił i zwolnili koniom biegu.

Dokoła się las rozlegał³¹ stary, wysoki, gęsty, a łąka nad rzeką zwężała, płynącą ścieśnionym korytem. W prawo otwarła się łąka, dokoła zasiekami drzew zrąbanych otoczona. Poza nią z szalasów jakichś, chałup z drzewa i chrustu, opasanych tynami³² wysokimi, dobywał się ów słup siny. Zbliżając się ku budom, coraz je lepiej rozeznaczyć można było.

U brzegu, podniesionego trochę, rzeki stały w prostokąt szczególnie zewsząd zamknięte. Od łąki odgradzały je kłody drzew i tyny, pokopane doły i powbijane pale. Na jednym z nich tkwiła zawieszona biała, od deszczów³³ wypłukana, od słońca zwapniała czaszka końska.

Dachy pokryte były kawałami dartymi drzewa, wiszarem i gałęźmi, ściany w słupy z chrustu plecione. W pośrodku tylko z kłód ogromnych w zrąb³⁴ zbudowana wznosiła się chałupa-dwór, do której szopy wkoło przytykały, z nią razem obejście tworząc, w środku którego małe znajdowało się podwórze.

Dojeżdżając, rudy podróżny zwolnił koniowi biegu, oczyma szukając, czy kogo nie zobaczy. Nie widać było żywej duszy. Wahał się jeszcze, jak dać znać o sobie, gdy u brzegu rzeki, na ogromnym, zbłąkanym tu od wieków kamieniu, ujrzał siedzącego starca, który — niepostrzeżony — od dawna go śledził oczyma.

Ubrany był cały w bieli, nic nie mając na sobie oprócz odzieży z płótna grubego. Nogi miał bose, głowę siwą nieokrytą. Ogromna, długa do pasa broda piersi mu osłaniała. Białą wysoką kij trzymał w ręku. Koszulę na wierzch włożoną i do kolan spadającą obejmował pas czerwony. Żadnej zresztą nie miał ani ozdoby, ni broni. U nóg jego dwa psy leżały, do wilków podobne — zaczajone, przypadłe do ziemi, oczyma krwawymi wiodące za podróżnymi. Drgały, leżąc i czekając, kiedy się rzucą.

²⁹skórznie — daw. obuwie skórzane. [przypis edytorski]

³⁰wtóry — drugi. [przypis edytorski]

³¹rozlegać się — tu: rozciągać się. [przypis edytorski]

³²tyna a. tyn (daw.) — ogrodzenie drewniane, z gałęzi a. belek. [przypis edytorski]

³³od deszczów wypłukana — dziś: przez deszcze wypłukana. [przypis edytorski]

³⁴w zrąb — daw. technika wznoszenia zabudowań, polegająca na wypełnianiu drzewem lub innymi materiałami ustawionego uprzednio szkieletu z potężnych belek. [przypis edytorski]

Twarz starca spokojna była i poważna, ogorzała, ze skórą jakby spękaną, tak ją fałdy i marszczki pokryły całą siecią gęstą. Nad oczyma siwymi dwa krzaki bujnych brwi sterzczały najeżone. Suchą szyję, którą obnażoną widać było spod koszuli, jak twarz pokrajaną, brunatną, niby węże sine oplatały żyły pod skórą nabrzmiałe.

W chwili gdy podróżny starca zobaczył, ten właśnie na psy zawołał groźnie, ręką im wskazując w tył, za siebie, a kij podnosząc do góry. Podróżni stanęli, rozglądając się ciekawie.

— Pokłon wam, stary Wiszu... — rzekł, z konia nie zsiadając podróżny, pochyliwszy tylko głowę. — Pokłon wam. Każcie waszym psom do zagrody, bo by nas porozdzierały, a my starzy znajomi i dobrzy przyjaciele; choć nie swoi, a nie wrog.

Słowa te powoli wyrzekł starszy łamaną mową Serbów Nadłabańskich³⁵, usiłując przybrać postawę i twarz uprzejmą.

Stary patrzył, nic jeszcze nie odpowiadając. Na psy naprzód zakrzyczał groźnie, aby szły precz, ukazując im zagrodę, bo warczały i zęby szczyrzyły, patrząc na przybyszów, i coraz to się ku nim targały. Nie chciały odchodzić. Gospodarz huknął w dłoń. Na głos ten zza tynu ukazała się ostrzyżona głowa parobczaka, który, rozkaz zrozumiałwszy, psy zawołał, wpędził do obejścia i zamknął za nimi wrota. Słychać je było szczekające i wyjące w szopie.

— Zdrow bywaj, Hengo. Cóżecie to znowu tak daleko w nasze lasy zawędrowali? — rzekł gospodarz.

Rudy, powoli z konia zlazszy i dawszy go chłopcu, który na swoim pozostał, zbliżał się z wolna do starego.

— Ha! Po świecie się tak człek włóczy, ciekaw zobaczyć, jak tam gdzie ludzie żyją — zaczął mówić. — Przy tym też jakaś zamiana robi się może. Lepiej w spokoju mieniać³⁶, czego u jednych zbytek, a drugim brak, niżeli napadać zbrojnie, a z życiem razem wydzierać. Ja, wy wiecie, człowiek spokojny, zaopatruję, komu czego trzeba, aby żyć...

Stary się czegoś zadumał.

— Nie bardzo u nas mieniać jest na co... Skór i futer dosyć pewnie u siebie macie, bursztynu u nas niewiele. Myśmy też nie zwykli bardzo do rzeczy, które wozicie, swoim się radzi obchodzić... Igła z ości tak szyje jak żelazna.

Popatrzał stary na ziemię i znowu się w sobie zadumał.

— Zda się to przecie, co ja wożę — mówił powoli Hengo. — A skąd byście wzięli wszystko, co się z kruszcu robi, gdybyśmy wam tego nie dostawili? Do Winedy³⁷ daleko...

— Albo to kości, rogu i kamienia nie dosyć? — rzekł stary Wisz, wzdychając. — Był czas, że się ludzie tym obchodzili i dobrze im z tym było... Jakeście wy a drudzy wędrowni podwozić zaczęli swoje błyskotki, niewiasty nam popsuliście, chce im się ziarenek świecących na szyję i iglic gładkich, i guzów, i wszystkich tych zabawek, bez których teraz żadna nie stąpi. Nic by to nie było — ciągnął dalej, patrząc więcej w ziemię niż na przybyłego kupca — ale wy... Wy drogę się do nas uczycie, tajemnice nasze wywozicie stąd... I tak samo przyjąć może napaść, jak przyszły świecidła.

Hengo po kryjomu błyskiem oczu bystrym zmierzył starego Wisza i rozśmiał się.

— Próżna to obawa — rzekł. — Nikt o napaściach nie myśli... Ja nie jeżdżę cudzego podpatrywać, ale swoje mieniać. Wy mnie przecie znacie, nie pierwszy raz jestem u starego Wisza... Ja przyjaciel wasz. Żonę miałem z waszej krwi, serbską córkę, a z niej oto tego chłopca, który choć języka waszego nie umie, przecie w nim trocha tamtej krwi zostało.

Wisz, który na kamieniu siadł, a na leżący naprzeciw drugi wskazał Hendze, pokiwał tylko głową.

— Żonę mieliście Serbkę znad Łaby³⁸ — odezwał się — mówiliście mi o tym. Ale jakeście do niej przyszli³⁹? Hę? Pewnie nie po jej woli?

Roześmiał się Hengo.

Pies

Handel, Obyczaje, Niemiec,
Wróg

³⁵Serbowie Nadłabańscy — szczep słowiański, osiadły między Odrą i Sudetami. [przypis edytorski]

³⁶mieniać (daw.) — zamieniać. [przypis edytorski]

³⁷Wineda — na pół legendarne słowiańskie miasto u ujścia Odry, mające być ważnym ośrodkiem handlowym. [przypis edytorski]

³⁸Łaba — rzeka w Niemczech i Czechach o długości 1165 km. [przypis edytorski]

³⁹przyjść do czegoś (daw.) — zdobyć coś, zyskać; tu: jakeście do niej przyszli: jak ją dostaliście. [przypis edytorski]

— Starzy jesteście — odparł — wam tego mówić nie trzeba. A gdzież to na świecie niewiast się o ich wolę pytają? Gdzie się inaczej żonę bierze jak ręką zbrojną? Tak jest u was, u nas i na całym świecie... Bo one woli nie mają.

— Nie wszędzie — wtrącił stary. — Młodemu woli nie dają, a stare u nas szanują. Choć im rozumu odmawiają, przecie duchy przez nie mówią i wiedzą one więcej niż wy... Te więdźmy⁴⁰ nasze...

Potrząsnął głową; milczeli chwilę.

— Na noc was o gościnę proszę — odezwał się Hengo. — Co mam z sobą w węzełkach, pokażę... Zechcecie co wziąć, dobrze, a nie będzie zgody, nie pogniewamy się o to.

— O gościnę prosić nie trzeba — zawołał Wisz, wstając. — Kto raz spał pod dachem naszym, zawsze ma pod nim spocząć prawo. My wam radzi. Kołacz⁴¹ i piwo, i mięso się znajdzie; baby strawę wieczorną już warzą. Chodźcie ze mną.

Wisz wstał z kamienia i przodem go wiodąc, ku wrotom się skierował.

II

Gdy stary, na kamieniu siedząc, rozmawiał z przybylcem z tej ziemi, którą krajem „niemych”, języka narodu nieznających zwano — z za tynu⁴² i zagród głów ciekawych zaczęło się ukazywać mnóstwo.

Rzadkością to było, ażeby w taką lasów głębinę i puszczy wnętrza docisnąć się śmiały obcy człowiek. Więc gdy się ukazali ludzie i konie nieznane, a parobczak począł psy zamykać, co żyło w zagrodzie — choć z dala i przez tynu wierzchołki, przez płotów szpary — biegło się dziwić obcemu.

Widać było białe chusty niewiast zamężnych, włosy dziewcząt z wiankami zielonymi, głowy mężczyzn z długimi włosy i postrzyżone parobków, i dziecinne oczy przelekle spośród gęstych kuddełków, którymi się im czoła jeżyły. Podnosiły się one nagle i niknęły, ukazywały i pierzchały... Stare nawet baby, drząc, wyglądały z za płota, a że się obcego lękały, rwały trawę i ziemię, rzucając je na wiatr, i pluły przed się, aby im jakiego nie rzucił czarui.

Stara Wiszyna — a imię jej było Jaga — zobaczywszy, że się wiodą ku wrotom z gościem rudym, wystąpiła, usta zakrywając fartuchem, naprzeciw mężowi, dając mu gwałtowne znaki, aby z nią pomówił na osobności. Już się do wrót zbliżali, które im otwierać miano, gdy im zastąpiła drogę.

— Po co tu obcego, Niemca wieiecie? — szepnęła wylękła. — Możnaż to wieiecie, co on z sobą niesie? Jakie on uroki rzucić może?

— Ten ci to sam, Hengo znad Łaby, co to naszyjniki przywoził i szpilki, i noże... Przecie się nam nic nie stało. Nie ma się go co obawiać, bo kto za zyskiem goni, temu czary nie w głowie.

— Źle mówicie, stary mój — odparła Wiszowa. — Gorszi to ludzie od tych, co z nożami i maczugami napadają. Ano wola twoja, nie moja...

I szybko ustąpiła, mruczając, nie oglądając się już za siebie, aż weszła do dworu wewnątrz zagrody. A że na inne niewiasty w podwórku po kątach poprzytulane skinęła, pierzchnęły wszystkie, chowając się, gdzie która mogła. Parobków tylko kilku i dwu synów gospodarza zostało.

Hengo wszedł, rozglądając się trwożliwie, choć męstwem nadrabiał.

Chłopak jego, z konia nie zniżając, z nim wjechał w podwórze. Ludzie wszyscy stali, patrząc na nich ciekawie i szemrząc⁴³ między sobą.

Wisz prowadził do świetlicy.

Chata w zrąb na mech budowana, stara, w pośrodku się wznosiła, wyżej nad inne szopy — drzwi do niej wiodły z progiem wysokim, ale obyczajem starym bez zamka żadnego, bo ich nigdy nie zawierano⁴⁴. Z sieni w lewo była izba wielka. Tok⁴⁵ w niej ubity

Kobieta, Pozycja społeczna

Gość, Gospodarz, Obyczaje

Obcy, Obyczaje

Czary, Zabobony

Handel, Niemiec, Obcy, Strach, Czary

Dom

⁴⁰więdźma — tu: kobieta doświadczona, znająca życie; od *wiedzieć*: ta, która wie. [przypis edytorski]

⁴¹kołacz — bułka pszenna, biała, delikatna, jedzona często tylko od święta pieczywo. [przypis redakcyjny]

⁴²tyn — płot z gałęzi a. belek. [przypis redakcyjny]

⁴³szemrać — rozmawiać półgłosem, szeptać. [przypis edytorski]

⁴⁴zawierać — tu: zamykać. [przypis edytorski]

⁴⁵tok — podłoga z ubitej gliny; klepisko. [przypis edytorski]

gładko, posypyany był zielem świeżym, w głębi ognisko z kamieni stało, na którym nigdy ogień nie gasnął. Dym się dobywał z niego przez nieuszczelny dach ku górze⁴⁶. Ściany i belki, i wszystko szkiło się od niego czarno. Dokoła przy ścianach ławy na pniach były przymocowane. W rogu stał duży stół, a za nim dzieża⁴⁷ do mieszania chleba, białym płótnem okryta.

Nad nią wisały wianki już poschłe i wiązki różnego ziele.

Na stole, ręcznikiem szytym zasłanym, chleb też nadkrojony leżał i nóż przy nim mały. U drzwi na ławie stał ceber⁴⁸ z wodą i czerpakiem. W kącie, w głębi widać było żarna⁴⁹ małe i kilka bodni⁵⁰ chustami poosłanianych.

Niewielkie okno, zasuwane wewnątrz okiennicą, stało teraz otworem, tyle światła wpuszczając, ile go do rozpatrzenia się w izbie było potrzeba. Gdy Wisz i Hengo przestąpili próg, stary podał rękę gościowi i pokłonił mu się, mówiąc, a zarazem wskazując.

— Oto chleb, oto woda, oto ogień i ława. Jedzcie, pijcie, ogrzejcie się, spocznijcie i niech dobre duchy będą z wami.

Hengo się niezgrabnie pochylił.

— Błogosławieństwo temu domowi! — odezwał, krztuszając się. — Niech go choroba omija i smutek.

To mówiąc, na ławie przysiadł, a Wisz, ukroiwszy chleba kawałek, rozłamał go z nim i, do ust podnosząc, zjadł, co też i obcy uczynił.

Trwało to chwilę... Gość już był uroczyście przyjęty i pozyskał prawa pewne. Niewiasty się nie ukazywały, ale że na cudzoziemca przez szpary patrzeć musiały, znać było z tego, że szepty i stłumione śmiechy dolatywały do uszu jego.

— Teraz — odezwał się Hengo po chwili — kiedyście mnie przyjęli w gościnę, póki jeszcze dzień jasny, pokażę wam, co wiozę z sobą. Niech oczy widzą, że zwodnictwa⁵¹ nie ma. A jest popatrzeć na co!

Stary nic nie mówił, ruszył się tedy ku drzwiom; jeden z czeladzi do szopy go poprowadził, gdzie już konie z chłopcem stały.

Gerda spoczywał, na drzewie siadłszy, ciekawie się rozglądając i przysłuchując. Sakwy przy nim na ziemi leżały. Hengo ujął z nich dwie i z taką siłą i zręcznością zarzucił je sobie na ramiona, jakby unikał pomocy obcej lub chciał się popisać zręcznością. Przez podwórze też, niosąc je, umyślnie zdawał się stąpać lekko i zwinnie, jakby wcale obarczony nie był. Pochyliwszy się nieco we drzwiach, wszedł do dworu i tu, przy okienku, około ławy szerokiej sznury rozplątywać począł.

Chłopcy domowi ciekawym go otoczyli kołem. Z wielką wprawą i zręcznością Niemiec sakwy otworzył, pomyślał chwilę i obejrawszy się ku staremu, zaprosił go ku sobie.

— Ale, cóż to? Wy sami tylko? — odezwał się. — A niewiastom waszym ani nawet oczu nacieszyć nie dozwolicie? Jam już człek niemłody, mnie też ani się wstydzić, ani lękać nie macie powodu.

Wisz zawahał się nieco, potem ręką dał znak i sam podszedł ku drzwiom bocznej komory. Tu stara Jaga na straży stała, drzwi sobą zapierając, ale nie pomogły groźby jej i obawy; gdy stary gospodarz dał swobodę, niewiastki⁵² i dziewczęta tłumnie wpadły do izby. Pędziła je ciekawość, a strach hamował; i zaledwie wparły się do świetlicy wąskimi drzwiami, poczęły nazad uciekać. Pierwsza, co rudego Niemca oczy spotkała, krzyknęła i cofnęła się; za nią jak pierzchliwe stado pobiegły inne. Śmiechy, szepty i łajania Jagi razem zmieszane słyszeć się dały.

⁴⁶dym się dobywał (...) przez nieuszczelny dach — jest to opis tzw. kurnej chaty. [przypis edytorski]

⁴⁷dzieża — drewniane naczynie do rozczyniania mąki. [przypis redakcyjny]

⁴⁸ceber — duże naczynie wykonane z drewnianych deszczulek ułożonych pionowo jedna obok drugiej i spiętych razem dookoła obręczami; w dwóch dłuższych, przeciwnych deszczulkach znajdowały się otwory, przez które przekładano drąg, dzięki czemu naczynie mogły nieść dwie osoby; w cebrach noszono najczęściej wodę. [przypis edytorski]

⁴⁹żarna — przyrząd do ręcznego mielenia zboża, złożony z dwóch kamieni: dolnego, nieruchomego, często wgłębionego dla pomieszczenia ziarna oraz górnego, ruchomego, służącego do miażdżenia ziarna na mąkę. [przypis edytorski]

⁵⁰bodnia — duża drewniana beczka; od jej nazwy pochodzi określenie zawodu osoby zajmującej się wyrobem takich i podobnych naczyń, *bednarza*. [przypis redakcyjny]

⁵¹zwodnictwo — oszustwo. [przypis edytorski]

⁵²niewiastka (daw.) — synowa; nazwę tę tłumaczy się tak, że była to osoba wchodząca do rodziny, o której się nic nie wiedziało. [przypis edytorski]

Gospodarz

Handel, Kobieta,
Męczyzna

Hengo tymczasem, klęcząc przy ławie, dobywał z sakiew coraz coś nowego, ukradkiem ku drzwiom spoglądając. Oczy jego tam i sam ciekawie biegały, choć udawał, że tylko towarem swym jest zajęty. Lękając się i pragnąc, walcząc ze strachem i ciekawością, dziewczęta, jak woda na jeziorze, to się ode drzwi na izbę posuwały, to cofały nagle, jakby do komory nazad uciekać chciały. Niemiec, którego bystre oczy najwięcej siały trwogi, coraz mniej na pozór zważał, co się tam za nim działo, niby nie widział, niby się nie zajmował niczym, tylko towarem, który na ławie rozkładał.

A było go pod dostatek, świecił i porywał oczy. Leżały naprzód igły długie do spinania chust, misternie się zamykające, a posplatane tak z kruszczu jasnego, jak gdyby plecione były ze lnu lub wełny. Niektóre z nich miały guzy błyszczące, inne poplątane były jak łodygi kwiatów, gdy zwiędną. Do wyboru było dosyć. Leżały dalej naszyjniki bogate, obwieszane blaszkami, kółkami i dzwoneczkami. Hengo je sobie do szyi przykładął, nic nie mówiąc, a pokazując, jak się na suknie bogate i piękne wydawały.

Jedne naszyjniki plecione były jak dziewcząt kosy⁵³, inne gładkie, z mocnego kruszczu, szyi od pocisku i strzały bronić mogły.

Na długim sznurze cała kopa⁵⁴ może kolców⁵⁵ kruszczowych wisiała, nanizanych jak obwarzanki, które na rękach noszono. Były większe i mniejsze, i takie, co wężem rękę niewieścią aż do łokcia opasać mogły. Drugie, dla mężczyzn przeznaczone, mocniejsze były i grubsze. Pierścieni też miał Hengo do wyboru bogactwo wielkie, kowanych⁵⁶ i plecionych, wyrzynanych mądrze i ozdobnie.

Dla mężczyzn powabniejsze były siekierki długie, noże z pochwami, dłuta i kliny, na ramiona kładzione kręgi, których ani miecz, ani strzała przebić nie mogła.

Tę gdy na ławę wykladać począł, rzucili się chciwie parobcy, aż oczy im do nich zaświeciły i ręce zadrżały. Stary Wisz nawet przystąpił bliżej, a temu, z pochwy skórzanej wydobywszy go, podał Hengo mieczyk błyszczący, wykrojony jak liść kosaćca⁵⁷, u pięści piękną rękojęścią opatrzoney.

Gospodarz, w prawą go rękę ująwszy, uśmiechnął się rad, przypatrując się ostrzu, które od słońca świeciło.

— Lepsze to — zawołał, śmiejąc się, Hengo — od waszych starych kości i kamieni; więcej wytrzyma, lepiej broni i wnukom służyć będzie. Czy człowieka czy zwierzę dzikie, byle prawica silna, zmoże; a doma⁵⁸ też tym wiele zrobić potrafi, kto umie.

Gdy to mówił, a męski sprzęt ów ukazywał parobkom, niewiasty się powoli, jedna drugą naciskając, zbliżyły tak, iż prawie głowami nad ławą zawisły, pożerając oczyma spinki, pierścienie, naszyjniki i kolce.

Hengo ostrożnie zwrócił na nie oczy. Wszystkie odziane były w bieli; przecież wśród czeladzi i służby rozeznac było łatwo między nimi dwie hoże niewiastki gospodarza i dwie córki jego w zielonych wiankach, z kosami długimi. Grubszym płótnem okryta czeladź z tyłu się trzymała.

Z dwojga dziewcząt jedna — ta, która najbliżej stała — piękna była tak, że i między najcudniejszymi mogła otrzymać pierwszeństwo.

Lice też miała bielsze i mniej opalone, znać może więcej siedząc za tkackimi krosnami niż po polu biegając. Biała i rumiana, z usty⁵⁹ różowymi, wielkie oczy szafirowe wlepiła z kolei w pierścienie, to w cudzoziemca, to nimi wodziła po siostrach i braciach.

Lecz wzrok się jej nie palił do tych błyskotek. Ręce trzymała na piersiach złożone, a śmieiej rozglądała się niż towarzyszki. Na białej koszuli jej spływał sznur nieforemnych obłamów bursztynu, do których niebieskie i czerwone ziarna się mieszały. Na głowie ruciany wianuszek⁶⁰ świeży zieleniał wesoło. Twarze innych śmiały się dziecinnie, jej lice smutno i poważnie patrzyło. Między wszystkimi zdawała się panią.

Klejnót

Kobieta, Uroda

Dar, Obyczaj, Czary

⁵³kosa (daw.) — warkocz. [przypis redakcyjny]

⁵⁴kopa — daw. jednostka obrachunkowa, 60 sztuk (5 tuzinów). [przypis edytorski]

⁵⁵kolce — tu: kółko; por. kolczuga: pancierz z drobnych, splecionych z sobą kółek. [przypis edytorski]

⁵⁶kowany — kuty. [przypis edytorski]

⁵⁷kosaciec — irys. [przypis edytorski]

⁵⁸doma — w domu. [przypis redakcyjny]

⁵⁹usty — dziś popr. forma N. lm: ustami. [przypis edytorski]

⁶⁰ruciany wianuszek — wianuszek z ruty, rośliny o drobnych żółtych kwiatach, będącej symbolem panieństwa; ruta — znana jest od starożytności jako zioło lecznicze, służące także w kuchni do nacierania mięs w celu zachowania ich świeżości; daw. wierzono również, że ruta chroni przed złym urokiem. [przypis edytorski]

Hengo parę razy spojrzął ku niej; dziewczę zarumienione cofnęło się nieco; lecz wnet, odzyskawszy śmiałość, na pierwsze miejsce wróciło. Niemiec wziął nieznacznie z ławy jeden z pierścieni i na palcu go potrzymawszy przeciw oknu, wyciągnął ku dziewczynie.

— Niech to będzie mój gościniec⁶¹ za gościnę — rzekł, podając go pięknej córce Wisza, która zmieszana, dumnie spoglądając, cofnęła się i potrząsnęła głową.

— Przyjmijcie go, on wam szczęście przyniesie — rzekł Niemiec.

Nie mówiąc nic, nie posuwając ręki, dziewczyna cofnęła się powoli. Ojciec na nią spojrzął; potrząsnął⁶² głową i skryła się za inne. Hengo więc podał go drugiej siostrze, która, zapłonawszy mocno, rękę wyciągnęła fartuszkami okrytą i podarek z radością przyjęła. Wnet bratowe i czeladź skupiły się około niej, aby to cudo oglądać. Szybko pobiegły z nim do komory, do matki. Słychać było szeptanie długie, jakby gniewne, a po chwili wyszła obdarowana, w końcu fartuszek niosąc zawinięty kawałek bursztynu ciemnego. Spojrzała na ojca, który głową skinął, i nic nie mówiąc, na ławie go przed Niemcem położyła.

— Weź to! — rzekł Wisz. — Nam się za gościnę podarków brać nie godzi.

Z uśmiechem Hengo zabrał bursztyn, obejrzał go i wpuścił do worka, który miał pod suknią. Nim to jednak uczynił, splunął nań nieznacznie, aby czary odpędzić.

Wisz zamyślony stał, na kiju się oparłszy; nóż obejrżany położył i milczał posępnie. Chłopaki szeptały między sobą, to biorąc ostrożnie z ławy siekiere i noże, to je z żalem nazad składając. W oczach ich łatwo czytać było, że się im tych skarbów chciało, ale gospodarz jeszcze się był nie odezwał, a bez niego nic się tu nie działo. Był głową domu i panem. Woli swej nikt tu nie miał, jeśli on mu jej nie podał. Hengo, co miał pod ręką rozłożywszy, patrzył zwycięsko po otaczających.

Niewiasty wróciły, parobczaki stały. Milczenie panowało w izbie; wtem oczy starego padły na coś leżącego wśród innych ozdób na ławie, czego znać nie widział w życiu. Był to świecący krzyż z uszkiem, do noszenia na szyi. Błyszczał tak jakoś, że oczy wszystkich zwrócił na siebie.

— A to co jest? — zapytał stary, wskazując...

Hengo zdaje się, że dopiero teraz postrzegł, iż go wydobył, i pochwycił skwapliwie.

— A! To... — zawołał zmieszany — To jest znak. Dla ludzi innej wiary niż wasza... Który im szczęście przynosi...

— Namże on by nie przyniósł szczęścia? — zapytał Wisz.

Hengo zamilkł i schował go do worka. Nastąpiła znowu chwila milczenia. To schowane tak szybko godło tajemnicze obudzało ciekawość, lecz Niemiec już się z nim ukrył.

— Trudno się to oprzeć — odezwał się gospodarz. — Kiedy samo co pod dach przychodzi, a do życia pomóc może. Za dawnych czasów, ledwie u księdzów⁶³ i żupanów⁶⁴ coś podobnego widzieć było można, teraz i my, kmiecie, ważyć się na to musimy. Nie wyjdzie z domu dziewczka, żeby jej do wiana⁶⁵ nie dać kółców i szpilek.

Skinął na starszego syna, poszeptał mu na cicho. Wyszło ich zaraz dwu z izby. Wisz na ławie siadł i po jednym odkładać począł, co dla siebie i swoich chciał zatrzymać — wybrał piękny miecz liściasty, siekierek kilka, młotów, nożyce, kilka pierścieni, dwa naszyjniki z wisiadłami... Myślał i liczył, czy tego będzie dosyć.

Wtem Hengo zdjął z ławy dwa chrześzczące naramienniki i podniósł je do góry.

— Staremu Wiszowi by się to zdało — zawołał — i przystało.

— Po co? — rzekł gospodarz. — Chyba, aby mi synowie włożyli do mogiły... Na wojnę iść już nie myślę, na to są chłopcy doroste⁶⁶, a doma co mi po tym?

— Rzekliście „do mogiły” — odezwał się Hengo. — Niech was bogowie długo chowają. Ano i do grobu to wziąć nie szkodzi... Wszak ci u was zwyczajem, że na stos się ubiera i zbroi, jak takiemu bogatemu kmieciowi przystało.

Stary ręką zamachnął w powietrzu.

Gospodarz, Władza

⁶¹gościniec — tu: podarunek dawany w podziękę za gościnę. [przypis edytorski]

⁶²potrząsnęła — dziś popr. potrząsnęła a. potrząsła. [przypis edytorski]

⁶³ksiądz (starop.) — tu: ksiądz. [przypis edytorski]

⁶⁴żupan — naczelnik żupy, czyli okręgu; odpowiednik kasztelana a. (w Europie Zach.) komesa. [przypis redakcyjny]

⁶⁵wiano — posag. [przypis redakcyjny]

⁶⁶chłopcy doroste (daw. forma) — dziś: chłopcy dorośli. [przypis edytorski]

— Co mi tam! — rzekł. — Chcieć i brać łatwo, ale co dać za to? Nie bardzośmy zapaśni⁶⁷.

— Jużci, choć bursztyn i skóry macie, bo wam tu do morza bliżej, a i w ziemi go tu kopiecie.

Wisł patrzył na drzwi, skąd się powrotu synów spodziewał. Ukazali się też wkrótce oba⁶⁸, jeden dźwigając wór duży, drugi na plecach niosąc pęk spory skór różnych, powiązanych pyskami. Rozłożono to na ziemi. Niemiec chciwie w worku grzebać się zaczął, aż mu oczy błyszczwały. Wydobywał po jednym⁶⁹ bryły mułem i ziemią okryte, gdzieniegdzie jasnymi obłamy połyskujące. W tych zdawał się świecić jakby zamknięty płyn jakiś, który stęzał i zmarzł na kamień. Skóry też zwierza zabitego zimną włosem świeciły lśniącem, a gdy Niemiec palcami ich próbować zaczął, nic mu w nich sierści nie pozostawało.

Dopiero się targ rozpoczął, milczący, bez słowa. Hengo odkładał, co mieć pragnął, stary głową trząsł i odrzucał. Razy kilka tak liczono skóry i to, co na stole leżało, ważono w rękach kawały bursztynu, ujmowano i dodawano.

Wisł, to Niemiec trzęśli głową. Jeden, to drugi coś ustępował, jeden narzucał, to drugi... Szło to powoli, niekiedy przestankami dzielone długimi, w ciągu których umowa zerwaną się zdawała. Hengo niby swój towar chciał pakować, chłopcy skóry brać zaczynali. Ociągano się z tym jednak, aż nareszcie Hengo rękę wyciągnął i stary w nią uderzył dłonią. Zgoda zawarta została. Wisł zgarnął, licząc, swój nabytek i natychmiast rozdzielać go począł wśród powszechnych oznak radości. Ściskano go za kolana. Dwór cały odzywał się wykrzykami. Niemiec wiązał skóry i pakował bursztyny.

Pot mu ciekł z czoła, napił się wody i usiadł na ławie.

— Patrzcież no — odezwał się gospodarz. — ileśmy to wam dać musieli, a wiele⁷⁰ od was bierzemy. We dwie garście się to zmieści. Czemu wasze ma być tak drogie, a nasze tak tanie?

Hengo uśmiechać się począł.

— Naprzód — rzekł — tom ci ja niemal stawił życie⁷¹, wioząc wam tu towar do dworu. Niezdrowo to przedzierać się lasami. A to, co ja wożę, tego ziemia nie rodzi, ani ludzie robią, ale duchy po pieczarach mieszkające, które małych człowieczków mają postać. Oni aż do wnętrzości ziemi za tym kruszczem wdzierać się muszą. Taki człowiek, jak ja, wiele świata przejechać musi, zanim się do nich dostanie i cokolwiek wyprosi. Ani dzień, ani dwa, ale miesiące i lata wędrować trzeba, nim się człowiek do nich dobije.

Życie się stawia co dzień i od dzikiego zwierza, i od obcych ludzi, którzy radzi złupić podróżnego. Choć się rzeki i góry, i parowy zna, często się zbłądzi, głodem przymrze, nie dośpi... A rad, kto wyjdzie ze skórą całą. Co za dziw, że dużo wziąć potrzeba. Wam w las pójść za zwierzem, którego u was pełno, to zabawka; bursztyn samo wyrzuca morze albo ziemia rodzi...

Wisł milczał, słuchając. Parobcy i synowie rozstąpili się ku ognisku i w głąb świetlicy, każdy chwalać się tym, co otrzymał. Niewiasty, szepcząc, kryły się w komorze i jedna tylko córka gospodarza, piękna Dziwa, w przymkniętych drzwiach wyglądała ciekawie.

Rozmawiali powoli, słuchano ich pilnie.

— A jeśli wam tak ciężko i niebezpieczno — mówił stary — po co wędrujecie? Macie swoją chatę i pole?

Hengo brwi namarszczył.

— Dlaczego wy na łowy idziecie, choć zwierz bywa dziki? Człowiek się rodzi do swojego życia i odmienić go nie może. Nie tyle za bogactwami goni, co za dolą⁷² swoją, która go w świat pędzi. Narody całe płynęły nieraz kędyś ze wschodu, ze starych siedzib na nowe. Albo to im tam ziemi brakło? Tak i mnie duch mój włóczyć się każe.

— A dużoście już świata zjeździli? — zapytał Wisł.

Hengo się uśmiechnął.

Handel

Podróż, Handel,
Niebezpieczeństwo

Podróż, Los

⁶⁷zapaśny — posiadający zapasy czegoś; zasobny. [przypis edytorski]

⁶⁸oba — dziś: obaj. [przypis edytorski]

⁶⁹po jednym — dziś: po jednej. [przypis edytorski]

⁷⁰wiele — tu: ile. [przypis edytorski]

⁷¹stawić życie — ryzykować życie. [przypis edytorski]

⁷²dola — tu: los. [przypis edytorski]

— Tak dużo, że nie zapamiętam, z ilu rzek piłem wodę, przez wiele gór wierzchołkim się przedzierałem, widziałem dwa morza... A języków, którem słyszał, nie zliczę... A ludzi różnych...

— Przecież ze wszystkich narodów naszych pono najwięcej — odezwał się stary. — My, Polanie, rozmówić się możemy i z tymi, co u Odry⁷³, i co nad Łabą siedzą, i z Pomorcami⁷⁴, i z Ranami⁷⁵ na Ostrowiu, i z Serby⁷⁶, i z Chrobaty⁷⁷, i Morawiany⁷⁸, i aż do Dunaju⁷⁹... I dalej. A któż policzy... Jest nas jako gwiazd na niebie.

— Hm! — mruknął Hengo. — I nas też niemało...

— A ziemi też dla wszystkich dosyć — dokończył Wisz. — Każdy u siebie doma ma, czego mu trzeba: ziemię matkę pod nogami, słońko nad głową, wodę w strumieniu, chleb w rękach.

Hengo słuchał milczący.

— Tak ci jest — rzekł — przecie jedni drugich nachodzą; i z głodu, i z chciwości, i dla niewolnika, gdy go zabraknie.

— Dzieje się tak u was — przerwał stary. — My wojny nie pragniemy ani w niej smakujem. Nasi bogowie pokój miłują jako my.

Niemiec się skrzywił.

— Kto wam tu co robi? — mruczał. — Kraj szeroki, pustynie; łatwo by wejść, ale wyniść trudno.

— Myśmy też — rzekł Wisz — od was się nauczyli bronić i wojować, bośmy tego dawniej nie znali. Prawda, że tam u zachodu wasze duchy lepszy oręż kują, ale i nasz kamień stary, i pałka niczego.

— Myśmy już o kamieniu zapomnieli — odezwał się Hengo. — Pogrzebaliśmy stare młoty po mogiłach i już ich prawie nie widać. Nie zdał się już teraz kamień, gdy o kruszce łatwo, a ludkowie nasi po pieczarach coraz więcej go znoszą.

— My też mamy go od morza i od ładu, z różnych stron przywożonego — ciągnął Wisz. — Przecie dzieci uczymy kamień szanować, bo go pierwsi bogowie pokazali, jak obrabiać, praojcom naszym. I każdemu do grobu wkładamy młot, siekierę bożą, kamienną, aby się u swoich bogów nią wyświadczył, kim jest i skąd idzie. Inaczej by go nie poznali. A będzie tak na wiek wieków i u wnuków naszych.

Hengo słuchał ciekawie. Wtem stary podniósł się z ławy i sięgnął ręką na półkę, ponad dziecę chlebną, gdzie rzędem leżały młoty i siekiery kamienne, poprawiane w drzewo i powiązane mocno. Ujął ich kilka w rękę, pokazując Niemcowi.

— Po dziadach, pradziadach myśmy je odziedziczyli — mówił. — Były one ofiary bogom i łby wrogom, i zwierdom rogi. Gdyby nie kamień, nie byłoby człowieka i życia. Z kamienia powstał człowiek i kamieniem żył. Z niego wyszedł ogień pierwszy, żyto kamień stał na mąkę i błogosławiony jest. Wasz kruszec zjada woda i ziemia, i powietrze, a kamienia nieśmiertelnego nic nie pożre.

To mówiąc, młoty swe z poszanowaniem na półce położył.

W ciągu rozmowy niewiasty służebne koło ogniska się kręciły, rozpalając je. Przez drzwi od komory otwarte dozorowała je Jaga. Pracowały z nimi niewiastki i córki, tylko Dziwa w wianku, z założonymi rękami, z dala się temu zachodowi przypatrywała. Najmłodsza była w domu, najpiękniejsza i najukochańsza, a pieśni najśliczniejsze śpiewała. Matka ją najciekawszych baśni uczyła, ojciec najstarszymi podaniami karmił. Wiedzieli wszyscy, że ją duchy nawiedzały, że we snach szeptały jej o tym, o czym nikt, ani ojciec, ani matka, ani siostry nic nie wiedziały. Kto chciał wiedzieć przyszłość, jej pytał — pomyślała, popatrzała, powiedziała. A pieśni się u niej rodziły tak jak na wiosnę nad strumieniem kwiaty. Gdy na rozstajach i u świętych źródeł ofiary składano, nikt tam

Dziedzictwo, Bóg

Kobieta, Duch, Poezja,
Bóg, Pozycja społeczna

⁷³Odra — rzeka w Europie Środkowej, w zlewisku Morza Bałtyckiego, na terytorium Czech, Polski i Niemiec. [przypis edytorski]

⁷⁴Pomorcy — rosyjscy osadnicy nad Morzem Białym. [przypis redakcyjny]

⁷⁵Ranowie — plemię zachodniosłowiańskie, zamieszkujące wyspę Rugię. [przypis redakcyjny]

⁷⁶Serby — Serbowie. [przypis redakcyjny]

⁷⁷Chrobatowie — plemię słowiańskie zamieszkujące na Łysej Górze, rywalizujące z Polanami o panowanie nad krajem. [przypis redakcyjny]

⁷⁸Morawianie — plemię słowiańskie zamieszkujące Morawy na terenie dzisiejszych Czech. [przypis redakcyjny]

⁷⁹Dunaj — druga co do długości (po Woldze) rzeka w Europie (2888 km). [przypis edytorski]

nie przodował, tylko ona jedna; i szanowali ją wszyscy, a z młodzieży nikt nawet spojrzeć na nią nie śmiał zuchwale. Wszyscy wiedzieli, że ją sobie duchy wybrały za oblubienicę.

Dlatego, gdy drugie siostry i bratowe same w las się iść lękały, tam gdzie duchy latają, unosząc się nad strumieniami, nad jeziorami, nad górami i wąwozami — Dziwa szła śmiało, wiedząc, że się jej nic złego nie stanie, że niewidzialna ręka zwierza i wilkołaka odeгна, smoka i węża nie dopuści.

U ogniska warzyła się i piekła wieczerza, a że gość był w chacie, dostatniejsza niż powszednio. Ćwierć kozłowa obracała się u ognia, w wielkim garncu warzyło mięsiwo z krupami. Jaga też zawczasu w cebraż drebniący utoczyć kazała piwa; jeden z chłopców przyniósł miodu, który tylko dla gości dawano. Znać było dostatek w domu, bo i nabiału nie brakło, zwierzyny, kołacza i chleba.

Wszystko to na stół zniesiono, a Wisz skinieniem gościa zaprosił; sam siadłszy w rogu, gdzie jego miejsce było. Niżej na ławach synowie siedli, a niżej jeszcze parobcy...

Dziewki i niewiasty, nie śmiejąc usiąść z mężczyznami, służyły. W milczeniu zabrano się do mięsa, palcami je odrywając; tylko Hengo, noża na skórzanym pasku dobywszy, dla siebie krajać je zaczął. Na ten obcy zwyczaj dziwnie patrzano, bo krom⁸⁰ chleba dużego wszystko się palcami brało i jadło. Postawiono garnuszki i czerpaczki przed siedzącymi z wodą, piwem i miodem. Wisz zła trochę na ziemię. Głodny podróżny raczył się i popijał do syta, a nierychło mu na myśl przyszło, iż dziecko głodne w szopie przy koniach zostawił. Szepnął więc coś staremu Wiszowi, który głową pokiwał.

— Jedzcie spokojnie — rzekł. — Nie zapomną o nim. U nas obyczaj nie tylko o panu pamiętać, ale i o sługach, a gdybyście psy mieli z sobą, i te by głodu nie zaznały. Zwierzęta też, którym bogowie mowę odjęły, kto wie, co w sobie noszą? Przecie naszą mowę rozumieją, w życiu nas strzegą, a po śmierci żałują.

Mówił to, właśnie patrząc na psy swoje, które dobywszy się z zamknięcia, gdy zwierzęta wieczerzę, wcisnęły się do chaty i pod stół, kości gryząc, które im rzucano.

Słońce się miało ku zachodowi, gdy najadłszy się i napiwszy, Wisz wstał. Tuż za nim wszyscy z ław ruszyli. Podniósł się i Hengo; miejsce opróżniając dla niewiast, wyszli na podwórko z chaty.

Stary, na kiju się opierając, Niemca z sobą powiodł ku rzece, dawszy mu wprzód sakwy zrzucić w szopie, bo się nazajutrz do dnia⁸¹ w drogę wybierał. Siedli znowu oba na tych samych kamieniach nad wodą. W łożach śpiewały słowiki. Nad błotami zwijały się czajki krzykliwe i niespokojne, w lesie kukulka coś liczyła po jednym, a na moczarach bąk kiedy niekiedy, jak stróż na czatach, hukał z daleka. O kilkanaście kroków od nich dwa bociany, których gniazdo na szopie widać było, wieczorną odbywały przechadzkę, dzióbując żabki przestraszone...

III

Pomilczawszy chwilę, Wisz spojrzął na Niemca.

— Dostaliście się tu szczęśliwie. A dalej? Dokąd myślicie?

— Dokąd? — z wolna powtórzył, jakby nie chcąc się z tym zdradzić, co zamierzał, Hengo. — Dokąd? Ot, sam dobrze nie wiem. Wy tu na znacznej przestrzeni sami ze swoimi siedzicie i panami jesteście... Ja, żem tu już raz się kiedyś zabłąkał, przywlokłem się i teraz. Dalej puszcza, iść choćby za rzeką obląkać się łatwo, a na złych ludzi trafię gromadę, tórzy z życiem nie puszcza. Po łada jakich chałupach w lesie tłuc się nie myślę, pożytku z tego mało... Ale... Toć też gdzieś, nieopodal kneź⁸² wasz siedzi... Gdyby do jego grodu nad jeziorem nie było daleko... Puściłbym się...

Wisz brwiami siwymi ruszył, a ręką w prawo, nie mówiąc nic, pokazał.

— Jestże ci kneź... Na grodzie nad jeziorem, a do niego w dzień niespełna stanąć łatwo. Kneź, kneź! — powtórzył z przekąsem. — Ten kneź już sobie prawa do wszystkiej naszej ziemi rości, po wszech kniejach poluje, a ze swymi zbrojnymi ludźmi czyni, co chce... To srogi człek, jemu się w paszczę dostać jak wilkowi głodnemu... Ano, i na wilki ludzie sposoby mają.

Jedzenie, Obyczaje, Obcy,
Gość, Mężczyzna, Kobieta

Zwierzęta, Pies

Władza, Wolność, Wojna

⁸⁰krom — oprócz. [przypis redakcyjny]

⁸¹nazajutrz do dnia (daw.) — jutro przed świtem. [przypis edytorski]

⁸²kneź — kniaź; tytuł władcy. [przypis edytorski]

Niemiec zmilczał.

— Wasz ci to kneź, nie obcy — rzekł po chwili. — Trzeba przecie, żeby naród miał głowę i wodza. A co by począł, gdyby go wróg naszedł?

— Niech nas od tego bogi bronią — mówił stary. — My to wiemy, póty naszej woli⁸³, dopóki pokoju. Przyjdzie wojna, z nią iść musi niewola. A kto z wojny skorzysta? Nie my, ino kneź nasz i jego słudzy. Nam wróg chaty popali, bydło zajmie, oni niewolnika nabiorą dla siebie i łupu. Tyle z tego, że nam dzieci poginą; a kto padł w wojnie, temu i mogiły nie usypią, krucy⁸⁴ ciała rozniosą.

I westchnął.

— Pan to jest mocny, ten, co na grodzie siedzi? — spytał Hengo.

— Bogi mocniejsze od niego — mruczał Wisz — a i gromada silną bywa... Ja nie wiem więcej, dań⁸⁵ mu dają, jaką każe, i znać go nie chcą; ani jego, ani całego ich Leszków plemienia.

— Wyście u siebie panem — dorzucił, pochlebiając, Hengo.

— A pewnie — rzekł Wisz. — Gdybym nim tu nie miał być, toć są jeszcze ziemie puste; poszedłbym, jak ojcowie chadzali, z moimi gdzie indziej, gdzie wojna nie dochodzi i niewola. Zaorałbym nową granicę wołami czarnymi i siadł.

Jakiś półuśmieszek szyderczy Niemcowi się po ustach przesunął i dodał:

— Hej no, gdybyście mi odpowiedzieli a ukazali drogę do Gopła⁸⁶, a do stolba⁸⁷ kneziowego... Kto wie? Powłóklbym się jeszcze... Zobaczyć i tego świata trochę.

Gospodarz pomyślał nieco.

— Czemu nie! Próbujcie szczęścia — rzekł. — Z waszych tam już niejeden bywał, niejednego też może znajdziecie. Kneź ma żonę z niemieckiego kraju, po niemiecku rad rządziłby nami.

Wstał stary z kamienia.

— Słońce nie zaszło jeszcze, macie dobre nogi? — zapytał. — Pójdziemy za las, na górę, skąd świata widać niemało... Stamtąd wam drogę ukażę łatwo... Chcecie za mną?

Niemiec, który luk i procę zostawił we dworze, prawie będąc rozbrojony, zawahał się nieco.

— Tak? Z rękami gołymi? — spytał.

— Jam tu na mojej ziemi — odparł stary obojętnie — mnie tu zwierz nawet szanuje. Innej broni nie potrzebuję — dodał, róg wyjmując z zanadza — nad tę jedną. Gdy się głos rozejdzie po lesie, zrozumieją.

Szli więc razem. Od strumienia lekko się podnosząc ku górze, zielona łąka wiodła ich ku lasom. Stary wśród zasieków znalazł przełaz i ścieżkę. Wprędce byli już wśród ciemnej gęstwiny — a tu Wisz jak w domu, choć nigdzie śladu drogi żadnej nie było, kierował się, nie patrząc prawie. Hengo drapał się za nim — milczeli, idąc, oba... Wzgórze, niezbyt wyniosłe, z wolna, nieznacznie wspinało się, lasem okryte. W zaroślach ptastwa mnóstwo zlatywało z gałęzi, na których się już noclegować zabierało.

Zdawały się gniewne na starego gospodarza, że ich spokój zakłócił. Mignęły sine skrzydła kraski, srocza w białej spódnicy podniosła się, gderząc, podlatując, przysiadając i zrywając się przed nimi, aby ich łajac, przeprowadzając dalej. Spod drzewa, u którego czatował, mignął lis żółtym ogonem, zawinął się i znikł, wsunawszy się do jamy. Na gałęziach pomykały wiewiórki, ledwie dojrzane, tak zwinnie skakały z jednego wierzchołka na drugi. Stary po drodze podnosił głowę ku barciom⁸⁸, bo ich tu pełno było na drzewach; reszta pszczół spóźnionych wracała z łąk, niosąc plon, cisnąc się do nich przed rosą, aby im skrzydła nie ocieżały.

Szli tak coraz głębiej, a Niemcowi, nienawykłemu do pieszej wędrówki, za starym trudno było nadążyć. Wtem las się rozstał, polanka, trawą bujną zarosła, wierzch wzgórza okrywała. Wśród wielkiej płaskiej przestrzeni wznosiła się sypana mogiła, z której

Pszczola

⁸³wola — tu: wolność. [przypis edytorski]

⁸⁴krucy — dziś popr. forma lm.: kruki. [przypis edytorski]

⁸⁵dań (daw.) — tu: danina. [przypis edytorski]

⁸⁶Gopło — jezioro w Polsce, położone w województwie kujawsko-pomorskim i wielkopolskim [przypis edytorski]

⁸⁷stolb a. stolp (daw.) — wieża obronna, wolno stojąca, wzniesiona w obrębie murów zamku; donżon. [przypis edytorski]

⁸⁸barć — naturalne siedlisko pszczół. [przypis edytorski]

widok rozlegał się na okolicę, jak oko sięgnąć mogło. Wspaniały był i wielki... Wisz, stanąwszy tu i oglądając się po swej ziemi, mógł się czuć panem. Hengo, spojrzawszy na niezmierną przestrzeń u nóg swoich rozłożoną, stanął zdumiony i widocznie rozradowany. Dolina, którą mieli u stóp swoich, była w większej części lasami okryta. Zachodzące słońce jaskrawym blaskiem ją oblewało, promienie czepiały się wierzchołków drzew gdzieś niedaleko w złotych odbijających jeziorach i przeglądających między drzewami i łąkami rzek wstęgach.

Patrząc nań z góry, rzekłbyś, że cały kraj ten, cały świat zarastała puszcza jedna, szeroka jak morze i jak morskie równiny siniejąca w oddaleniu. Jak fale też kołysały się bliższych drzew wierzchołki. Wśród tej ciemnej zieleni jodeł i sosen, gdzieś niedaleko młodych złocistych lip i brzoź, i majowych łąk zieloność się przebiegała. Dalej ściśnięte drzewa już oku nic widzieć nie dopuszczały nad wierzchołki, nad które mało starszych samotnie strzelało ku górze. Głuchy szum zaledwie chwytalo ucho... W dwóch tylko miejscach sinego dymu słupy wznosiły się ku górze, niezgięte żadnym wiatru powiewem... Na widnokręgu pasami długimi rozścielały się do snu mgły wieczorne.

Wisz wskazał Niemcowi w prawą stronę.

— Tam... W końcu dnia z końmi waszymi dostaniecie się łatwo. Trzymajcie się ciągle rzeki, a minąwszy do niej wpadające strumienie, szukajcie brodu i przejdźcie na drugą stronę.

Chciał mówić dalej, gdy ucho jego, do chwytania i rozumienia najmniejszego szelestu nawykłe — coś z dala uderzyło. Zatrzymał się, głowę spuścił i słuchał.

I Hengo też w dolinie pochwycił jakiś oddalony tętent głuchy, który się zdawał przybliżyć. Wiszowi twarz się zachmurzyła, ręką pokazał na kierunek i spytał:

— Rozumiecie? A teraz — dodał — chodźmy; boję się, czyśmy wilka nie wywołali z lasu. Tętent słyszę... Jeżeli jedzie kto, to chyba kneziowscy słudzy, utrapiona zgraja, która nigdy z próżnymi nie odchodzi rękami. Smerdowie⁸⁹ jego i posłańcy... Po co? Wiedzą chyba oni sami. Dokąd? Nigdzie jak do Wisza, u którego miód stary stoi...

Stary poruszył się z żywością prawie młodzieńczą i, nie patrząc już prawie na Niemca, posunął się tą samą drogą w dół, którą na górę wchodzili. Lecz teraz pędził żywiej i przesunąwszy się przez las — spoza ostatnich drzew ujrzeli rychło zieloną łąkę, a na niej brzegiem rzeki posuwających się pięciu konnych, na których Hengo ciekawe zwrócił oczy.

Przodem jechał dowódca, parami za nim czterej inni... Łatwo w pierwszym poznać było starszego, koń pod nim rośniejszy i okazańszy ubiór odznaczał kneziowego sługę. Był to barczysty chłop, z włosami długimi, które mu gruby kark okrywały. Na głowie miał czapkę ze sterzącym przy niej piórem białym. Odzież na nim z sukna jasnego obszyte miała czerwone, u boku miecz sterczał w pochwie, na plecach łuk nad głową się podnosił i łubiany⁹⁰ wór na strzały.

Jadący za nim w rękach trzymali toporki, zbrojni też w łuki i proce, obwieszeni sakwami... Wisz, zobaczywszy jeźdźców, jak noc się zachmurzył — porwał róg zza koszu i trzy razy prędko raz po raz zatrąbił, do chaty znać oznajmując⁹¹ o nadjeżdżających.

Gdy głos ten się dał słyszeć, jezdni na koniach poruszyli się żywiej i pierwszy z nich obejrzał dokoła, szukając sprawcy... Mógł już z brzegu rzeki, nad którą jechał, zobaczyć Wisza, a ten też niezwłocznie pospieszył na przełaj, ku niemiłym gościom.

— Ej! Gadziny przekłete! — mrucał, idąc. — Smoki nienasycone... Smerda pański! Bodaj ich razem obu pioruny ze skóry darły! — Odwrócił się do Niemca. — Wam to na rękę, bo was pewnie i wasze sakwy ze sobą chętnie zabiorą, ale mnie...

Hengo nie okazywał twarzy wcale, czy był rad lub nie spotkaniu.

— Juścić — rzekł — gdyby co złego groziło, prawa gościnności bronić mnie każą.

— Jeżeli ja sam siebie od nich obronię — mruknął Wisz. — Pięciu ich, nie tak to straszna rzecz, moi chłopcy powiązaliby ich na skinienie, ale u stołba znajdzie się ich dziesięć razy tyle, gdyby się mścić chcieli.

⁸⁹smerda (daw.) a. smerd — sługa książęcy (tu: w randze przełożonego); u Słowian: wolna ludność chłopska popadła w zależność od księcia. [przypis edytorski]

⁹⁰łubiany — wykonany z łuby, czyli tzw. dartki drzewnej: długich, cienkich pasów struganych z miękkiego drewna, służących do wyplatania koszy itp. [przypis edytorski]

⁹¹oznajmując — dziś: oznajmiając. [przypis edytorski]

Szli co prędzej ku zagrodzie.

Smerda kneziowski jadący przodem konia zatrzymał, starego poznawszy lub się domyślając gospodarza. On i jego towarzysze mniej się mu jednak niż Niemcowi przypatrywali. Czuli w nim obcego, a obcy dla nich zawsze był dobrym obłowem...

Gdy podeszli, starzec się Smerdzie pokłonił, chociaż ten mu nie myślał oddać powitania. Skłonił się i Hengo, ale mu twarz pobladła, czuł, że chciwe oczy wszystkich na niego się skierowały.

— Kogóż to z sobą prowadzicie, stary? — wołał Smerda. — Obcy? Skąd?

Czterej jezdni wnet go obścapiłi dokoła.

— Znad Łaby jestem, przekupień, człek spokojny, nieobcy... — rzekł, nabierając śmiałości trochę, Hengo — nieobcy, bom tu nieraz bywał z towarem... Wszędy mnie swobodnie przepuszczano...

— Znamy my tych ludzi spokojnych! — krzyknął, śmiejąc się, Smerda. — Znamy... Kto wie, na co wypatrujecie drogi po kraju, szukacie brodów po rzekach, zaciosujecie znaki po drzewach... Aby potem poprowadzić...

— Spokojny człek — odezwał się Wisz powoli. — Dajcie mu pokój, chleb z nim łamałem.

— A mnie co do tego? — zawołał Smerda gniewnie. — Kneź surowo zakazuje, aby się tu obcy po kraju nie wałęsali. — Pójdzie z nami.

— Pojadę z wami po dobrej woli, miłościwy panie — rzekł szybko Hengo — A gdy na twarz padnę przed kneziem, łaskę u niego zyszcze⁹², bo pan jest sprawiedliwy... Jam samowtór⁹³ z chłopięciem... I cóż ja złego zrobić mogę?

— Związać mu ręce! — krzyknął Smerda. — Ano, zobaczmy...

Gdy to mówił, dwóch pacholków skoczyło z koni, aby rozkaz jego wykonać. Smerda skierował się ku zagrodzie.

Stali tu już parobcy i synowie, stała we drzwiach stara Jaga, z równie starą sługą — żadnej z młodszych niewiast widać nie było.

Na znak dany przez ojca wszystkie się ukryły po kątach i zbiegły do lasu, aby się z obcymi ludźmi zuchwałymi nie spotykać. Wyjaśniła się⁹⁴ też twarz Wisza, gdy w podwórku ani córek, ani synowej żadnej nie zobaczył.

Smerda zlął z konia u wrót, ludzie jego także; dwu z nich poprowadziło Henga z sobą, wydrwiwając się z niego, popychając i bijąc. Ręce już miał w tył związane sznurem, którego koniec trzymał jeden z pacholków. Konie poszły do szopy, ludzie wprost kroczyli do dworu. Tu Jaga, pokłonami ich witając, zapraszała. Wisz stary szedł zamyślony i chmurny. Zaszumiało wnet w izbie, gdy obcy się do niej wcisnęli. Smerda padł na ławę, pierwsze, gospodarskie zajmując miejsce. Wołali już piwa i miodu, które zaraz niesiono, aby sobie gardła zalali. Gospodarz, nic nie mówiąc, z dała zajął miejsce na ławie.

— No, stary gospodarzu — ozwał się Smerda — wy to już wiedzieć powinniście, z czym my jedziemy... Należy kneziowi dań...

— A dawnoście ją brali? — mruknął stary.

— Myślicie się rachować z nami? Kmieć z kneziem? — rozśmiał się Smerda.

— Kmieć z kneziem, bo ja tu, na tej ziemi, kneziem jestem — mówił Wisz. — Ze skóry nas drzeć pod pozorem obrony.

Smerda chciał się śmiać, ale, popatrzywszy na starego, rychło mu ochota odeszła; spowolniał⁹⁵ jakoś.

— Pijcie i niech wam tak będzie na zdrowie, jako życzę — dodał stary. — A potem o sprawie.

Kneziowski sługa, pomyślawszy, stał się łagodniejszy; czerpakiem piwa z cebra nabrawszy, począł je chciwie żłopać. Towarzysze też jego garnuszkami czerpać jęli, aby ugasić

⁹²zyszcze (starop.) — zyskam, pozyskam. [przypis edytorski]

⁹³samowtór (daw.) — sam z kimś, we dwóch; przysłówek oznaczający wykonywanie jakiejś czynności przez dwie osoby; samotrzeć — sam z dwoma towarzyszami, we trzech; samoczwór — sam z trzema towarzyszami, we czterech; samopiąć — sam z czterema towarzyszami, w pięciu; samoszóst — sam z pięcioma towarzyszami, w sześciu itd. [przypis edytorski]

⁹⁴wyjaśniła się — tu: rozjaśniła się, rozpogodziła. [przypis edytorski]

⁹⁵spowolnieć — tu: spokornieć; zachowywać się „po (według) czyjejś woli”. [przypis edytorski]

pragnienie. Hengo związany stał u progu. Chwilę trwało przerywane chlipaniem milczenia. Smerda wąsy otarł i zwrócił się do Niemca.

— Gdzie twoje konie i sakwy?

— Znajdą się jutro razem ze mną przed kneziem — rzekł Hengo. — Proszę was, w pokoju mnie zostawcie.

— Zrobię z tobą, co chcę! — krzyknął Smerda.

Wisz chciał bronić obcego, gdy Hengo z rękami związanymi, za sobą sznur wlokąc, szybko podszedł do siedzącego na ławie Smerdy, przysunął mu się do ucha, zasłonił dłonią i żywo, długo coś mu szeptać począł. Z twarzy nie widać mu było przestachu... Gdy mówił, z wolna lice kneziowskiego sługi mieniło się⁹⁶, marszczyło, rozjaśniało. Popatrzał z ukosa na Niemca, głową potrząsnął i rzekł do swoich ludzi:

— Rozwiązać mu ręce! Pojedzie jutro z nami, na grodzie się z nim rozprawim.

Uwolniony tak cudownie od sznurów, które mu ręce krępowały, Hengo ze spuszczoną głową usiadł w kącie. Smerda, już co innego mając na myśli, zwrócił się do starej Jagi.

— Matko stara — zawołał — a gdzież to niewiastki i córki wasze? Radzi byśmy na nie popatrzeli, gładkie mają liczka.

— I dlatego wam ich nie pokażę — wtrącił gospodarz. — Co wam do nich?

A Jaga dodała:

— Nie ma ich od rana. Poszły w las wszystkie za grzybami, za rydzami, chyba i na noc nie powrócą.

— W las! — zaśmiał się Smerda, któremu zawtórowały śmiechy jego towarzyszków, piwem rozochoconych. — Oj! Szkodaż to, szkoda, żeśmy ich po drodze nie spotkali. Byłoby się z kim zabawić, choćby i do jutra.

Wisz spojrzął z ukosa na mówiącego, któremu śmiech zamarł na ustach.

— Przy takiej zabawie — rzekł Wisz — jakby was ojciec i bracia zastali, moglibyście i na wieki w lesie pozostać, a nigdy z niego nie wrócić. Wilcy z krukami tylko by o was wiedzieli.

Cicho, ponuro wymówił te słowa. Smerda je usłyszał i zachmurzył się. Drudzy znowu około kadzi z piwem chodzili i on też, milcząc, do niej powrócił. Tymczasem na dany znak synowie Wisza podeszli do rozmowy, podsunęła się i Jaga, a Wisz z wolna poszedł naprzód ku ognisku, potem od niego ku drzwiom, gdzie się z wiadra wody napił. — Tu nieopodal rozwiązany siedział Hengo, gospodarz dał mu znak i wyszli razem do sieni.

Nic nie mówiąc, stary ręką ukazał Niemcowi na drzwi i wrota — dając do zrozumienia, by uchodził, lecz Niemiec — obejrzawszy się, szepnął mu do ucha:

— Ja się ich nie boję, nic mi nie robią. Dostanę się z nimi do knezia. Towaru tylko nie wezmę z sobą wszystkiego, by darmo się nie wozic z ciężarem.

Wisz popatrzał nań zdziwiony.

— Dlaczegoś uchodzić nie chcesz? Spod mojego dachu na co ma cię spotkać nie-szczęście?

Hengo uśmiechnął się chytrze, głową potrząsając.

— Nie boję się, nic mi nie robią... Wykupię się im, bądźcie spokojni, tylko wam jedną sakwę zostawię.

Milczeniem gospodarz zgodził się na to, a Niemiec wysunął zaraz ku szopie, skąd parobek wyniósł po chwili sakwę, którą w komorze ukryto. Hengo, podziękowawszy gospodarzowi, wrócił do izby i siadł znowu w swoim kącie, nim postrzeżono, że go nie stało⁹⁷.

W izbie gwar był i śmiechy.

Smerda orzeźwiał też po piwie, ze starą babą żarty strojąc, a towarzysze mu rozgłośnym śmiechem wtórowali. Trwało to aż do nocy, wniesiono łuczywo suche, którego drzazgi, między kamienie wetknięte, zapalono, aby izbę oświecały.

Zobaczywszy światło, Smerda się dopiero obejrzał za gospodarzem dookoła.

— Gdzież gospodarz? — zawołał.

Kobieta, Mężczyzna, Ojciec,
Brat, Obyczaj

⁹⁶mienić się (starop.) — zmieniać się. [przypis edytorski]

⁹⁷że go nie stało (daw.) — że go brakowało. [przypis edytorski]

Wisz stał u progu chaty — trąciła go Jaga, niechętnie się zawlókł do środka. Ludzie mu widocznie nie w smak byli. Zobaczywszy starca, Smerda wstał, idąc ku niemu, skinął i na podwórze z sobą prowadził.

— Od knezia jadę do was i do drugich kmieci, i żupanów⁹⁸ — rzekł. — Kneź was pozdrawia uprzejmie.

Stary skłonił głowę i po siwych włosach powiódł zafrasowaną pomarszczoną dłoń.

— Pozdrowienie łaskawe — rzekł. — Ano, na tym nie koniec. Kiedy zdrowia życzysz, pewnie czego żąda, inaczej by o kmieciu nie wspomniał.

Smerda brwiami ruszył.

— Ludzi nam bardzo, bardzo brak — rzekł. — Jednego ze swoich dać musicie do kneziowskiej drużyny. Wszak ci to ona was i ziemi broni.

— Cóż to? Na wojnę myślicie? — rzekł Wisz.

— My jej nie wydamy⁹⁹ nikomu, ale na grodzie ludzie muszą być pogotowiu, do obrony — mówił Smerda. — Dwóch nam zmarło z zarazy, jednego zwierz rozdarł w lesie, a kneź też ubił jednego, trzeba nam ludzi... U nas się źle nie dzieje... Głodu nie mają, jedzą razem ze psy kneziowskimi, a po całych dniach na brzuchach się wylegają. I piwa się im nie skąpi. Przyjdzie wyprawa, z łupu się co dostanie.

— Albo się pójdzie w niewolę — dodał Wisz.

— Jeżeli nie dwu, jednego musicie dać — zakończył Smerda.

— A jak żadnego? — zapytał Wisz.

Smerda się zamyślił.

— To was na sznurze powlokę do grodu — rzekł Smerda.

— Chociem kmieć wolny? — spytał gospodarz spokojnie.

— Mnie co do tego! Kneź przykazał.

— Tak, tak! — zawołał Wisz, zadumany patrząc w ziemię. — Wziął się obyczaj taki. Patrzcie tylko, żeby was kiedy kmiecie na postronkach nie ciągnęli, jak się im naprzykrzy.

Zmilczał posłaniec.

— Nie przeciwie się¹⁰⁰ — szepnął po cichu. — Kneź tymi dniami zły bardzo... Przez sen, gdy w podsieni zadrzemie, zgrzyta zębami i jak wilk człapie. Na kmieciów się odgraża bardzo. Zamiast dwu, dajcie mi jednego człowieka. I skórę na kozuch, bo mi się mój dobry podarł na usługach.

Zamyślony stał gospodarz długo w podwórzu, skinął potem na Smerdę, by z nim szedł; wrócili do chaty. Na ławie siadł stary, kij między nogi wzięwszy, wsparł ręce na nim i po chłopcach swoich poglądał, jakby szukał ofiary.

— Hej, Sambor — odezwał się do stojącego z tyłu za gromadką, śmiejącego się z dworakami chłopaka. — Sambor, chodź tu!

Przywołany tym imieniem parobczak wyprostował się i podszedł.

— Tobie w polu nie bardzo się chce robić, a koło domu też nie lepiej — rzekł do niego. — Więcej leżysz i śpiewasz, niż pracujesz... Ty byś się zdał do lekkiego chleba, przypasawszy mieczyk, drugich ganiać i piórko za czapkę wetknąwszy, popisywać się urodą. Ty na kneziowski dwór pójdiesz z ochotą?

Nagle zagadnięty parobczak, choć mu się niedawno twarz śmiała, posmutniał nagle. Oczyma niespokojnymi potoczył dokoła — zobaczył, jak mu się Smerda przypatrywał ciekawie, ogarnęła go trwoga i padł przed starym na kolana.

— Ej! Ojcie panie, po cóż mnie w niewolę dajecie? — krzyknął.

— Co za niewola — przerwał Smerda. — Będziesz wojakiem. U knezia lepiej niż tu, a jak się spodobaś panu, kto wie, co będzie z ciebie.

Wisz po schylonej jego głowie ręką pogładził.

— Musi jeden iść za wszystkich... — rzekł. — Na ciebie kolej, Sambor.

Stara Jaga, opodał stojąca, ręce załamała, bo choć parobczak synem jej nie był, ale się w chacie wychował i jak dziecko własne go kochano.

⁹⁸żupan — naczelnik żupy, czyli okręgu; odpowiednik kasztelana a. (w Europie Zach.) komesa. [przypis edytorski]

⁹⁹wydać wojnę — wypowiedzieć komuś, wszcząć z kimś wojnę. [przypis edytorski]

¹⁰⁰przeciwie się (daw.) — sprzeciwiać się. [przypis edytorski]

Drudzy parobcy tym oznajmieniem strwożeni cofnęli się w głąb — opuściła ich wesołość. A tuż i Smerda dłoń szeroką na ramię Samborowi położył, jakby go brał w posiadanie.

— Pójdiesz z nami — rzekł.

Podniósłszy oczy, parobczak spotkał wejrzenie Wisza, skierowane ku niemu — które doń coś mówiło, coś, co oni tylko dwaj rozumieli.

Sambor się uspokoił i wstał, smutny jeszcze, ale milczący, nie narzekając już na losy swoje.

Kto by się wsłuchał był w głosy, które wewnątrz chaty się ozwały, gdy Jaga wyszła, załamawszy ręce — domyśliłby się, że tam niewiasty za Samborem zawodzić musiały. Nikt jednak nie śmiał ozwać się głośniejsz, aby obcy nie posłyszeli głosów niewieścich i nie domyślił, że się od nich pochowały¹⁰¹. Dano jeść przybyłemu Smerdzie i ludziom jego, a piwo z cebrów dokończywszy, wszyscy poszli do spoczynku. Wisz ich zaprowadził do obszernej szopy, na siano. Obok niej stały konie niemieckie. Niemca też puszczono, nie bardzo się troszcząc o niego — i szedł przy nich nocować.

Gospodarz z Samborem sami pozostali w podwórku. Chłopak chciał zacząć rozmowę, gdy stary dał mu znak, aby z nim za wrota szedł, i wywiódł go nad rzekę. Księżyc wschodził nad lasami. Siadł stary, milcząc długo. Słowiki tylko krzyczały...

— Nie płacz ty i nie narzekaj — począł po cichu Wisz. — Nikt nie wie, gdzie go jaka dola czeka. Chcieli wziąć jednego z was, a ja bym i sam im dał... Bo mi tak było potrzeba... I nie tylko mnie, ale i drugim.

— Za cóż ja idę? — nieśmiało spytał Sambor.

— Boś ty rozumniejszy od drugich — mówił stary. — Bo masz oczy i język, bo więcej nas kochasz niż drudzy, bo ja tobie ufam i miłuję cię. Jesteś obcy, a mam cię za syna. Posłałbym syna... Oni oba ziemianie i rolniki, i myśliwce, i bartniki... A ty śpiewać lubisz, ale myśleć umiesz.

Zatrzymał się trochę, wsłuchując się w wieczorną ciszę — a potem mówił dalej, głos zniżając:

— Słuchaj, Sambor, ja ciebie nie na zgubę ślę, ale z potrzeby. Wielkie się u nas rzeczy gotują, kneziowie nas za łby chcą wziąć, postrzyc w niewolniki i Niemców z nas porobić. Z Niemcami się znoszą¹⁰²... Nam dojadło¹⁰³ to... My nic nie wiemy, co oni tam robią, aż nam na szyję więzy spadną. Ty idź, patrzaj, słuchaj, nastaw uszy. Musimy wiedzieć, co się u nich dzieje. Po to ja tam ciebie ślę... Usta zamknij, oczy otwórz, posłuszny bądź... Kłaniaj się nisko... A o nas nie zapominaj. Czasem tam kto z bliźniakami¹⁰⁴ przyjdzie, z pokłonem... Powiecie mu, co posłyszycie. Przyszedł czas... Przyszedł czas... Albo Leszki nas spętają, albo my ich wyżeniamy i wydusim. Ano... Pst! Pst!

Stary palce położył na ustach. Sambor przystąpił doń i objął za kolana.

— A! — rzekł. — Iść między obcych, porzucić was, ciężka to dola. Myślałem: z wami poczęło się życie i przy was skończy.

Wisz przerwał mu.

— Nie na wieczność tam idziesz — rzekł cicho. — Jak będzie pora, skiniemy na cię, powrócisz... Nauczysz się tam wiele, napatrzysz, dowiesz, bo cię się strzec nie będą. Na Kupale¹⁰⁵, na Koladę¹⁰⁶ do mnie ci pozwolą... A od stolba do nas nie kraj świata!

I pogłaskał go po głowie... Ale Samborowi mimo tych obietnic ciężko na sercu było.

— Mój ojcie — szeptał tęskno. — Co ty każesz, ja muszę. Ale ja tu tak jak wolny był, tam idę na pętą i pod grozę. U was my wszyscy dziećmi, tam wszyscy niewolnikami. Gorzki to chleb, co go w pętach jeść potrzeba.

Podstęp, Szpieg

¹⁰¹ *ze się od nich pochowały* — że się przed nimi pochowały. [przypis edytorski]

¹⁰² *znosić się z kim* — zmawiać się. [przypis edytorski]

¹⁰³ *dojeść komuś* — dokuczyć; tu: forma 3.os.lp.r.n. dojadło: dokuczyło. [przypis edytorski]

¹⁰⁴ *bliźniaki* — tu: gliniane naczynie złożone z dwóch połączonych ze sobą dzbanów, w którym noszono jedzenie pracującym w polu itp.; dwojaki. [przypis edytorski]

¹⁰⁵ *Kupała* — święto pogańskie ludów słowiańskich, bałtyckich, niektórych germańskich, celtyckich i ugrofińskich, przypadające na najkrótszą noc roku (przesilenie letnie, z 21 na 22 czerwca). Święto ognia, wody, słońca i księżyca, urodzaju, płodności, radości i miłości; jego obchody skupiały całą lokalną społeczność. [przypis edytorski]

¹⁰⁶ *Kolada* a. *Szczodre Gody* — święto obchodzone w okolicach najdłuższej nocy kalendarzowej, w tradycji słowiańskiej celebrujące przesilenie zimowe. [przypis edytorski]

Wisz, jakby skarg tych słuchać nie chciał, nie odpowiedział na nie.

— Patrz a ucz się — powtarzał. — Zapamiętaj wszystko. Nam się stamtąd wszystkim niewola gotuje, jeśli o sobie nie pomyślimy. A kto z nas wie, co się w tym wilczym dole praży i smaży? Żaden z kmiściów nie ma tam swojego. Ja tam twoje oczy posyłam za moje. Kneź sroga bestia, ale pokłony lubi; bij mu je, zyszczesz łaski, nie będą się tać przed tobą. Piją, a po pijanemu wygadają, co u trzeźwego na myśli.

Stary szeptał coraz ciszej, kiedy niekiedy chłopaka bijąc po ramieniu... Ten stał z głową zwieszoną, zachmurzony; księżyc już się był podniósł¹⁰⁷ w górę i świecił w rzece odbity, gdy po długiej rozmowie się rozeszli. Sambor jak wkuty na podwórku pozostał, oparty o wrota. Psy przyszły mu się łąsić do ręki, pogłaskał je. Słuchał śpiewu słowików i kłopotania żab, i hukania bąka na błotach, jakby chciał sobie w pamięć wrazić tę muzykę nocną puszczy, którą nierychło znowu usłyszeć się spodziewał.

Sen go nie brał — siadł na kłodzie i przesiedział noc całą do dnia.

Już się we dworze niewiasty ruszać zaczęły, gdy parobczak poszedł, obchodząc zagrodę, ku tylnym wrotom, jakby się tam kogo spotkać spodziewał.

Jaga wyszła naprzód i pospieszyła ku niemu.

— Samborze, mój miły, nie trwóż się i nie tęsknij. Powrócisz.

Ale sama łzę fartuchem otarła. Wtem przez drzwi wpółotwarte pokazała się Dziwa, która, w rękach trzymając kosy, zadumana plotła je powoli. Spojrzała na chłopaka i smutnie mu się uśmiechnęła.

— Co ty tak stoisz ponury? — rzekła powoli, głosem jakimś spokojnym, a jak śpiew przeciągłym. — Co tobie? Nie wstyd ci mieć strach w sercu, a łzy w oczach? Nie każdemu dano siedzieć w chacie i spoczywać, różne losy, różne dole. Dobrej myśli bądź! Czasem ja widzę, widzę daleko, widzę jasno, czasem ja jutro odgadnę... Nie smuć się, Sambor. Złego ci się nic nie stanie.

— Szkoda mi was porzucić — rzekł chłopak — a tęskno będzie.

— I nam za wami! — rzekła Jaga.

— Nam za wami! — powtórzyła Dziwa. — Ano, wy do nas wróćcie.

— Kiedy? — zapytał Sambor.

Dziwa puściła z rąk włosy, oczy utopiła w ziemię, całą jej postać przybrała uroczysty wyraz i poczęła mówić z wolna, nie patrząc na chłopca:

— Wróćcie, wróćcie, gdy nad Gopłem luna stanie, trupy spłyną po jeziorze... Kneź stary z lasu wyjedzie, nowe przyjdzie panowanie, gdy popioły wiatr rozwieje, kiedy kru-cy się nasycą, kiedy bartnik zbierze pszczoły. Kiedy zrąb nowy postawią nad Lednicą¹⁰⁸ u jeziora. Powróćcie, zdrowi, cali... Z jasnym mieczem, z jasnym czołem.

Coraz ciszej mówiąc, zamilkła, podniosła oczy na stojącego przed sobą Sambora i rękami obiema śląc mu pożegnanie, z uśmiechem, jakby oprzytomniona nagle, chwyciła rozpuszczone kosy, wbiegła do chaty i drzwi zatrasnęła za sobą.

IV

Wszystko się już budziło po szopach i oborach... Parobcy szli wypędzać stada... Dziewczęta czerpały wodę u studni. Smerda ze swoimi wstawał, napędzając do drogi, Hengo chłopca śłał do wodopoju, na ognisku stare sługi rozpałały ogień. Wisz, który sen miał lekki, z siermięgą na plecach zarzuconą wyszedł o kiju obejrzeć naprzód, jaki się dzień obiecywał.

Niebo nad rankiem szare chmury okryły, od strony tylko wschodu rumieniały one, a choć wiatru czuć nie było na ziemi, górą obłoki pędziły żywo, wyprzedzając się i kłębiąc. Nad błotami stały gęste opary, poruszały się — to bledniejąc, to szarzejąc. Rosa kroplista, biała okrywała trawy i szklila się na zielonych liściach młodych. W szopie słychać było beczące owce, na pastwiskach rżące konie, u brzegu mruczającą rzekę i jeszcze zawodzącego nieznużonego słowika.

Dwa kruki z zachodu z wolna ciągnąc, zatrzymały się nad chałupą i poleciały dalej leniwo... Stary obejrzał się za nimi i pokiwał głową.

¹⁰⁷ się był podniósł — daw. forma czasu zaprzeszłego używana dla mówienia o czynności poprzedzającej inną, również przeszłą. [przypis edytorski]

¹⁰⁸ Lednica — jezioro w Polsce, na Pojezierzu Gnieźnieńskim. [przypis edytorski]

Kobieta, Proroctwo, Wizja

Wieś, Świt

Sługi z szopy niosły świeżo udojone mleko kobyłę. W izbie stał już znów ceber piwa i placki dla gości, aby o głodzie ze dworu nie wyjechali. Na ławie Wisz zawczasu położył niedźwiedzią skórę, której mu było żal, ale Smerdzie ją trzeba było dać, aby złej woli nie miał i nie skarżył przed panem.

Sambor, posłuszny, już węzełek swój na drogę wiązał, skórnie ozuwał i mocno około nóg sznurował... Procę i łuk nałożył na siebie, toporek u pasa uwieszał. Smutnoż mu było. A przecież, młody, pocieszał się trochę, że na białym świecie dużo zobaczy... Więcej za jeden dzień¹⁰⁹ niż w zagrodzie za życie całe.

I żał mu było wszystkich, bo ku chacie spoglądał, ale oprócz starej Jagi, która mu kołacz do torby przyniosła, nie zobaczył już nikogo. Parobcy tylko na szyi mu się wieszali.

Smerdowi towarzysze, on sam i Hengo, i gospodarz stary, zebrali się około ogniska. Wszyscy jechać spieszyli, bo się im zdało, że deszcz lunie prędko, tak groźne ciągnęły chmury; tylko Wisz spokojny ręczył, iż się niebo rozpogodzi.

Niemiec nie zdawał się frasować¹¹⁰ wcale, że go zabierano do kneziowego grodu, szedł jakby po dobrej woli, choć oczy towarzyszków chciwie się na jego sakwy zwracały. Milczący Gerda więcej nadeń był strwożony i z tego nikt się słowa nie dopytał.

Śmieli się z niego wszyscy, palcami wytykając: „Niemy!”

Po dobrej chwili, najadłszy i napiwszy się, ruszyli wszyscy do koni. Sambor staremu do nóg padł, ale ten, skinąwszy tylko, odprawił go sucho. Konia mu z domu nie dawano — musiał więc pieszo zdążać za drugimi.

Smerda ruszył przodem, za nim czterech jego towarzysze, około których szedł nowozaciężny z głową spuszczoną, dalej Hengo z chłopakiem. Tak wyciągnęli za wrota i brzegiem rzeki się kierując, wkrótce znikli w zaroślach z oczów staremu Wiszowi. Sambor, obejrzawszy się, nie dojrzał już nic, tylko słup dymu nad zagrodą wzbijający się ku górze.

Jak przepowiedział stary, tak się stało — mały tylko jak rosa deszczyk przekropił, zapachniały po nim brzozy, niebo się jasne zza szarych zaczęło ukazywać obłoków. Cała chmur nawala zbiła się na zachodzie, nad głowami podróżnych wyjaśniło się i blade słońce wyjrzało zza przejrzystych rąbków jak oblubienica, gdy się z pościeli podnosi. Podróżni jechali w milczeniu. Konie ich same prawie torowały sobie drogę, choć znaku jej żadnego nie było.

Smerda, jadąc, drzemał — spali też na koniach, choć ciągle się budząc, jego towarzysze; Hengo tylko i Sambor czuwali.

Jadąc to samym rzeki brzegiem, to się spinając nieco ku górze — łąkami na przemiany i gąszczami, które konie łamały, liście w pyski chwytając — posuwali się dalej coraz, milczący... Tuż na prawo stały lasy ciemne, podszyte, szeroko zwieszając gałęzie. Gdzieniedzie z tych głębi puszczy gniły strumień, trawą i mchami obrosły, dobywał się, szemrząc, i ciekł do rzeki wąskim korytem.

Ćwierć dnia tak już upłynęło, gdy na pagórku ujrzeli kamień wielki, a dokoła niego pomniejsze, ustawione jakby na straży. Niektóre z nich już były w ziemię zapadły, na innych mech siwy porastał... Stary, zgarbiony człek, z kijem białym, około kamienia się przechadzał. Było to prastare uroczysko, gdzie niegdyś składano ofiary... Stary, około kamienia stanąwszy, ręce wyciągnął, coś mruczał i ziele jakieś nań rzucał. Lecz wprędce go z oczów stracili.

Dalej sypana mogiła wysoka stała u brzegu, cała darnią porosła, u dołu zarzucona zielonymi gałęziami. Tu każdy, ułamawszy więc po drodze, rzucił ją wymijając; Hengo tylko, choć patrzył ciekawie, wstrzymał się od tej ofiary.

— Co to za mogiła? — zapytał Sambora.

— Leszkową się zowie — odparł chłopak. — Tu kneź stary, broniąc wrogowi przejścia rzeki, strzałą rażony zginął. Wojsko się rzuciło, najeźdźnika rozbiło, a panu swemu, po garści rzucając ziemię, mogiłę usypało... Pod mogiłą skarby wielkie być mają, których duchy pilnują. Raz w rok na Kupalę otwiera się mogiła i może wniknąć po skarby, kto chce, a brać, ile mu się podoba; ale musi spieszyć z powrotem, bo gdy kury zapieją, zamyka się mogiła i niejeden już w niej pozostał.

Rozstanie

Zabobony, Obrzędy

Grób, Obrzędy, Czary

¹⁰⁹za jeden dzień — dziś: w jeden dzień; w ciągu jednego dnia. [przypis edytorski]

¹¹⁰frasować się — martwić się. [przypis edytorski]

Samborowi ze smutku na baśń się zebrało, mówił więc, jak jeden chciwy skarbów parobek podkrał się nocą kupałową pod mogiłę, jak w nią wszedł, znalazł gmachy wielkie, cudne izby pełne złota, i jak coraz idąc dalej, nie opatrzył się, aż kury zapiały... I rok go cały nie było... Dopiero gdy się znowu otwarła, wyszedł z niej żywy, ale niemy, gdyż duchy mu usta zamknęły, aby ich tajemnic nie zdradził.

Dalej kraj było widać ludniejszy nieco, w prawo i lewo po gajach dymiło się w chizynach¹¹¹, nad rzeką spotykali gęsto wygasłe ogniska i końskich kopyt ślady... Tu i owdzie leżała kość biała...

Około południa stanęli w dębinie zielonej, gdzie i pasza dla koni była obfita, i woda blisko — dla wypoczynku. Tu zsiadłszy, wszyscy pokładli się w cieniu, a kto co miał, spożywał. Sambor dobył białego kołacza Jagi, popatrzał nań i schował — głodnym być wołał, niż go stracić... Był to kołacz domowy!

Słońce jak wczoraj dopiekało, najmniejszy prawie powiew wiatru nie ochładzał skwaru. Naokół znowu nic więcej widać nie było, jeno lasy i gęstwiny, łąki i moczary. Gdzieś niedaleko w kotlinie leżało jezioro jasne, lśniące jak oko, zdając się przyglądać krajowi, nad nim jak rzęsy sterczały trzciny i jak brwi pasy lasów stały.

W pół dnia wszystkie nawet ptastwo ucichło, brzęczały tylko koniki i polatywały bąki, milczenie wielkie do snu kołysało. Smerda drzemał, Hengo, brwi ściągawszy, coś rachować się zdawał, gdy Sambor w dali głos ludzki posłyszał.

Nie widać było nikogo, uszu jednak dolatywało śpiewanie powolne, które się coraz zbliżało. Cichy to był i stłumiony śpiew, drżącym nucony głosem samemu sobie, brzęk jakby poruszanych strun mu towarzyszył. Słów jeszcze nie mogło pochwycić ucho — ale nuta była żalosna, grobowa, smętna.

Wszyscy ciekawie oczy zwrócili ku brzegowi rzeki, skąd się głos dobywać zdawał.

Dołem, wybrzeżem piaszczystym, szedł starzec ślepy, mały go chłopak prowadził. Włókł się z wolna, w rękę trzymał gęślę¹¹², po strunach jej przebiegając ręką drżącą. Smerda, który się przebudził, ujrawszy go z góry, zawołał:

— Bywaj tu, stary!

Ślepiec się zatrzymał, z wolna głowę podniósł i oczy białe, krwawymi obwiedzione powiekami.

— Bywaj tu stary, chodź, spocznij — powtórzył Smerda. — Placka przełamiemy z tobą i posłuchamy pieśni.

Śpiewak struny przebiegać zaczął palcami, ale pieśń się przerwała. Stanął, myślał, potem chłopcu dał znak kijem i ku wzgórzu iść zaczęli.

— Dokąd idziesz, stary? — spytał Smerda.

— Albo wiem? Po świecie... — rzekł ślepiec. — Z pieśniami idę od chaty do chaty.

To mówiąc, miejsce, na którym stał, począł kijem obmacywać i ostrożnie osunął się na ziemię. Gęślę złożył na kolanach, dumał. Pomilczawszy nieco, jakby życie jego pieśnią być musiało, jakby mu ona, nie wylewając się z piersi, nabrzmiewała w nich, jakby mu była tchnieniem, bez którego ostać się nie mógł, niezrozumiale, cicho, sam sobie nucić zaczął.

Milczeli wszyscy. Jeden z pacholków dobył z torby placek i położył go na rękach starego, który powoli do ust zaniósłszy, gryźć począł. Chłopak, który go wodził, poszedł do rzeki garnuszkiem zaczerpnąć wody.

Sambor siadł przy nim.

— Stary Słowanie — rzekł — na noc zajdźcie do Wiszowego dworu... Tam was ugoszczą radzi.

— Na noc? Do Wiszowego dworu? Nie moimi nogami — rzekł ślepiec. — Nogi stare i starte. Dybię nimi powoli... Jak ślimak się wlokę... A co ujdę kawał drogi, sięść i spocząć każą nogi. A do Wisza, do starego, daleko... Daleko...

— Przecie wy tam zajdziecie — mówił Sambor. — A gdy u wrót staniecie, pozdrowicie ich tam od tego, co dziś ich pożegnał.

— Wy z Wiszowej zagrody? — spytał stary. — A któż z wami, a wielu... Czuję ludzi dokoła? Chociaż oczy nie widzą...

¹¹¹chizyna (z ukr.) — chata, chałupa. [przypis edytorski]

¹¹²gęśla a. gęśle — ludowy instrument strunowy, smyczkowy. [przypis edytorski]

Wtem Smerda wtrącił:

— Kneziowscy ludzie... Hej! Do grodu jedziemy, do stołba. I ten z nami. A wy byliście na grodzie?

— Dawniej... Dawniej! — rzekł stary. — Teraz tam nie ma po co... Tam mieczyki śpiewają i żelazo gra... Pieśni słuchać nie ma czasu.

Westchnął.

— A po co kneziowi pieśń? — zawołał Smerda. — To babska rzecz.

— A wojna... Wojna — jakby sam do siebie mówił ślepy Słowan — wojna dzikich zwierząt sprawa. Póki obcy duch nie zawiał na Polany, orali ojcowie i śpiewali, i bogów chwalili w pokoju, oręża nie potrzebowali, chyba na zwierza...

Smerda się rozśmiał.

— Eh-e! — rzekł. — Nie te to czasy!

— Nie te święte czasy, co bywały — ciągnął śpiewak ślepy. — Nie te czasy, gdy u nas gęśli bywało więcej niż żelaza, a śpiewu niż płaczu. Dziś ślepy gęslarz lasom pieje¹¹³, a słuchać go nie ma komu. Niech się uczą lasy, jak żyli ci, co śpią po mogiłach, po kamiennych. A jak pomrą starzy, pieśń z nimi pójdzie do ziemi, synowie o sprawach ojców wiedzieć nie będą, zamilkną mogiły. Stary świat padnie w ciemności...

Mówił tak z wolna, a słowo w pieśń przechodziło nieznacznie i nie postrzegł się, jak nucić zaczął. Ręce, chleb porzuciwszy, same po strunach biegać zaczęły, a struny skarżyć się i płakać.

— Jam może śpiewak ostatni — rzucił Słowan. — Mnie oczy wybrano w młodości, aby dusza w drugi świat patrzała. Jam wszystkie ziemie zwędrował, a nie widział żadnej, od Dunaju huczącego do Białego Morza¹¹⁴, od Chorbatych Gór¹¹⁵ wierzchów, aż do lasów u Łaby. Niosły mnie nogi, nie oczy, bez drogi; gdzie dola wiodła, gdzie się ludzi zebrała gromada. Siadałem na ziemi, stawali kołem nade mną, niewiasty plaskały w dłonie, starzy po ojcach płakali. Szedłem od uroczyska do uroczyska, od mogiły do mogiły, od źródła do źródła... Hen, hen, aż gdzie się kończy ludzka mowa.

Zamilkł. Smerda pół słuchał, pół drzemał. Gdy ustał, odezwał się.

— Śpiewaj, śpiewaku, dalej.

— O czym wam śpiewać? — mruczał jakby sam do siebie ślepiec. — Wam pieśni innej potrzeba, wy starej nie rozumiecie. O czym śpiewać? O praojcach znad Dunaju, o prapraojcach ze wschodu, o braci znad Łaby i Dniepru¹¹⁶? Wy ich nie znacie, o białych i czarnych bogach, o Wisznu¹¹⁷ i Samowile¹¹⁸?

Głos mu się zniżał, głowa trzęsła...

— Dawniej bywało inaczej! Śpiewaka witały gromady, wiodła starszyzna pod święty dąb, nad święty źródło, na horodyszcze¹¹⁹ wiecowe, na żalniki¹²⁰ mogilne. Starzy i młodzi stawali kołem, słuchali... Miód i piwo przed ślepym stało, wianki mu kładli na skronie. Na grodzie kneź dawał mu ławę okrytą, miejsce poczyste¹²¹. Dziś my pastuchom śpiewamy na wygonie... O głodzie i wodzie.

— Śpiewaj no, stary... Śpiewaj! — rzekł Smerda.

— Śpiewaj nam! — powtórzyli za nim drudzy...

Słowan w struny uderzył.

— Hej! Hej, posłuchajcie... Starej pieśni znad Dunaju.

Cicho się stało dookoła — on nucił słabym głosem:

¹¹³pieje — tu: śpiewa. [przypis edytorski]

¹¹⁴Białe Morze a. Morze Białe — morze śródlądowe, stanowiące część Oceanu Arktycznego, położone między Półwyspem Kolskim a wybrzeżem północnej Rosji. [przypis edytorski]

¹¹⁵Chorbaty Góry a. Karpaty — łańcuch górski w środkowej Europie, ciągnący się łukiem przez terytoria ośmiu krajów: Austrii, Czech, Polski, Słowacji, Węgier, Ukrainy, Rumunii i Serbii. [przypis edytorski]

¹¹⁶Dniepr — rzeka w Rosji, na Białorusi i Ukrainie, w zlewisku Morza Czarnego (dl. 2285 km). [przypis edytorski]

¹¹⁷Wisznu — w hinduizmie bóg przenikający wszystko i wszystko w sobie zawierający, związany ze światłem, ogniem i Słońcem. [przypis edytorski]

¹¹⁸Samowila a. Samodiwa — demon folkloru bułgarskiego, pokrewny rusalkom. [przypis edytorski]

¹¹⁹horodyszcze — miejsce, na którym stał dawniej gród. [przypis edytorski]

¹²⁰żalnik (daw.) — cmentarz. [przypis edytorski]

¹²¹poczystny — będący oznaką czci wobec kogoś; godny, naczelny, najważniejszy. [przypis edytorski]

— Zza rzek siedmiu, zza gór siedmiu, znad Dunaju pieśń ta leci. Król dunajski w wielkiej trwodze; z wielkim ludem Czytaj idzie. Zabrakło mu ziemi doma; siołom¹²² roli, bydłu paszy i do Boga Wiszny woła: „Lud umiera, daj mi ziemi”. Bóg się ulitował, rzecze: „Tam, za Dunaj idź z gromadą, na pustynie, na szerokie. A ty, królu na Dunaju, nie waż mu się stać oporem”. Ręce łamie król w rozpacz! Czytaj zawojuje ziemię, Czytaj państwo mi podbije! Czy pokojem iść czy wojną? Czy mu opór stawić zbrojno? Dziewki woła: „Radź, dziewczyno...”. Kamiana mu radzi: „Królu, wojsko postaw nad Dunajem. Nie zwojuje ludu twego”. Czytaj idzie, tłumy za nim; kędy przyjdzie, lud zabiera, iść mu każe. Dziewki płaczą, on im rzecze: „Łzy otrzyjcie, wiodę was w zielone kraje, kędy dzicy ludzie żyją, roli orać nie umieją... Będziem uczyć i panować...”. Dziewkom oschły łzy i idą... Idą, idą, Dunaj biały stał na drodze... Z wzdętą wodą... Lody na nim roztajały... Król Dunaju strzeże brzegu. Wojsko wielkie, jak przejść wody? Jak pokonać wojska siłę? Myśli Czytaj, myśli, woła: Na kolana, do modlitwy, Bogu módlcie się Koladzie, Samowile, co wiatr trzyma. Niech rozpuści wiatrom wodze, niechaj Dunaj lodem stanie. Przejdziemy go suchą nogą”. Padli na twarz przed Koladą, modlą się do Samowily. Wiatry przyszły, Dunaj ścięły, wojska idą suchą nogą. Król dunajski słuchał rady. Wojsko zebrał, stoi w polu, u Dunaju legł obozem... Samowila wiatrem smaga i na Dunaj wieje mrozem, a gorącym wojsko pali. Przeszli Dunaj... A gdzie stało wojsko, kośćmi pobiełalo. Kamiana patrzy i płacze. Czytaj wnet zajmuje ziemię, pługi idą w żyzne pole, bydło ryczy, domy stają, ludzie uczą się siał ziarna. O Kamiano, rada marna! Przeciw Bogom nic nie nada¹²³. I Kamiana leci błada, w biały Dunaj głową pada. Pieśń się o tym ludziom pieje. Bóg wam zdrowia niechaj daje, a pieśń przy mnie niech zostaje...

Skończył śpiewak, panowało milczenie.

— Inną jeszcze — zawołał Smerda. — Nie żałuj nam, stary!

Ślepiec znowu uderzył w struny.

— Dłuższa to pieśń, od Chorbackich Gór — rzekł — młodsza pieśń, może się wam spodoba lepiej.

I nutę wziął też inną, rażniejszą a ognistszą, i słowa mu żywiej biec zaczęły, a białe oczy połyskiwały straszno.

— Wisło biała, matko biała, czemu mętne wody twoje? Jakże mętne być nie mają, kiedy do nich łzy padają? Lud u brzegu ręce łamie, ręce łamie i ratunku woła, a ratunku nie ma... Smok w pieczarze siadł pod górą; co zobaczy, to pochłonie, co pochwyci, to pożera. Kiedy z głodu ryczy wściekły, cała góra drży od ryku. Kiedy syty dysze¹²⁴ w jamie, oddech powietrze zaraża... Noc i dzień spoczynku nie ma: pola puste, lud ucieka, zwierz do lasu goni z trwogą... Trzody wypłenił i ludzi, dławi niewiasty i dzieci, a nigdy pastwy nie syty, ciągle ryczy, ciągle dyszy. Czymże zgładzić żmiję, smoka? Miecz mu skóry nie przebije, pałka czaszki nie roztrzaska, gardła mu nie zduszą dłonie i piorun go nie zabije, i woda go nie pochłonie, i ziemia go nie przykryje. Krak na grodzie smutny siedzi, myśli, дума, brodę zwija, podparł się i patrzy w ziemię. „Jak mam pożyć¹²⁵ tego smoka, jak potworę tę umorzyć¹²⁶?”, myśli miesiąc, myśli drugi, smok żre ludzi, myśli trzeci, a smok ryczy... „Rady! Rady!”, płacze, ręce załamuje, „Jak mam pożyć tego smoka, jak potworę tę umorzyć?”.

Siedem razy miesiąc¹²⁷ rośnie, siedem razy się roztapia, aż Krak Skubę wołać każe. „Skubo, złeź, rób coś rzekę¹²⁸: zabij wołu, owcę zabij, wnętrzności wyrzuć do wody, a smoły weźmij gorącej, a siarki nabierz palącej, a węgla, nabierz czerwonych. Wypchaj ściervo siarką, smołą, podrzuć je pod smoczą jamę, kiedy żmij¹²⁹ zaryczy z głodu. Smok niech ogień ten pochłonie, niech mu wnętrzności przepali, niech pęknie dzika potwora”. Poszedł Skuba i tak czyni, jako mądry król rozkazał. Zabił wołu, owcę zabił, nadział siarką, węglem, smołą, do pieczary je przywleka.

Śpiew

¹²²siolo — wieś. [przypis edytorski]

¹²³nie nada (z ros.) — nie wolno (w domyśle: czynić). [przypis edytorski]

¹²⁴dysze — dziś popr. forma 3 os. lp: dyszy. [przypis edytorski]

¹²⁵pożyć — tu: zmóc, zwalczyć, pokonać. [przypis edytorski]

¹²⁶umorzyć — tu zabić; sprawić, żeby ktoś umarł. [przypis edytorski]

¹²⁷miesiąc (daw.) — księżyc. [przypis edytorski]

¹²⁸coś rzekę — co ci mówię. [przypis edytorski]

¹²⁹zmij — tu ogólnie: gad. [przypis edytorski]

Gdy smok wyje z głodu wściekły i głodną paszczę otwiera: Naści strawę, żmiju-smo-
cze. Polyka straszna paszczęka, ryknie, aż drży góra cała i gród ze stolbami się chwieje.
W smoku palą się wnętrzności, trzewia ogień mu wyżera. I z jamy głowę wywleka, leci
do Wisły i żłopie. Żłopie, aż się nadął cały i, rycząc, rozpukł¹³⁰, i zdycha.

Wtem Krak z mieczem idzie z grodu, łeb żmii strasznej ucina, na żerdź go wtyka
wysoko. Patrzaj, narodzie mój miły, że się twe męki skończyły. Ptacy niosą wieść we-
sołą, wiatry polami z nią biegą, niech rolnik wychodzi z pługiem, niech pastuch bydło
wyżenie¹³¹, niech dzieci idą na łąki. Nie ma już smoka na ziemi.

Nad smoczą jamą na górze gród się kamienny podnosi, tam Krak króluje spokojny,
na cztery strony spoziera, cztery zwojował narody. A broda rośnie mu siwa i już mu
piersi zakrywa, już i do kolan mu sięga. A kiedy dotknie się ziemi, król wie, że umrzeć
mu pora. Ni się weseli, ni smuci, że swe królestwo porzuci, dwu synów ma już u boku
i córkę, Wandę, ma jedną. Broda dorosła już ziemi. „Przyszła już na mnie godzina; weźcie
królestwo na dwoje. Siostrze dać królewskie wiano i życie w braterskiej zgodzie. Płacz
po swym ojcu, narodzie!”. Naród zapłakał i ciało niesie na górę Lassotę¹³², na stosie go
posadzili, tryznę¹³³ z obiatą¹³⁴ sprawili, popioły Kraka zebrali, każdy wziął po garści ziemi,
szli i sypali, dopóki mogiła w górę nie wzrosła.

Kraj na pół bracia dzielili, poczną panować Krak z Lechem. I Krak ma ziemi połowę
i Lech połowę ma ziemi. Lech patrzy na brata z trwogą: „Starszy mi kark zgniecie nogą.
Jedźmy do lasu na łowy, bracie, na zwierz dzikiego, jedźmy razem w puszcę ciemną...
Będziemy gonić jelenie, będziem zabijać niedźwiedzie”. Siedli na koń, siostra z wieży
prosi: „Nie jedźcie na łowy! Krucy dziś krakali rano i sen miałam w nocy krwawy. Weź-
cie czeladź, weźcie z sobą, zwierz jest dziki, las jest czarny”. A Krak śmieje się i rzecze:
„Zwierz i las nie straszny dla nas”. Aż w puszcę ciemną wjechali; wtem młodszy staje
i rzecze: „Tutaj ci, bracie, umierać, ja całe państwo zagarnę”. Rzekł i młotem w skroń mu
ciska, aż krew szkarłatna wytryska i Krak na ziemię upada. Co tu czynić z ciałem brata?
Z ziemi wilcy je wygrzebią, po trupie poznają ludzkie. Mieczem go rąbie na ćwierci, tnie
go na drobne kawały i na rozstajach je grzebie. Piaskiem białym przysypuje, nogami ubi-
ja ziemię. Księżyc i gwiazdy patrzyły, puszcza ich widziała ciemna; księżyc, gwiazdy nie
wydały, puszczy nikt nie słuchał głosu.

Jedzie na gród Lech i płacze, suknię rozdarł, ręce łamie: „Biada mi, oto zwierz srogi
brata zagryzł w ciemnym lesie. Krew widzicie na mej szacie, bom go bronił nadaremno”.
Lech wziął po nim ziemią całą i sam panował na grodzie. Na rozstajach kędy ciało białym
piaskiem przysypane, jasne lilije wyrosły, kwitną i z wiatrem bujają, wiatrom, jęcząc,
powiadają: „Tutaj jest Kraka mogiła, ręka brata go zabiła”. Ludzie idą nocą drogą, dziwne
głosy słyszą z trwogą, wiatr odwiedza Kraka ciało. Na zamek niosą je ludzie, starszyzna
na gród się zbiera. Niechaj ten, co zabił brata, idzie z ziemi na kraj świata, kędy oczy go
poniosą.

Wanda została jedyna, która bogom ślubowała. Ona będzie nam królową. „Jak mam
być królową waszą, kiedy bogom ślubowała, że męża nie będę miała?”. „Wanda morza,
Wanda ziemi, Wanda powietrza królowa”, naród śpiewa i wykrzyka: „Córka Kraka niech
panuje!”.

Na granicy, na rubieży, Niemiec siedzi jak lis w jamie, wieść do niego szybka bieży,
dziewka siedzi na stolicy, wianek ma miasto¹³⁵ korony, kądziel miasto miecza trzyma,
męża nie chce, pana nie ma!

Rytgar kupy zbiera zbrojne, na bezbronny kraj, na wojnę. I stanęli na granicy, i śle
posły do dziewicy: „Mężem twoim chcę być, Wando, lub tve ziemi ogniem, mieczem
przejdziem, spalim i wysieczem”. Już pola wojsko zalewa i las oszczepów się jeży, świecą
tarcze, chrzęszczą bronie. Przyszły posły, Wanda staje. „Ślubowałam bogom wiarę, męża
nigdy mieć nie będę. Chcecie wojny? Wojsko sprawię, niech rozstrzyga bitwa krwawa”.

Brat, Władza, Podstęp,
Morderstwo, Las, Ciało,
Kłamstwo, Prawda, Kara,
Wygnanie

Kobieta, Król, Władza,
Bóg, Małżeństwo, Mąż,
Niemiec, Chciwość,
Zwycięstwo, Ofiara

¹³⁰rozpukł — rozpękł; pękł; por. wyrażenie: *śmiać się do rozpuku*. [przypis edytorski]

¹³¹wyżenie — wypędzi (na pastwisko). [przypis edytorski]

¹³²Lassota a. Lasota — wzgórze w Krakowie. [przypis edytorski]

¹³³tryzna — stypa; starosłowiański uroczysty obrzęd pogrzebowy obejmujący ucztę, wspomnienie zmarłego
oraz urządzone na jego cześć igrzyska. [przypis edytorski]

¹³⁴obiata — ofiara składana bogom u daw. Słowian. [przypis edytorski]

¹³⁵miasto (daw.) — zamiast. [przypis edytorski]

Posły poszły, wojska płyną, pola, góry wnet obsiadły, Wanda z mieczem, skronie w wianku, przodem jedzie, twarzą świeci. Patrzaj Niemcze, licz swe siły. Spojrzał Rytgar, kędy były, ani śladu ani slychu, pierzchło wojsko w lasy, góry. Sam się został Rytgar srogi. Losy swoje klnie i bogi, miecza dobył, pierś przesywa, „Królujże, Wando szczęśliwa”. Zwycięska wraca królowa... I na gród swój naród woła. Wyszła z wianuszkiem u czoła, w sukni białej, z kwiatkiem w dłoni.

„Pozdrawiam was, cni ojcowie. Przyszła na mnie ma godzina, życiem bogom ślubowałam, na raz oddam im je całe, niż o rękę bić się mają ci, co ziemi pożądam. Wiedźcie mnie do Wisły brzegu, nad głębinę, nad wir wielki”, rzekła i w Wisłę się rzuca. Naród płacze swej królowej, cały się zbiega do ciała i sypie pani mogiłę, i pieśń o niej wieczną śpiewa.

Bóg wam zdrowie niechaj daje, a pieśń przy mnie niech zostaje...

Nieopodał siedzący Hengo, gdy o Rytgarze zaśpiewał stary, jął dyszeć i sapać tak, że go ślepiec poczuł. Wnet też, ledwie dokończywszy, począł, kijem się o ziemię opierając, podnosić. Pomogli mu Sambor i pacholcy.

— Cóż ci to, stary? — zapytał Smerda.

— Obcegom poczuł — rzekł trzęsącym głosem Słowan. — Przed obcym śpiewałem... Jakbym miód lał w kałużę!

I wnet, mruczając niespokojny, z nasepionymi brwiami, wyrwać się zaczął do pochodu, chłopca przed sobą kijem gnając. Nie śmiano go wstrzymywać. Parę razy gniewny odwrócił głowę i oddalił się szybko, dłonią ucisnąwszy struny, aby dźwięku wydać nie śmiały, usta zacisnąwszy, aby się z nich głos nie dobył.

V

Cała też gromada do koni zaraz ruszyła, bo czas było w dalszą drogę. Tuż i rzekę w bród przebywać było potrzeba, a Gerda na swojego konia wziął Sambora... Na przeciwnym brzegu widniało pólko, zasiane i obrzucone zasiekami¹³⁶, ale niedźwiedzie go nocą splądrowały. Las był tu przerzedzony, pnie w nim sterczały poopalane. Dalej pasło się koni stado i zbrojny człek go pilnował z rogami u pasa, a pałką nasiekiwaną¹³⁷ w rękę. Znowu przejechali gaj i tu dopiero szersza pola przestrzeń przed nimi się odkryła. Nieopodał już widać było jezioro wielkie, w którym się słońce zachodzące przeglądało. Nad wodami jego ptastwo unosiło się stadami, czółna stały u brzegów, inne przesuwały w dali.

Hengo i Sambor, podniósłszy oczy, ujrzeli w odległości wysoką, szarą wieżę wyniosłą: stołb grodowy, który okolicy panował. Stał nad brzegiem samym, posępny jakiś i straszny, a dokoła pod nim cisnęły się zręby budowli, szopy i chaty.

— To kneziów gród¹³⁸! — z dumą zawołał Smerda, zwracając się ku Niemcowi i wskazując stołb w oddaleniu. — Przybędziemy na czas, nim się do snu zabiorą.

Towarzyszom oczy zaświeciły, Sambor ponuro spojrział przed siebie, konie zaczęto żywiej popędzać, tak że parobczak biegiem je doganiać musiał. Niemiec spode łba rozpa-trywał się bacznie.

W miarę jak się zbliżali, gród coraz wyraźniejszym się stawał. Wieża z szarych kamieni w oczach im rosła; u podnóża jej rozeznawali dwór malowany, chaty, zabudowania, szopy, w części wałami osłonięne. Do muru stołbu przypierały obszerne, z drzewa wzniesione domostwa, z dachami ze szczap drewnianych, przez które teraz miejscami dym się dobywał. Około grodu ludzi i koni widać było gromady i stada. U brzegu poili bydło parobcy. Na wałach chodzili zbrojni ludzie, w żelaznych czółkach na głowie, z dzidami w rękę...

Wał i rów głęboki oddzielał od ładu grodzisko, przezeń most zamykany prowadził warowny i hać¹³⁹ na jeziorze... Jechali długo, nim nareszcie pod wrota ciasne przybyli; poznano Smerdę i otworzono je zaraz; a za nim jadącego ujrzawszy Hengę, ciekawi cisnąć się zaczęli i dopytywać.

¹³⁶zasiek — tu: rodzaj ogrodzenia z gałęzi, nielączonych ze sobą, lecz luźno rzuconych. [przypis edytorski]

¹³⁷pałka nasiekiwana — pałka drewniana ponacinana tak, aby z jej głowicy sterczały ostre drzazgi. [przypis edytorski]

¹³⁸kneziów gród — daw. forma D. lp; dziś: gród knezia. [przypis edytorski]

¹³⁹hać — grobla z pni i gałęzi drzew. [przypis edytorski]

Obcy, Poeta, Poezja

Zamek

Niemiec i teraz nie okazywał po sobie trwogi, z konia zszedł, cugle wziął w rękę i postępowal spokojnie za swym przewodnikiem. Minawszy hać i mosty, weszli w obszerne podwórze, na którego końcu jednym stała wieża, niemająca wnijsia¹⁴⁰ od dołu, bo do niej dostawano się tylko po drabinach. Tuż do niej przypierały kneziowskie izby i komory, a przed nimi ciągnęło się podsienie długie, na drewnianych słupach oparte. W pośrodku dworu, którego ściany i słupy białe, żółte i czerwono okraszone były, wznosiło się szersze wnijsie, na grubszych wsparte podporach, misterniej rzeźbionych. Tu wokół stały ławy szerokie, a z tego siedzenia podwórze całe, wszystkie budowy, wały, jezioro i bramę widać było.

Gdy Smerda z ludźmi swymi zajeżdżał na podwórze, w którym się dość kręciło czeladzi¹⁴¹, u wnijsia stał właśnie w kołpaku¹⁴² z futrem i piórem białym, średniego wzrostu, przysadzistej postawy mężczyzna z twarzą czerwoną, czarnym włosiem długim, rzadką brodą, dzikim a ostrym wejrzeniem. Zdawał się stąd dozorować, co się na zamku działo. Sam strój jego oznajmywał¹⁴³ pana, oblicze więcej jeszcze. Suknię miał tym prawie krojem, co wszyscy, z szerokimi rękawami, ujętą pasem nasadzonym mosiężnymi i srebrnymi ozdobami, szyję obnażoną, na nogach skórnie sznurami wełnianymi, czerwonymi poopasywane. Lecz suknia była z cienkiej tkani, lamowana bogato, za pasem tkwił miecz w świetnej oprawie, a na łańcuszku takiż nóż wisiał.

Stojący ręce obie założone miał za pas, czapkę na oczy nasuniętą, brwi zmarszczone i postawę groźną. Zaledwie go z daleka ujrzawszy, spokorniał Smerda, z konia zeskoczył, głowę obnażył i pochylony poszedł ku niemu. Zbliżając się, przygiął się niżej jeszcze, rękę do stóp pańskich przykładając.

— A kogóżeś to pojmał na drodze? — zawołał głos gruby i schrypły. — To nie swój?

— Znad Łaby, Niemiec, przekupień — począł Smerda stłumionym głosem. — On się tu pono nie pierwszy raz po kraju wałęsa... Znalazłem go w gościnie u kmiecia Wisza, kto wie, w jakich naradach? Dlatego kazałem mu jechać za sobą. Ale mi się nie opierał wcale, owszem uręczył¹⁴⁴ mi, że był do Miłości Waszej wysłany i pragnął jej czołem uderzyć...

Milcząc, popatrzał kneź na mówiącego i na Hengę, który stał z dala, jakby w oczekiwaniu. Nie dał zrazu odpowiedzi żadnej i po długim namyśle zbył Smerdę obojętnie.

— Niech tam na waszych rękach zostanie... U mnie dziś goście, czasu nie ma... Nie dać mu zażyć głodu, nakarmić i napoić... Jutro rano przyprowadzicie go do mnie...

Smerda powtórnie do stóp się pokłonił.

— Od kmiecia Wisza wziąłem parobka, zdrow i silny, będzie oszczep i dzidę nosił. Ludzi mamy mało, miłościwy panie... Sykał, stary wąż, ale musiał go dać...

— Sykają oni wszyscy — mruknął kneź — aż ja im pyski pozatulam i milczeć a słuchać nauczę... Znam ja ich, stara, wilcza swoboda wije się im po głowach... Ślepe dziady, pieśni o niej śpiewając, ludzi buntują... Dzicz tę w pęta wziąć trzeba...

Smerda się nie ważył odpowiadać, stał z pochyloną głową i zwieszonymi rękami.

— Wisz! Wisz! — ciągnął dalej, przechadzając się po wystawie¹⁴⁵, kneź. — Znam ja go, on się tam na puszczy sądzi kneziem¹⁴⁶ i panem, a mnie znać nie chce...

— I bogaty — szepnął Smerda. — Jaki tam wszystkiego dostatek! Ludzi, stada, dobytku, piwa i miodu... Kto go wie, może nawet kruszcu, srebra i złota! Ze wszystkimi kmieciami tak, miłościwy panie...

— Do czasu... — zawarczał kneź i usiadł na ławie.

Smerda poszedł spełnić rozkazy. Hengo też czekał na nie, nie oddalając się od sakwy swojej, na którą wiele chciwych oczu skierowanych było.

— Miłościwy pan aż jutro dopiero do siebie was przypuści — rzekł mu Smerda po cichu. — Macie czas spocząć i język nagotować. Przykazał mi, abym was głodem nie

Przywódca

Rodzina, Okrucieństwo,
Konflikt

¹⁴⁰wnijsie (daw.) — wejście. [przypis edytorski]

¹⁴¹czeladź — służba we dworze. [przypis edytorski]

¹⁴²kołpak (z tur.) — wysokie, spiczaste zakończone nakrycie głowy bez daszka, obszywane futrem. [przypis edytorski]

¹⁴³oznajmywać — dziś: oznajmować a. znamionować. [przypis edytorski]

¹⁴⁴uręczyć — dziś: zaręczyć, zapewnić. [przypis edytorski]

¹⁴⁵wystawa — tu: ganek; zadaszona przybudówka przed wejściem. [przypis edytorski]

¹⁴⁶on się (...) sądzi kneziem — uważa się za kniazia. [przypis edytorski]

morzył, a u nas też nikt z niego nie umarł, chyba w lochu pod więz... — dodał z uśmiechem. — Dziś — szepnął na ucho Niemcowi — dziś jego miłość ma chmurne czoło i oczy krwawe... Lepiej, że was na jutro odłożył... — Zbliżył się jeszcze bardziej do ucha Hendze. — Nie dziw, że trochę gniewny, wczoraj mu, słysz, synowca¹⁴⁷ przyprowadzili, który był zbiegł i z kmiaciami się wachał... Trzeba mu było, sadząc¹⁴⁸ do ciemnicy, oczy wyłupić, aby szkodliwym nie był. Zawsze to swoja krew... I Leszek.

Smerda potrząsł ramionami.

— A i ludzi jego dwu musiano powiesić... Szkoda, zdaliby się na wojaków, zdrowi byli, ano niebezpieczne wilki...

Smerdzie czy się gadać chciało, czy sobie Niemca zaskarbiał, ciągnął dalej uwagi swoje:

— Nielatwe tu panowanie, lud niedobry... Z kmiaciami nieustannie spory, ale ich po trosze kneź wytrzebi, karmi, poi... Za język ciągnie... A w końcu...

Rozśmiał się dziko i spojrzął ku domostwu.

Hengo miał też czas rozpatrywać się po dworze, a że wiele świata i grodów widywał, dlatego może tu nic go nie dziwiło i strachem nie ogarniało, choć twarzami dzikimi był otoczony i ludzie zdawali się tylko czekać skinienia, aby się rzucić na niego. Obchodzili go, przypatrywali się i słyszał, jak dokoła powtarzano: „Niemy, niemy!”.

Wtem, gdy tak stał, jak gdyby na coś oczekując, ujrzał schludnie odziane pacholę¹⁴⁹, z długimi włosami na ramiona, które mu kiwnąwszy głową, dało znak, aby siedł za nim.

Gerdzie polecivszy konie, Hengo, posłuszny, w trop udał się za przewodnikiem.

Przez szeroką bramę w ścianie dworu weszli z nim na drugi grodu dziedziniec. Tu inaczej jakoś i nie tak po wojennemu wyglądało. Podsienia malowane były jasno i ku słońcu obrócone, na sznurach w nich wisiały schnące bielizny i odzież niewieście. Kilka starych drzew rosło w pośrodku. W głębi widać było przesuwające się białogłowy i bawiące się w piasku dzieci.

Pacholę, palec na ustach położywszy, z wolna prowadziło Henga ku drzwiom w bocznym dworze, a gdy się te otwarły, znalazł się w pięknej izbie, której okiennica szeroko otwarta była na jezioro. Brzask wieczora wchodził tędy do środka.

Znać było mieszkanie niewieścią przystrojone ręką.

Przepelniała je woń jakichś ziół jakby świeżo powiędłych. Na drewnianym stołku przykrytym poduszką, naprzeciw komina, na którym ogień się palił, siedziała niewiasta w sukni wełnianej, fałdzistej, w zasłonach białych, otaczających twarz i głowę, na której licu resztki wielkiej niegdyś piękności znać było. Z niej teraz tylko para oczu czarnych, palających została. Obok na małej ławce drobne garnuszki, miseczki i kubki stały i zioła leżały pękami nagromadzone.

Z ciekawością patrzała na wchodzącego, gdy ten pokornie klaniał się jej do samej ziemi — uśmiechnęła się i odezwała doń w języku lasów Turyngii¹⁵⁰, mową, która serce Hengi rozradowała:

— Skąd jesteś?

— Miłościwa pani — rzekł Niemiec, oglądając się po izbie, w której ciekawe kręciły się niewiasty — jestem zza Łaby, ale nawykłem włóczyć się po świecie, a do domu rzadko zaglądam... Trochę tutejszego języka umiem, więc wożę im towar z zachodu i mieniam go z nimi.

— Mieniasz? Na cóż? — spytała niewiasta. — A cóż z tej dziczy i nędzy wynieść można? Złota ni srebra, ni żadnego kruszcu nie mają... Jak zwierzęta po lasach żyją... Miał u nich nie ma ani wsi nawet... A ludzie...

Westchnęła. Hengo się ciekawie wpatrywał w siedzącą, sięgnął nieznacznie do kieszeni, dobył z niej pierścien z kamieniem i z dała go ukazał. Ujrzawszy go, zerwała się z siedzenia niewiasta, dała znak ciekawym, aby odeszły precz, odprawiła pacholę za drzwi i żywo przybliżyła się do Niemca. Ten przykląkł na jedno kolano.

¹⁴⁷synowiec — syn brata. [przypis edytorski]

¹⁴⁸sadząc — tu: wsadziwszy. [przypis edytorski]

¹⁴⁹pacholę — starsze dziecko (najczęściej chłopiec), którego jeszcze nie można zaliczyć do młodzieży. [przypis edytorski]

¹⁵⁰Turyngia — kraina w środkowej części dzisiejszych Niemiec (obejmująca m. in. Weimar, Jenę, Erfurt i Eisenach); od V w. księstwo plemienia Turyngów, w połowie VI w. podbite przez Franków, schryścianizowane w VIII w., od początku w. IX (ok. 804 r.) jedna z marchii państwa Karola Wielkiego. [przypis edytorski]

Dziecko

Klejnót, Wiadomość, Znak

— Ty mi przynosisz posłanie od mojego ojca? — zawołała.
— I od synów waszych, miłościwa pani — dodał, powstając, Niemiec.
— Od synów — powtórzyła, ręce załamując radośnie i podnosząc je nad głowę. —
Mów, mów mi o nich długo, wiele...

Siadła znów w krześle, opierając się na dłoni, to spoglądając na Hengę, to na ogień, przy którym zioła się jakieś smażyły, a woń ich ostra izbę napelniała.

— Ojciec stary — mówił posłaniec — miłość waszą pozdrawia. On mi na znak dał ten pierścień, aby wiara dana mi była.

Zbliżył się na krok i zniżył głos nieco.

— Dochodziły tam wieści różne... Ojciec miłości waszej był niespokojny... Gotów jest przybyć na pomoc z ludźmi, gdyby jakie groziło niebezpieczeństwo... Z tym mnie posyła.

Niewiasta zmarszczyła brwi, biała jej ręka podniosła się z oznaką lekceważenia.

— Kneź wam powie sam, czy mu tego potrzeba — rzekła — lecz damy rady i bez pomocy przeciw stryjom, synowcom i kmieciom... Są różne sposoby...

To mówiąc, jakby mimowolnie popatrzała na ogień i zioła.

— Kmiecie od dawna się burzą, ale już ich wielu nie stało. Ubywa co dzień... Nie boim się ani ich, ani nikogo, gród mocny, ludzi dużo... A mój pan miłościwy umie ich pożyć. Mów mi o dzieciach... Widziałeś ich obu?

— Na me własne oczy — rzekł Niemiec. — Piękniejszych młodzianów nie ma na świecie, ani lepiej robiących bronią i koniem... Wszyscy się im dziwią...

Niewieście rozjaśniło się lice.

— Mogliby już do domu powracać — dodał Hengo — aby stanąć u boku miłościwego pana...

— Nie, nie! — przerwała siedząca. — Na to nie czas jest jeszcze. Nie chcę, aby patrzyli, co tu się dziać musi, nie chcę, aby zawczasu z własną krwią do walki występowali... Przyjdzie spokój wkrótce, naówczas ich zawołamy... A! Ja ich nie widziałam tak dawno — dodała. — Odebrano mi ich dla wojennego rzemiosła, by się go u dziada i u naszych uczyli... Tyle lat! Tyle lat... Widziałeś ich obu? — powtórzyła.

— Niejeden raz — mówił Hengo. — Choć parę lat starszy, kneź Lech jak rówieśnik obok brata wygląda. Oba silni i zdrowi... Ciskają włóczniami jak nikt... Strzelają z łuków do ptasząt... Najdziksze dosiadają konie...

Błyszczały oczy matki.

— Piękniż są?

— Nie mogą być piękniejsi nad nich! — odpowiedział Hengo. — Wzrost wyniosły, twarze jasne, modre oczy, jasne włosy...

Uśmiech poigrał po ustach słuchającej, ale zarazem dwie łzy perliste zbiegły po twarzy bladej.

Cichsza zaczęła się długa rozmowa, gęsto posypany pytania...

Mrok już padał i tylko światło ognia oświecało izbę, a Niemiec stał jeszcze i nie mógł nasycić ciekawości macierzyńskiej; w ostatku go odprawiła skinieniem: „Do jutra”.

Sambora puszczono swobodnie w podwórcach, mógł się też w nich rozglądać. Na wstępie schwycił go Kos, pacholek dawniej mu znany, i poprowadził do komory, w której się drużyna¹⁵¹ mieściła. Nie było jej teraz, gdyż jedni na wałach, drudzy na usłudze na dworze, inni na haci stali, a gromadę całą zasadził był kneź w bocznej izbie, uzbrojoną, nie bez celu. Miał kmieci w gościnie...

Kos tak nienawidził knezia, któremu służyć był zmuszony, jak większa część dworni¹⁵² jego z lasów gwałtem pobranej. Z Samborem zrozumieli się od słowa...

— A i ciebie tu do tej wilczej jamy wciągnęli — szepnął pacholek.

— Siłą, mocą — odparł Sambor.

— A wiesz ty, jakie tu życie? — spytał Kos.

— Czuję — rzekł Sambor.

— Niewola! Niewola! — poczał wdychać parobek. — Robią nami jak wołami, znęcają się jak nad psami. Psom kneziowski ci też lepiej.

Ojciec, Córka, Matka, Syn,
Nauka, Tęsknota

¹⁵¹drużyna (daw.) — oddział wojska. [przypis edytorski]

¹⁵²dwornia — służba dworska, czeladź. [przypis edytorski]

Jęli¹⁵³ tedy wzdychać oba, a że parno było w komorze; wyszli razem na wał pod wieżę. Kos wskazał małą dziurę w murze, która nad ziemię wychodziła.

— Synowca tam spuścili wczora — szepnął — oczy mu wylupiwszy... Samem patrzył, jak go ludzie trzymali, a stary Zrzęga nożem mu żrenice wyjmował... Krew jak lzy ciekła... Nie krzyczał nawet... A litości też nie prosił, bo wiedział, że jej tu nie znajdzie... Potem go wpół ująwszy, powrozem spuścili do ciemnicy i tam mu wodę i chleb dają, póki nie zdechnie... Na dworze się odgrażają, że tak będzie i innym...

— Jeżeli się to synowcowi dostało, a cóż będzie kmieciom naszym? — ozwał się Sambor.

Kos ramiona ścisnął.

— Będzie toż samo, albo i gorzej — rzekł — jeśli w czas rozumu nie dostaną.

Ze dworu słychać było stłumioną wrzawę... Śmiechy i wykrzyki.

— Tam się to kneź weseli — mówił pacholek — bo tak się zawsze u niego zaczyna, póki do zwady i do nożów nie przyjdzie przy biesiedzie¹⁵⁴... I dziś trudno, by się skończyło inaczej... Wprzód tylko da sobie im podchmielić, bo po pijanemu łatwiejsza sprawa... Kmieci tak po kilkunastu ściągają na gród, łaskawie przyjmują, a mało kto wyjdzie cały... Po trochu ich wytrzebi, reszta cicho siedzieć musi.

Popatrzał ciekawie na Sambora.

— Cóż wasi na to? — zapytał.

— Ja nie wiem — rzekł ostrożny przybylec¹⁵⁵. — Pewno by radzi co robić, a nie mogą albo może czekają...

— Baby oni są! — zawołał Kos.

— Gród mocny — odezwał się przybyły.

— Mocny — rzekł Kos — ale i kamienie się walą... Jak postoi, mocniejszy będzie, bo mu ludzkie czaszki za podwaliny staną...

— Drużyna liczna...

Pacholek się uśmiechnął.

— Gromady liczniejsze od niej po mirach¹⁵⁶ — rzekł cicho. — Gdyby rozum miały... U nas tu po niemiecku wszystko... Kneziowa, miłościwa pani, Niemkini rodem, Niemiec się też płacze niejeden. Młodsze żony i nałożnice także zza Łaby... I obyczaj załabiański, bo kneź swobody mirów i gromad znać nie chce... ani o wiecach słyszeć... Dziewki niemieckie prawią, że go słyszały mówiącego, jak sam sobie nie da rady, to Niemców sprowadzi.

Położył się Kos na ziemi, a że blisko okna byli od lochu, gdy ucichli, posłyszeli jęk, który nim wychodził. Głuche stękanie człowieka szło jakby spod ziemi.

— Co on zawinił? — zapytał Sambor.

— Najwięcej tym, że to krew ta sama, a on swojej krwi mieć tu nie chce, bo się jej boi... Któż wie? Zadano mu¹⁵⁷, że z kmetami¹⁵⁸ się zmawiał, obiecując im dawną przywrócić swobodę...

Oba zamilkli. Poza nimi na podwórzach buchały niekiedy wrzawliwe śmiechy stłumione, a po nich następowała cisza, to niby śpiewy, nucone półgłosem. Na drugim cypłu zamkowym psy jakoś żałośnie wyły chwilami i każdy głośniejszy śmiech wywoływał to skomlenie dziwne. Nad jeziorem księżyc czerwony wznosił się jakby krwią umyty... Chmura siwa jak chusta na pół mu związywała czoło. Jakiś smutek i groza były w powietrzu... Parobczak, który wczoraj słuchał nad rzeką słowika, dziś tu karmił się psów wyciem i krakaniem kruków. Czarna ich gromada podlatywała nad wieżą.

Sambor popatrzał ku górze.

— E! To nasi goście codzienni — odezwał się Kos ze śmiechem — albo też towarzysze, bo z wieży nigdy nie zlatują. Zawsze tu są w pogotowiu na trupa, a rzadki dzień, żeby go nie mieli... Ku wieczorowi zwijają się niespokojne, bo czas, aby im rzucono strawę... Zobaczycie, że i dziś darmo nie będą krakały...

Podstęp, Pijaństwo

Księżyc, Ptak, Pies, Omen

¹⁵³jęć (daw.) — zacząć. [przypis edytorski]

¹⁵⁴biesiedzie — dziś popr. forma Msc. lp: biesiadzie. [przypis edytorski]

¹⁵⁵przybylec — dziś: przybysz. [przypis edytorski]

¹⁵⁶mir (daw.) — wspólnota, gmina u daw. Słowian. [przypis edytorski]

¹⁵⁷zadano mu — tu: zarzucono mu. [przypis edytorski]

¹⁵⁸kmet — kmić; samodzielny gospodarz. [przypis edytorski]

VI

Hengo, wyszedłszy od kneziowej pani, powrócił na pierwsze podwórze. Znalazł tu oczekującego na siebie Smerdę, który go zaprowadził do ciemnej izby, gdzie czeladzi jeść dawano. Okno jej, jak wszystkie zamykane ze środka drewnianą zasuwą, wychodziło w dziedziniec, a że naprzeciw były komory kneziowskie, mogli słyszeć i po trosze widzieć, jak tam biesiadowano.

Wieczór był ciepły, w izbach duszno, wszystkie więc okna stały otworem; w jasnych izbach, oświetlonych lucywnem u komina, liczna się cisnęła i gwarna drużyna.

Kneź znać lubił myśl wesołą i miód stary, bo biesiada, szmerem głośnym poczęta, wkrótce zahuczała śpiewami i wykrzykami.

Wesołość też przechodziła chwilami jakby w kłótnią walkę i spory, głosy się podnosiły warczące, głużyły je drugie, potem nastawała cisza, a po niej wybuchy coraz swarliwsze. Chociaż żadnego wyrazu pochwycić stąd nie było można, sam ton zwiastował, iż z wesołości zrodziła się zajadłość dzika... Ludzie jednak, oswojeni zapewne ze zwykłym biegiem uczt na grodzie, spokojnie słuchali tego wrzenia i huku. Hengo tylko oglądał się trwożliwie, a Smerda, spostrzegłszy to, rzekł doń z uśmiechem:

— Wszystko to kmiecie, żupany¹⁵⁹, starszyna. Kneź ich poi, to im się po miodzie wyrывa czasem co zuchwalszego, on też, miłościwy pan nasz, niecierpliwy bywa... Jak się czasem zetną... Co ma być? Zadławi którego pochwyciwszy... Mniej jednym będzie¹⁶⁰... Bywa, że się z sobą zajedzą, a na pięści pójda i jeden drugiego zabije... A nam co do tego?

Śpiew z izb dobywający się oknami do ryku był czasem podobny, a śmiech do wycia, a gniew do warczenia psów, które się gryźć mają... Ale wnet ucichało i wołano tylko na głos radośnie, zwycięsko, póki znowu od słowa do słowa nie zawrzała i nie zagotowała się waśń, wśród której już i szcęk mieczów dawał się słyszeć. Hendze się zdawało, jakoby głos knezia rozeznawał, który grzmiał jak piorun wśród szumu burzy. Po nim znów nastawało milczenie.

Późno być zaczynało, księżyc się wznosił nad jeziorem, na dworze cisza, tym lepiej dozwalała słuchać wrzawy uczt. Hendze po podróży na sen się zbierało, ale Smerda go trzymał na ławie i ciekawość też przykuwała do niej.

W świetlicach kneziowskich po tych wybuchach nastąpiło trochę spokoju. Z daleka widać było ręce podnoszone z czaszami, którymi miód pito... Głosy chryply...

Po długim milczeniu i głuchym szmerze ozwał się kneź; mówił coś, śmiejąc się i szydząc... Ledwie dokończył, podnosić się znowu zaczęła jakby zażegniona¹⁶¹ przezeń wrzawa. Już jej nawet ten głos nakazujący, ciągle śmiechem przerywany, pohamować nie mógł.

Kneź śmiał się, a raczej ryczał ze śmiechu, gdy inni miotali na się obelgami. Słyszać było jakby tłuczone naczynia, potem runęły ławy z łoskotem wielkim i stoły, światło zasłaniały cienie jakieś, miotające się wściekle, z rękami w górę podniesionymi, krzyk okropny rozległ się w sieniach i w dziedzińcu.

Czeladź zerwała się wystraszona. W izbach kneziowskich burza jakaś szalała... Stuk, łomot, łamanie, jęki, wołanie ratunku, które nagle jakby naciskiem silnej dłoni ustawało... Wszystko to razem pomieszane we wrzawę dziką, a ponad tym śmiech ciągły.

Nagle Hengo, wychyliwszy się, ujrzał we drzwiach u podsienia oświeconą księżycem masę czarną. Była to kupa ludzi związana rękami, nogami splątana, zębami się trzymająca, mordująca, dusząca, która jak wał¹⁶² jaki wytoczyła się w podsienie, a z niego po kilku stopniach runęła w podwórzec, na ziemię. Tu spadłszy, ta ciżba cała, splątana z sobą, dusić się zaczęła, tarzając się w piasku, gniotąc i mordując. Widać było błyszczące miecze, które gardel szukały, i ręce duszące leżących... Kneź sam jeden stał na podsieniu, wzięwszy się w boki — i śmiał się.

Ruchoma ta masa ciał ludzkich pełzała po podwórzu, nie mogąc się rozsypać, gdzieś niegdzie tylko został trup nieruchomy, rozkrzyżowany i splaszczony...

¹⁵⁹żupan — naczelnik żupy, czyli okręgu; odpowiednik kasztelana a. (w Europie Zach.) komesa. [przypis edytorski]

¹⁶⁰mniej jednym będzie — dziś: mniej o jednego będzie. [przypis edytorski]

¹⁶¹zażegniony — rozniecony; por. podżęgać. [przypis edytorski]

¹⁶²wał (daw.) — fala. [przypis edytorski]

Uczta

Bijatyka, Zbrodnia

Śmierć, Śmiech

Na ziemi w czerwonych krwi kałużach przeglądał się księżyc błady. Niedobitki, pełznąc pod wschody, jęczeli, kilku usiłowało wstać i padło nazad, od ran i upojenia straciwszy siły. W gardłach umierających słychać było złowrogie rżenie. Mało kto powstał z tego pobojuwiska, a po chwili tylko konwulsyjne ciało drganie zdradzało, że jeszcze w nich była resztką życia...

Gdy ucichło wreszcie, kneź pisał w szerokie dłonie. Na ten znak Smerda, skinąwszy na czeladź, rzucił się z nią razem w podwórze.

— Do jeziora z tym ściernem! — krzyknął kneź. — Oczyszczyć podwórze! Precz z tym plugastwem... Precz z tym gnojem!

Mówiąc to, dopijał miodu z kubka, który postawił na ławie, i siadł na niej sam, ociężały.

Chociaż księżyc świecił jasno, zapalono smolne łuczywa i pan miłościwy mógł z podniesienia przypatrzeć się towarzyszom swej biesiady, dogorywającym od mordu i miodu.

Kilku na pół żywych stało opartych o słupy, krwią brocząc ziemię, dysząc jeszcze zajadłością, z jaką walczyli z sobą, nogami deptąc trupy... Na ziemi we krwi dogorywali, rzucając się, inni.

U stóp wschodów leżał starzec z włosiem białym, krwią oblanym; konał i przeklinał.

— Bodajes szczęście marnie, ty Chwoście przeklęty... Ty... I krew twoja... I potomstwo, i ród, i imię... Bodajes zginął i przepadł skróś ziemi!

Kneź śmiał się i temu klątwami wyzywającemu duchy.

Przez wrota od drugiego podwórza widać było wyglądające ciekawie głowy niewieście, przestraszonymi oczyma wpatrujące się w rzeź straszną.

Czeladź tymczasem ze Smerdą na czele zawijała się około oczyszczenia podwórza z trupów, odzierali ich prędko z sukni, obrywali miecze i nożów pochwy, obnażali z obuwia... Potem odarte ciała nieśli na wały i z nich rzucali w jezioro, nie patrząc, choć w nich były życia reszty. Słychać je było spadające w wodę z pluskiem i śmiechy towarzyszące za każdą razą¹⁶³ temu pogrzebowi... Bo czeladź bawiła się tym ciskaniem do jeziora... Kruki, z wieży zerwawszy się, poleciały nad wodą i zaczęły krążyć nad nią, podniósłszy krzyk i wrzawę.

Hengo siedział na ławie osłupiały, ruszyć się nie śmiejąc; odrętwiał, patrząc... Trwoga ogarnęła go też może o samego siebie... Nie umiał sobie wytłumaczyć, co się stało, co to byli za ludzie i dlaczego kneź zamiast żalu lub gniewu, tylko śmiech miał na ustach.

Niepokój, który go ogarniał, nie dał mu dłużej pozostać w izbie ciemnej, wysunął się w podwórze oświecone księżycem i dogorywającymi na ziemi łuczycami. Stał w dali, lecz właśnie kneź z ławy się ruszył i począł, chwając się, przechadzać się po podsieniu; nucił coś wesołego... Bystre jego oko dostrzegło Niemca w cieniu.

— Chodź tu! Ty! — zawołał. — Tu!

I pokazał mu jak psu na nogi swoje. Hengo trwożliwie naprzód postąpił. Po chodzie, mowie, ruchach, łatwo mógł poznać, że miłościwy pan był pijany.

— Ot! Dobra wieczera! — zawołał do niego. — Widziałeś, Niemcze, jak się zabawili wesoło... Gorąco im coś było, poszli się kąpać do jeziora! Psubraty... Wszystko się to samo za gardła wzięło i wyrzuciło... Sami, sami... Moich tam ludzi nie było... Od czego miód i rozum, od czego? Ej! Wy, Sasy¹⁶⁴ i Franki¹⁶⁵ przeklęte... Mądrzy wy jesteście, ha? A kto by z was tak się tego owadu¹⁶⁶ pozbyć potrafił?

Kneź śmiał się i brał w boki.

— Zostanie się po nich dość dla ludzi odzieży, a dla mnie ziemi i koni... Dobra wieczera i miodu na nią nie żal!

Śmiał się znowu.

— Napijże się i ty miodu, mordo ruda! — wrzasnął nagle.

Hengo się nisko kłaniał, dziękując, ale nie pomogło nic... Pacholę mu ogromny kubek przyniosło, a gdy się od niego wzdragał, kneź gwałtem mu do gardła łać kazał...

Trup, Korzyść, Obyczaj

Uczta, Morderstwo,
Korzyść, Władza

Pijaństwo, Alkohol,
Obyczaj

¹⁶³za każdą razą — dziś: za każdym razem. [przypis edytorski]

¹⁶⁴Sasy a. Sasi, a. Saksoni — plemię pochodzenia germańskiego, osiadłe w średniowieczu w Westfalii i Dolnej Saksonii. [przypis edytorski]

¹⁶⁵Franki a. Frankowie — zachodniogermańska federacja plemion, w III w. n.e. zamieszkująca tereny na północ i wschód od dolnego Renu. [przypis edytorski]

¹⁶⁶owadu — owadów. [przypis edytorski]

Chwyciło go dwu i, śmiejąc się, chłopiec nalał w otwartą palcami gębę. Podziękowawszy za to poczęstowanie, już chciał odchodzić, bo się lękał o własną głowę, gdy kneź, na ławie usiadłszy, pozwał go ku sobie. Musiał iść pod stopnie i stanąć przy nich...

— Coś widział, powiedz staremu grafowi... — począł półsenny. — Jakem zagaił¹⁶⁷, tak dokończą... Nie ujdą mi te harde głowy... A dla synów zostawię spokój w domu... Nadto kmiecie bujali... Trzeba ich okiełznać było... Powiedz, że się ich nie boję... Że się bez pomocy obejdę... Żem żmij tych i padalców wydusił już dosyć i do reszty ich wymorduję...

Jakby sobie coś przypomniał, ręką skinął, aby się Hengo zbliżył doń jeszcze. Zwiesił głowę z ławy poręczy ku niemu.

— Widziałeś moich chłopców? Porośli? — począł, nie dając mu czasu na odpowiedź. — Muszą być już spore? A silne? Czy się w matkę urodą udali czy w ojca? Nie zgnuśnieją tam oni? Czy chodzili już na wyprawę?

Hengo szeptał odpowiedź zastosowaną do żądań miłościwego pana, którego się lękał, ale kneź drzemał, oczy mu się zamykały... Mówił jakby sam do siebie:

— Ja wam ład zrobię... Ja wam zaprowadzę, Łado¹⁶⁸... Za brody wieszać każę nad drogą... Jam tu jeden pan i kneź... Moja wola, nie wasza! Precz z tym padłem¹⁶⁹... Precz!

Oczy mu się otwały, postrzegł stojącego Henga, przypomniał go sobie i uśmiechnął się.

— Widziałeś polowanie? — powtórzył. — Dobre łowy... Zwierzyna tłusta... Kruki moje będą miały co jeść...

Nucić coś począł i zdrzemnął się jeszcze.

— Bratanek bez oczów... Jeszcze dwu zostało, a i tych mi przyprowadzą... Sprzysięgali się już na mnie... Życiam mu nie wziął... Niech gnije w ciemnicy...

Liczyć począł na palcach.

— Wojtas... Żyruń... Giezło... Kurda... Mściwój... Pięć zagród. Baby jutro spędzić każę... I stada...

Śmiał się, mruczał i drzemał tak. Hengo nie śmiał się ruszyć bez dozwolenia. Sambor też, wysunąwszy się zza stolba, bo go sen nie brał, podkrał się, by widzieć miłościwego pana... Słyszał mruczenie i śmiech, a może słowo jakie do uszu mu doleciało, popatrzał nań niepostrzeżony groźnie, głową potrząsł i cofnął się do komory.

Kneź tymczasem, zwiesiwszy na poręczy głowę, usnął snem twardym; chrapanie słychać było ciężkie, a głosem tym wywołana ukazała się ze drzwi białogłowa w namitce¹⁷⁰ i dwoje pacholąt. Napilego¹⁷¹ ujęli mimo oporu pod pachy i zaciągnęli raczej niż poprowadzili do łóżnicy. Zatrzasnęły się za nim drzwi.

Hengo, czując już miód w głowie, powłókł się przełękły, trzymając się ściany, do swoich koni i tam legł na słomie półżywy.

W dziedzińcu pogasły światła, księżyc tylko oświecał czarne krwi kałuże i jęczących jeszcze u podsienia rannych kilku, z których krew też płynęła, ale miodem upojeni, nie czuli, jak im uciekało życie. Czeladź i dwornia¹⁷², śmiejąc się, pokazywała ich palcami.

— Tak im wszystkim będzie... Kmieciom i żupanom, i władynom... Co się kneziowi opierają.

Dano im konać powoli. Smerda obchodził wszystkie kąty podwórza, reszta dworni do snu opóźnionego się wlokła. Cisza po wrzawie biesiadnej zapanowała na grodzie, tylko psy wyły, poczuwszy krew i trupy, a krucy¹⁷³, krakając¹⁷⁴, to leciały na jezioro, to wracały na wieżę, gdzie miały gniazda swoje.

Rano, gdy się Hengo zbudził, dzień już był biały; stał nad nim Gerda i za suknię go ciągnął gwałtownie, bo Niemca do knezia wołano. Gdy, obmywszy się, pospieszył

¹⁶⁷zagaić — zacząć rozmowę, dyskusję, obrady itp. [przypis edytorski]

¹⁶⁸Łado — w mitologii słowiańskiej bogini miłości, płodności, wiosny i wegetacji, a także zgody (tj. ładu; stąd nazwa); u Jana Długosza miała być boginią wojny, odpowiadającą Marsowi w mit. rzym. [przypis edytorski]

¹⁶⁹padło — padlina. [przypis edytorski]

¹⁷⁰namitka — chusta osłaniająca szyję i podbródek, wiązana na czubku głowy, noszona daw. przez kobiety; podwika. [przypis edytorski]

¹⁷¹napity — upity, pijany. [przypis edytorski]

¹⁷²dwornia — dworzenie, czeladź dworska. [przypis edytorski]

¹⁷³krucy — dziś: kruki. [przypis edytorski]

¹⁷⁴krakając — dziś: kracząc. [przypis edytorski]

doń, zastał go samego, siedzącego w izbie na dole; przed nim na misie pieczone mięso, w kubkach piwo i miód na stole. Twarz miał chmurną, oczy krwią naciekle; długo patrzył na Niemca, nim usta otworzył.

— Wiem, z czym cię tu posłano — odezwał się dumnie. — Powiedz im ode mnie, że dziękuję... Pomocy ich ja potrzebować nie będę, a gdyby do tego przyszło, zawołam... Wolę się obejść bez nich... Bo darmo nie pójda i gębę im zatkać niełatwo... Ja ich znam... Wracaj rychło, oddaj pokłon... Niech chłopców wojować uczą... Niech rosną... Wróć, gdy nakażę, teraz nie pora... Ja tu jeszcze czyścić muszę, a nie rychło robactwa się zbęde... Stary graf niech będzie spokojny — dodał — choć lud dziki, do swobody nawykły, ja mu ją ukrócić potrafię.

Napił się z kubka i zadumał podparty, potem wzgardliwie niemal dał Niemcowi odprawę.

Zaledwie wyszedł stąd, gdy go toż samo co wczoraj pacholę do kneziowej pani pozwało z towarem. Zabrawszy więc węzeł swój, powlókł się na drugie podwórze, gdzie jak wczora czekała nań błada pani, dokoła otoczona dworem niewieścim. Twarze to były smętne i choć niedawno krasne może, dziś już powiędłe i blade jak ona. Hengo wiedział, co ma gdzie na jaw wydobyć. W chacie Wisza nie pokazywał innego kruszcu, tylko lichszy żółty i czerwony¹⁷⁵, tu dobył pierścienie srebrne, a nawet złote listki i kwiaty z cienkich blaszek wyrabiane, którymi zwyczaj był suknie naszywać. Niewiastom trochę się lica zarumieniły na widok świecideł, poczęły do nich przyklękać, brać je w ręce i przykładać na ciemnych sukniach, jak by się też na nich wydawały. Ani się opatrzył Hengo, gdy mu niemal wszystek jego towar rozebrany rozszedł się po rękach. Stał, nic mówić nie śmiejąc, gdy drzwi otwarło pacholę i wszedł miłościwy pan z czapką na czoło nasuniętą. Z progu popatrzał na niewiasty, młodszym twarzom przyglądając się oczyma palającymi i uśmiechając się do nich. Rzucił okiem i na towar, ale ze wzgardą, a gdy kneziowa pani odezwała się, że dla jej dziewczek zdałoby się to wszystko, śmiejąc się, nakazał Niemcowi, ażeby zostawił, co przyniósł.

Przekupień nie śmiał nawet wspomnieć o zamianie lub wynagrodzeniu, a kneź też o niej nie zdawał się myśleć. Wreszcie, gdy kupiec, chcąc resztki ocalić, sznurować począł sakwę, rzekł mu porywczo:

— Grafowi powiedzcie, że my to od niego za podarek dla Brunhildy przyjmujemy... Niech on wam za to płaci... Nie macie tu czego stać długo... Wracać wam zdrowiej i nie oglądać się za siebie...

Nie czekając już, aby mu tę radę powtórzono, ruszył Niemiec, sposępniawszy, i był już za drzwiami, gdy kneziowa pani, znać ulitowawszy się nad nim, wysłała jedną z dziewczek powiedzieć mu, by się nie frasował, że mu sama za towar nabrany wynagrodzi. Wstrzymał się więc w sieni, czekając na starą babę, która wyszła milcząca i powiodła go za sobą do bliskiej komory. Tu skór wisiały pęki i różnego dostatku siła¹⁷⁶ nagromadzonego kupami. Dano mu sobie wybierać i Hengo, ciesząc się, że nie będzie zupełnie odarty, łańcuszkiem srebrnym jeszcze obdarzwszy podskarbinę, skór na plecy nabrawszy, ile chciał, do koni co rychlej powrócił.

Niepokój jakiś na grodzie, wrzaski i wołania u wrót ostrzegały go, ażeby, nie czekając tu dłużej, z życiem i mieniem uchodził. W pierwszym podwórzu dobitniej jeszcze słychać było poza wałami odzywające się głosy tłumne.

Wrota stały zaparte, od mostu i haci dwornia pańska wchodu broniła. Wyszedłszy, ujrzał Hengo, że gromady pieszych, konnych, a między nimi i niewiasty wnijsia się na gród dopominały.

Smerda i jego pacholki, nie dopuszczając, biczami i dzidami odpierali naciskających się. Płacz, narzekania, przekleństwa, groźby rozlegały się dokoła...

Były to rodziny kmieci i władków, wczorajszych gości na grodzie, które już wieść doszła o morderczej biesiadzie. Wyprzeć się jej nie można było, trupy odarte tuż około haci pływały, niektóre z nich fala powynosiła na brzegi. Niewiasty we łzach wyciągały do nich ręce, klęcząc na piasku i włosy sobie rwąc z głowy.

Handel, Dar, Kobieta,
Męczyzna, Władza, Pycha

¹⁷⁵kruszec żółty i czerwony — miedź a. mosiądz. [przypis edytorski]

¹⁷⁶siła (daw.) — wiele, mnóstwo. [przypis edytorski]

Trupy — byli to ich ojcowie i mężowie... Bracia i synowie stali tuż na koniach, zębami zgrzytając, miotając na Chwostka przekleństwa.

Wrzawa rosnąca musiała dojść uszu knezia, który na podsieniu u wnijsia się ukazał, stanął, wziął w boki i patrzył ponuro na czeladź swą, ujadającą się z tłumem na haci u mostu.

Tłum narastał co chwila.

Ściśnięte pięści wyciągano ku kneziowi, ale się śmiał z tej bezsilnej złości.

Trwało to dosyć długo, aż dwu czy trzech wybranych Smerda puścił pieszo w dziedzi-
niec. Szli z głowy¹⁷⁷ obnażonymi, płacząc, sami coś mówiąc do siebie, pogrążeni w smut-
ku, a stanąwszy u wnijsia, gdzie na podwyższeniu czekał kneź, chcieli się do niego ode-
zwać, ale ich uprzedził.

— Za co mnie wyklinacie? — zawołał. — Psie syny, nieposłuszne! Co ja wam winien? Jam ich ręką nie tknął, jam żadnego zabijać nie kazał, choć mogłem i warci byli, aby im głowy pospadały... Po co się sami poważnili i zajedli? Zakrwawili mi izbę, zwalali podwórze, zamącili spokój... Jak psy się sami gryzli i pozagryzali...

Podniósł pięści.

— Dobrze im tak! Stara słowiańska wola¹⁷⁸ po głowach wam chodzi! Będzie tak wszystkim, co się jej dopominają. Trupy sobie na jeziorze połówcie, nie bronieć... A do domów, póki głowy całe... Jam nie winien ich śmierci...

Jeszcze mówił to, gdy spod tynu¹⁷⁹, gdzie gęste rosły łopiany, pokrzywy i łozy, ruszyło się coś, podniosło... Wstał jakby trup blady, chwiejąc się na połamanych nogach. Twarz miał obmazaną krwią zaschlą, oko jedno wybite, z którego spiekła toczyła się ropa. Wstał i rękę podniósł, i jak omackiem na głos idąc, gdzie stały dzieci kmiecie, począł krzyczeć chropawym głosem:

— On nie winien! Czar u duru¹⁸⁰ dał nam w miodzie... Szczuł brata na brata, jątrzył i nawoływał, aż nam oczy krwią naszły i pamięć odbiegła... On nie winien! On! On! — powtarzał, wlokąc się coraz bliżej pokaleczony biesiadnik, który noc całą pod tynem w chwaście przejęczał. — On... On! Psi syn... Sam, nie my... Bodaj zginął marnie!

Schylił się, pod nogami zobaczywszy leżący kamień, na którym jeszcze wczorajszej krwi przyschłej widać było ślady, i porwawszy go z całą siłą, cisnął na stojącego. Pomimo osłabienia taka była moc gniewu, co nim miotał, że kamień, oknem wpadłszy do izby, sprzęt jakiś zdruzgotał. W tej chwili czeladź kneziowa leciała nań już, sznur z pętlą na głowę zarzuciła staremu, który się zachwiał, padł, z gardła dobył mu się głos chrapliwy... I trupa już ciągnęli po ziemi oprawcy ku wałom.

Z groźnym mruczeniem stojący kmiecie cofnęli się, zobaczywszy to ciało u nóg swoich, i poszli nazad niezaczepiani ku mostowi, gdzie na nich konie i ludzie czekali, a wkrótce później cała ich gromada, krzycząc nazad odciągała. Niewiast tylko kilka zostało u mostu, aby ciała pomordowanych pozabierać.

Z grodu teraz czeladź się na hac wysypała, nie żeby im dopomóc, lecz by młodsze wypatrzeć. Z tych dwie czy trzy, mimo wrzasku, na gród wciągnięto, a kneź, przypatrując się dokazującej drużynie, uśmiechał tylko.

Wkrótce ucichło wszystko... Widać było tylko poniżej, jak starsze niewiasty odno-
siły ciała, które jezioro na brzeg rzuciło, jak drugie czołnami płynęły ku trupom, które widniały z dala.

Hengo pośpiesznie przywiązywał do koni resztki swego towaru i mienia, aby co prędzej z grodu wyruszyć. On i Gerda, więcej jeszcze od ojca wystraszone, spieszyli, by przed południem znaleźć się za wałami.

Tu się z nimi zetknął czekający na nich Sambor. Smutny i zakłopotany, do Niemca się zbliżył. Obejrzał się naprzód¹⁸¹, czy ich kto z czeladzi nie podsłuchuje.

— Człowiecze dobry — rzekł — bo mi się zda, że złym nie jesteś... Czy wracasz koło Wiszowego dworu?

Nie śmiejąc czy nie chcąc mówić, Hengo skinieniem głowy potwierdził ten domysł.

Wina, Zbrodnia, Uczta,
Pijaństwo, Bijatyka,
Kłamstwo

¹⁷⁷głowy — dziś popr. forma N. Im: głowami. [przypis edytorski]

¹⁷⁸wola — tu: wolność. [przypis edytorski]

¹⁷⁹tyń — ogrodzenie. [przypis edytorski]

¹⁸⁰dur — tu: środek odurzający. [przypis edytorski]

¹⁸¹naprzód — najpierw. [przypis edytorski]

— Zanieście tam pokłon ode mnie — dodał. — Tęskno mi za nimi, choć tu nam zabawy nie braknie i dobrze na zamku u knezia... Czego chcecie... Śmiechu dosyć! Powiedźcie im jeno¹⁸², coście widzieli i jak my tu uczujemy! Będą się radowali, że mnie tu oddali... Uciekłbym może nazad i ani mur, ani woda, ani kłoda by mnie nie wstrzymała, gdyby nie to, że tu tak wesoło... Powiedźcie — powtórzył — coście widzieli.

Hengo to na niego spozierał, to na zamek i wieżę, to na swoje konie, którym sakwy poprawiał; pilno mu się wyrwać było, a głosu się własnego obawiał, kiwnął więc tylko głową w milczeniu...

— Powiedźcie tam — dodał Sambor — że wczoraj dużo kmieci ubyło... I jak im piękny pogrzeb sprawili... Obiecuja nam, że tak ochoczo będzie co dnia... W lochu pod wieżą, nie licząc bratanka z wylupionymi oczyma, jest też kmieci kilkoro... Na innych powoli kolej przyjdzie...

Hengo, ciągle potrząsając głową i oglądając się coraz niespokojniej dokoła, wreszcie dał znak chłopcu, aby ustąpił. Nie było czasu do stracenia; Niemiec i syn jego siedli na konie. Kneź patrzył ze drzwi, jak ruszali, ale nie rzekł już nic. Za wrotami i hacią dopiero Hendze się jakoś łżej zrobiło... Wolał już puszczyć niż taką gościnę...

Żwawo więc pognali konie tą samą drogą, co wczora, równie pustą, jak wprzód była. Dopóki wieżę szarą i kruki nad nią latające widać było, Niemiec się oglądał bojaźliwie, jakby się lękał jeszcze, by go nie zawrócono. Gerda, trzęsąc się ze strachu, słowa do ojca nie śmiał przemówić. Wkrótce też znaleźli się w lesie i tu dopiero bezpiecznymi się uczuli.

Droga, którą ze Smerdą razem przebyli, nawykłemu do włóczędzy pamiętną była. Lękał się jej wszakże Niemiec, aby nie spotkać groźniejszych towarzyszków niż ślepi gęślarze; pospieszał, rozglądając się dokoła, obmyślając zawczasu, gdzie na nocleg stanie, bo dniem jednym do zagrody dobić się już nie spodziewał. Śmielej teraz dążyli do brodu już znanego, aby się przebrać na drugi brzeg rzeki. Nie spotykali nikogo. Z dala tylko kozy pierzchały i ptactwo wodne zrywało się z rzeki z krzykiem, unosząc się na dalsze błota.

Wieczór już nadchodził, gdy Hengo postrzegł kamień na górze, obwiedziony wieńcem z głazów, o którym zachował pamięć od wczora. Tu, ustąpiwszy nieco od rzeki w głąb lasu, wyszukał łąkę zieloną, na której by się konie paść mogły, i ognia naniecili¹⁸³, aby nim odegnać zwierza. Sklecieli potem szałas z gałęzi i do snu się ukladli¹⁸⁴.

Majowa noc przeszła prędko, a nade dniem¹⁸⁵ naciągająca burza z piorunami i ulewą z noclegu ich spędziła. Hengo też śpieszył niespokojny, lecz nim na konie siedli, chwycił Gerdę za ramię.

— Patrzałeś i słuchałeś — rzekł — co się na grodzie działo... Kazałem ci milczeć i z językiem matki się nie wydawać! Milczże i teraz... Bądź niemy...

Pogroził mu stary, chłopak nań patrzył osowiałymi oczyma; dosiedli koni i puścili się, śpiesząc, do Wiszowego dworu. Deszcz lał jeszcze, ślizgały się konie, zwolnić więc biegu wkrótce musieli, a południe już było, gdy dym ujrzeli i zasieki, i na łące pasące się kłaczę ze źrebietami, które niewiasty doily.

Wisz stał na wyniosłym brzegu i patrzył, psy siedziały przy nim na straży. Niemiec pozdrowił go z dala, a stary wnet ku niemu schodzić zaczął. Stróżę już biegły się rzucić na obcego, gdy je odwołano i Wisz, grożąc, do milczenia zmusił.

Szły więc za nim posłuszne.

W oczach starego widać było ciekawość, zdawał się dziwić, że Niemiec z grodu dobył się cało... Patrzył na niego, na sakwy i konie.

— O! Prędkościę jakoś z grodu wrócili — rzekł z uśmiechem. — Jakże się tam powiodło?

— E! Nie było co robić długo na tym grodzie — odezwał się Hengo. — Mnie też spieszno dobyć się z tego nieznanego kraju.

To mówiąc i zapewniwszy się, że go psy nie zjedzą, Hengo konie oddał chłopcu, a sam począł iść z gospodarzem. Gdy zostali sami, kmieć popatrzał nań, jakby mu z oczów chciał czytać.

¹⁸²jeno (daw.) — tylko. [przypis edytorski]

¹⁸³naniecić — dziś: rozniecić. [przypis edytorski]

¹⁸⁴ukladli — dziś: ułożyli. [przypis edytorski]

¹⁸⁵nade dniem — nad ranem. [przypis edytorski]

— Co słyhać na grodzie? — spytał.

Hengo zmilczał.

— Nie patrzałem ja wiele, nie słuchałem też dużo — rzekł po namyśle. — Wasz parobek tylko pozdrowić was kazał... Dobrze mu tam...

— Młodemu dobrze wszędzie — odezwał się gospodarz i westchnął.

Z odpowiedzi widać było, że Niemiec do mówienia ochoty wielkiej nie miał. Wisz rzucił parę pytań ostrożnych i, zbyty odpowiedziami krótkimi, umilkł.

Młodego chłopca we wrotach parobcy powitali jak znajomego i z końmi go do szopy poprowadzili. Gerda, jakby zimnicy¹⁸⁶ dostał, drżał jeszcze cały od wczorajszego strachu i dzisiejszego deszczu zimnego. Ulitowano się nad nim. Jeden z parobków, nie wiedząc, że język rozumie, wziął go za rękę i prawie gwałtem wprowadził do chaty, gdzie ogień jasny palił się od rana.

Niewiasty chleb właśnie miesiły, mąkę siały¹⁸⁷, a sługi śpiewając żarna obracały.

Mało było robót na polu i w domu, przy których by ówczesnym obyczajem wszystkich Słowian nie śpiewano. Śpiew był towarzyszem wszelkiej pracy, zwłaszcza niewieściej. Jak ptaki nuciły dziewczęta, całą młodość prześpiewując... Pieśni uczono się z mową razem. Śpiewano, trzodę pędząc na pastwisko, pieśni do Honiły¹⁸⁸, nucono, pasąc ją i wracając z pola, śpiewano u kądzieli, u żaren, u dzieży-matki, u krosien, ze smutku i z radości, ze łzami i łkaniem, u wesela i pogrzebu. Były pieśni prastare, których się córki od matek uczyły, aby je oddać swym dzieciom, poświęcone wiekami, z których się — jak mówiło przysłowie — słowa wyrzucić nie godziło; ale były inne, co wprost z serca płynęły, a ten, co je wyśpiewał pierwszy, sam nie wiedział, skąd i jak mu przysły i jak się złożyły.

Podśluchał je drugi, coś do nich przyczynił, zmienił trzeci i tak rodziły się z ojców nieznanych wiele¹⁸⁹, szły jak grosz, do skarbnicy niewidzialną ręką rzucony, mnożąc dobro ogólne.

Gdy mały Gerda wszedł zziębły i siny, a od progu posłyszał te pieśni, które niegdy¹⁹⁰ w smutku na obczyźnie matka jego rodzona nuciła po cichu — poruszyło mu się serce, w piersi zakipiało i łzy z oczów pociekły. Zapomniał, że się nie powinien był wydać ze swą mową, że mu kazano być niemym i głuchym i z ust mu się wyrwało mimowolnie:

— Macierz moja!

W progu stała Dziwa, patrząc, słuchając, śpiewając, jednej jej uszu doszedł ten wyraz chłopca, który wnet się zarumienił, spojrział wzrokiem wylękłym i skrył się w kąt ciemny. Dziwa postąpiła ku niemu, rękę położyła na ramieniu — poczuła, jak drżał cały.

— Nie bój się — rzekła. — Ja cię nie zdradzę.

Poszła zaczerpnąć garnuszką piwa, postawiła je na chwilę przy ogniu, potem, przez fartuch ujawszy, przyniosła Gerdzie, który chciwie je pochwycił, podnosząc ku niej łzawę oczy.

Wejrzeniem tym dziecinnym, które złagodziło wspomnienie matki, przemówił do niej. Wzięła go za rękę i wiodła do sieni, bo w izbie wciąż się śpiewy rozlegały. Gerda ujął jej rękę, jak niegdyś matki, pocałował. Na rękę łza przylgnęła.

— Mnie mówić zakazano! — szepnął. — Ojciec ubiłby, gdyby się dowiedział. A! nie wydajcie mnie. Ja nie jestem niemy, matka miała waszą mowę i z waszej krwi była.

Dziwa pogłaskała go po mokrych włosach.

— Mów bez obawy — rzekła cicho. — Co na grodzie widziałeś?

— A! Straszne a okropne rzeczy, od których włosy wstają na głowie i dreszcz po kościach bieży¹⁹¹. A! Krew widziałem... Krwi kałuże, jęki słyszałem noc całą i śmiech, jakby puchacza głos.

Zamilkł, oglądając się z obawą.

— Mów, chłopcze — rzekła — jakby ci rodzona kazała.

Łagodny głos jej do serca mu trafiał.

— Słowo twoje nam potrzebne — dodała, gładząc chłopię po twarzy.

Śpiew, Praca, Słowo,
Dziedzictwo

Matka, Dziecko, Śpiew

¹⁸⁶zimnica — febra. [przypis edytorski]

¹⁸⁷mąkę siać — przesiewać mąkę. [przypis edytorski]

¹⁸⁸Honiło a. Gonidło — bóstwo pasterzy słowiańskich. [przypis edytorski]

¹⁸⁹wiele — tu: wielu. [przypis edytorski]

¹⁹⁰niegdy — niegdyś. [przypis edytorski]

¹⁹¹bieżyć (daw.) — iść; tu: rozchodzić się. [przypis edytorski]

I pochyliła mu się do ucha, a on z płaczem opowiadać jej zaczął, co wczoraj na grodzie się działo, jak wrzała biesiada krwawa, jak w podwórzu zjadali się¹⁹² kmiecie pijani, jak nagie ich trupy do jeziora rzucano, kneź śmiał się, a krucy krakali¹⁹³ i psy wyły z radości czy z trwogi. Mówił, jak głodna psiarnia pańska biegła potem krew ciepłą chleptać w kałużach, jak z rana zawodziły i płakały niewiasty, jak znoszono trupy i miotano groźbami.

Mówił — a Dziwa bladła, spokojna jej dziewicza postać mieniła się¹⁹⁴ w rycerską, oczy zdawały się spod powiek ogniem strzelać, a ręce się białe ścisnęły, jakby miecz w nich trzymała... I czoło podnosiło się coraz wyżej, to krwią okrywając, to bledością.

Kończył Gerda opowiadanie, gdy Wisz i Hengo nadeszli; chłopiec, strwożony, aby się jego wielomówność nie wykryła, ledwie miał czas prześlizgnąć się pod chruścianymi ścianami szop do koni i tu przypadł, tuląc się pod kawałem sukna, który naciągnął na siebie. Dziwa stała długo w miejscu jak przykuta, a gdy Wisz, przechodząc, spojrzął na nią, mógł z twarzy wyczytać, że w jej duszę padło jakieś zarzewie, od którego zakipiała. Dała tylko znak ojcu powiekami, aby szedł i nie pytał.

Gdy Hengo wstąpił na próg izby, nagle wszystkie niewieście zamilkły głosy, śmiech tylko przeleciał jak wiatr po liściach i słychać było żarna, jak zgrzytały, jak syczał ogień, wrzała woda i reszty deszczu ze strzech spływały na kamienie u przyzby.

Gościa przyjęto uprzejmie. Niemiec chmurny siadł za stół, usta mu się otworzyć nie chciały, na czole miał jakby kamień, co mu nawet oczu otworzyć nie dawał ani spojrzeć jasno. Na próżno Wisz zagadywał, próżno stara Jaga, misę przyniosłszy ze strawą, pytała o Sambora — on nic nie wiedział. Po burzy niebo się rozpogodziło. Czarna chmura, co ją przyniosła, stała jeszcze z dala nad lasami, po ciemnej jej szacie latały pioruny węzami, ale nad dworem śmiało się niebo lazuruowe i świeciło słońce. Ptaki otrząsały skrzydła zmoczone i świergocząc, zwijały się około chaty. Jaskółki nosiły już muł na gniazda, a wróble klóciły się zapalczywie o znajduwane ziarna. Bocian na gnieździe wybierał się w drogę i na długich stojąc nogach, strzepywał skrzydła, a dziób zadarłszy do góry, klekotał.

Zaledwie trochę zjadłszy, Niemiec wstał, by pożegnać gospodarza, jakby go paliło z powrotem.

Odebrał swoje sakwy, objuczył konie i dosiadłszy je, wprędce znikł z oczów gospodarza, w las wjechawszy.

Wisz patrzył za nim, stojąc we wrotach, gdy nadeszła Dziwa. Obrócił się do niej stary i uśmiechnął łagodnie. Ile razy spojrzął na nią, na tę krasę¹⁹⁵ i wesele domu, na twarz mu jasny występował promień. Uśmiech jej mu odpowiadał zwykle, lecz teraz stała zamyślona i smutna. Skinęła na ojca i powiodła go z sobą ku rzece.

— Nic wam nie mówił Niemiec? — spytała.

— Milczał jak grób — rzekł stary.

— A mnie szczęśliwsza dola dała z niemego chłopięcia dostać języka — poczęła Dziwa. — Syn Henga straszne mi opowiadał rzeczy. Trzeba, abyś o nich wiedział, ojcze, coraz groźniejsze od grodu na nas wiatry wieją... Posłuchaj! Chłopiec nie kłamał, drżał jeszcze cały ze trwogi, mówiąc, i płakał.

Dziwa zaczęła po cichu opowiadanie. Wisz sparty na kiju, słuchał ze spuszczoną głową. Nie dał po sobie poznać nic, na pozór zimny jak kamień, córce mówić dozwolił, nie wtrącając słowa. Zamilkła już, gdy on jeszcze się słuchał zdawał.

Aż nierychło głowę podniósł i tchnął ciężko piersiami starymi.

— Pora — rzekł — co ma być, to się stanie... Wiec zwołać potrzeba, dawno go nie było i ludzie się rozbili, chodząc samopas. Czas się ze swoimi naradzić, posłać wici¹⁹⁶, zebrać braci. Niech głowę starą wezmą, jeżeli chcą. Co dla gromady i miru naszego potrzeba, to zrobią. A ty, Dziwo, milcz!

Córka zbliżyła się i ująwszy rękę, pocałowała.

— Kolada pomoże! — szepnęła.

Lud, Spotkanie, Tajemnica

¹⁹²zajadać się — tu: zagryzać się; przen. zabijać się wzajemnie. [przypis edytorski]

¹⁹³krucy krakali — dziś: kruki krakaly. [przypis edytorski]

¹⁹⁴mienić się (daw.) — zmieniać się. [przypis edytorski]

¹⁹⁵krasa — uroda, piękno. [przypis edytorski]

¹⁹⁶wici — znaki przekazywane od dworu do dworu, zwołujące na wiec lub wojnę. [przypis edytorski]

VII

Godzina nie upłynęła, gdy stary Wisz ukazał się znowu w progu dworu, ale tak zmieniony, iż poznać go było trudno. W domu chodził bosy i w płótnie, teraz się odział jak do podróży i postać przybrał inną. Okryty był brunatną siermięgą nową, sinymi pasy obszywaną, na nogach miał skórznie nowe, których sznury krasno¹⁹⁷ były farbowane, na głowie kołpak¹⁹⁸ futrzany i pióro przy nim. U pasa wisiał miecz błyszczący i proca, na plecach łuk i strzały. Stąpał też jak wojak stary, wyprostowany, z podniesioną głową — i lat mu w tym stroju ubyło.

U wrót trzy konie gotowe, okryte suknem, czekały; dwóch parobczaków, czysto odzianych i zbrojnych, trzymało je, gotowych z gospodarzem do drogi. Co żyło w chacie, wyszło żegnać ojca i cisnęło się do ręki. Szła Jaga też niespokojna, fartuchem łzy ocierając, bo czuła, że coś w tym groźnego być musiało, gdy Wisz, co od dawna już nie ruszał się ze dworu, chyba po barciach i lesie — sam, tak nagle, nie mówiąc nikomu dokąd i po co, jechać musiał.

Ona i Dziwa poszły za nim aż do konia siwego, który spokojny stał, nogą grzebiąc, głowę obrócił ku panu, zarżał i czekał, aż nań siądzie. Chciał jeden z parobczaków pomóc staremu, lecz Wisz, jakby mu nagle siły przybyło, skoczył rażno na grzbiet siwego, głową swoich pozdrowił, ręką wskazał na drogę w las — i ruszyli w milczeniu. Długi kawał jechali nad rzeką. W jednym miejscu kilka nędznych chałup stało nad wodą, na kołkach sieci wisiały, parę czółen wywróconych odpoczywało na piasku. Chałupy, jak bobrowe domki, ubogo wyglądały, na pół w ziemi, pół nad nią, a biedniej jeszcze ludzie, których dwu na pół nagich głos Wisza wywołał. Była to osada z błędnych ludzi złożona, zowiąca się Rybaki, która na ziemi kmiecia niedawno wyrosła. Kilkoro dzieci nagich, od dymu okopconą niewiastą, zgiętą i starą — pierzchnęli na widok pana; tylko dwaj rybacy jakąś odpowiedź na pytania wymruczeli przez zęby. Spojrzenia ich rzucane na Wisza, kose¹⁹⁹ były, nieufne i strwożone.

Nieco dalej znowu chatek kilka w lesie, druga osada podobna, Bodniarze²⁰⁰, stała jakby pusta... U drzwi tylko klepki i wióry, porozsypywane naczynia świadczyły o zajęciu mieszkańców. Na ten raz²⁰¹ nie było żywej duszy, niewiasty z dziećmi wyszły do lasu na grzyby, mężczyźni musieli drzewa szukać na klepki. Drzwi jednak wszystkich chałup stały niepozamykane, bo taki był zwyczaj po całej ziemi, a żaden podróżny nie nadużył nigdy tej gościnności poczciwej. W każdej chałupie leżał chleb, nóż i stała woda. Stały otworem loszek, spiżarnia, wszystko.

Jeden z parobczaków Wisza poszedł się napić i wrócił natychmiast do konia. Stąd już nawrócili w lewo na lasy i gęstwiną jechali — bez drogi, lecz tak się kierując bezpiecznie i pewno, jakby mieli przed sobą szeroki gościniec. Myśliwym znane było każde uroczysko... Zwalona kłoda, dolina w lesie i strumień.

Jechali tak w milczeniu do nocy ciemnej; gwiazdy już świeciły na niebie, poprzedzając księżyc, gdy noclegować stanęli. Chłopcy w mgnieniu oka szalas dla starego skłęcili — jeden na straży został przy koniach, puszczonych na paszę, drugi przy Wiszu.

Noc przeszła spokojnie, o brzasku wszyscy gotowi byli do drogi, stary wstał od nich wcześniej — na konie siedli i Wisz sam wskazywał dalej, kędy jechać mieli, bo naokół w swoim mirze²⁰² i opolach²⁰³ nie było grudki ziemi, która by mu znaną nie była. Myśleć i namyślać się nie potrzebował, instynkt myśliwskich plemion grał w nim jeszcze z całą siłą, on las czuł i w obcym nawet wiedziałby, jak się obrócić.

Chwytał niekiedy silniej powietrze, a ono mu oznajmowało²⁰⁴, czy w pobliżu dąbrowa była, łąka, moczary czy pola. Mówiła do niego trawa, co rosła pod stopami, pochylenie

Strój

Dom, Obyczaje, Gość

¹⁹⁷krasny — jaskrawoczerwony. [przypis edytorski]

¹⁹⁸kołpak (z tur.) — wysokie, spiczasto zakończone nakrycie głowy bez daszka, obszywane futrem. [przypis edytorski]

¹⁹⁹kosy — tu: spode łba. [przypis edytorski]

²⁰⁰Bodniarze — nazwa miejscowości od zajęcia mieszkańców, *bednarzy*, zajmujących się wyrobem beczek, cebrow itp. [przypis edytorski]

²⁰¹na ten raz — tym razem. [przypis edytorski]

²⁰²mir (daw.) — wspólnota, gmina u daw. Słowian. [przypis edytorski]

²⁰³opole (daw.) — terytorium kilku gmin współdziałających ze sobą. [przypis edytorski]

²⁰⁴oznajmować — dziś: oznajmować. [przypis edytorski]

gałęzi, mech, który na drzewach rosnął²⁰⁵, krzewy, co las podszywały. Lot ptaków uczył go nawet i zwierz, którego płoszyli, i kierunek, w jakim on od nich uciekał.

Ku południowi już wjechali na łąkę szeroką, której środkiem płynął strumień. W dali, na podniosłym nieco brzegu, widać było dwór obszerny z zagrodą i dym nad nim.

Ujrawszy domostwo, stary dobył rogu i zatrąbił raz, drugi i trzeci. Jechali tymczasem, coraz się zbliżając ku zagrodzie, około której mnóstwo roilo się ludzi.

Jeden z nich, konia bez uzdy z łąki porwawszy, skoczył nań i rękami go poganiając z obu stron szyi, a trzymając się grzywy, wybiegł naprzeciw starego — popatrzał na Wisza i szybko nazad popędził.

Znać, że i tu mało kto w gościnie bywał, bo czeladź u wrót cisnęła się ciekawa, a zza tynu²⁰⁶ widać było bielejące niewiast namitki²⁰⁷. Jeszcze nie dojechali do zagrody, gdy we wrotach ukazał się słuszny²⁰⁸ mężczyzna, odziany po domowemu, koszula na wierzch, w lekkim przyodziewku na ramiona narzuconym. Gęsty, jasny włos spływał mu na ramiona, młoda bródka zarastała rzadko rumiane lice, które się śmiało dużymi, niebieskimi oczyma. Rękami z dala już witał przybywającego, weseląc się gościem, stary mu też śłał pozdrowienie, a nie dojeżdżając do wrót, konia wstrzymał i zsiadł z niego.

— Bywajcie mi w dobrą godzinę, gospodynie²⁰⁹ miły — wołał młody gospodarz. — Takiego gościa, jak stary Wisz, nigdy się moja chata nie spodziewała.

To mówiąc, z poszanowaniem, jak do ojca zbliżył się do starego i rękę mu chciał całować.

— Rad wam jestem jako słońcu! — mówił dalej wesoło. — Ale się i smucę też, bo zamiast stare kości trząść do młodego Domana, mój ojciec, nakazałbyś do niego, to by się u drzwi twych stawiał.

— Zachciało się też i staremu świata zobaczyć a popatrzeć, czy się tam co na nim nie zmieniło — odezwał się Wisz.

Uściskali się i pod rękę go ująwszy, wiódł Doman do świetlicy. I tu dwór stał w obejściu, dokoła zabudowany w prostokąt, z szopami razem i chlewami. Znać tylko było młodego gospodarza, który pragnie, aby mu się w oczach domostwo śmiało, bo ściany były wybielone i podsienie ostawione słupkami misternymi. Na nich gdzieniegdzie wiązki ziela wonnego wisały: macierzanka, dziewanny i cząbry. Niewiast cale²¹⁰ widać nie było, bo się te przed obcym kryły... Izba też, do której weszli, czysta była i schludna, a znać w niej niewiasty nie gospodarzyły, bo ognisko, w pośrodku z kamieni ułożone, było wygasłe. W kącie skórą wilczą zasłane widać było łóżce, po ścianach łuki, miecze, proce, rogi zwierząt i skóry z nich świeżo zdarte. Na stole leżał chleb biały, którym się rozłamali, i Doman starca naprzód posadził, sam stojąc przed nim. Ledwie go skłonił, by usiadł przy nim podle²¹¹. W oczach wesołego gospodarza żywa malowała się ciekawość, ale z pytaniem nie spieszył. Wisz też zrazu o gospodarstwie mówił i lesie. Wtem miód podał chłopak, gospodarz przepił do gościa.

Sami jedni w izbie byli.

— Jużście to zgadli — odezwał się stary — żem przybył tu nie darmo. A ja wam powiem, że z wieścią niedobłą. Żle a coraz nam się gorzej dzieje.

— To róbmy tak, aby lepiej było — odparł Doman.

— Wkrótce mirów, wieców i nas, kmieci, i starego obyczaju nie stanie — mówił Wisz z wolna. — Pójdziemy w pęta wszyscy. Mówią tak ludzie, iż w starych głowach lęgnie się narzekanie jak kwas w starych statkach²¹², ale osądzicie sami, czy się to bez jaja wylęgło. Kneź i Leszki wszystkie za wolnych już nas ludzi nie mają. Kmiecie i władzyki, co się na

Spotkanie, Dom,
Gospodarz, Obyczaj

²⁰⁵rosnął — dziś popr. forma 3.os.lp: rósł. [przypis edytorski]

²⁰⁶tyń — ogrodzenie z gałęzi a. pni drzewnych. [przypis edytorski]

²⁰⁷namitka — chusta osłaniająca szyję i podbródek, wiązana na czubku głowy, noszona daw. przez kobiety; podwika. [przypis edytorski]

²⁰⁸słuszny — tu: słusznego wzrostu i postury; wysoki i postawny, barczysty. [przypis edytorski]

²⁰⁹gospodynie — panie (jako tytuł oznaczający nie tylko szacunek, ale i stosunek podwładnego do władcy); W. od M.: *gospodyn* a. *gospodzin* (archaizacja). [przypis edytorski]

²¹⁰cale (daw.) — wcale. [przypis edytorski]

²¹¹podle — podług, wedle, obok. [przypis edytorski]

²¹²statki (daw.) — naczynia. [przypis edytorski]

tej ziemi urodzili, z czernią²¹³ idą na równi z niewolnikami. Rabów²¹⁴ z nas czynić chcą. Odgrają się, tępią jak pszczoły, gdy ul do dna chcą wyprzątnąć i gnilca w nas szukają. Chwostek nad Gopłem dokazuje. Dwa dni temu sprosił kmieci na ucztę do siebie, dali im jakiegoś duru w napoju, Niemka go tam syci na naszą zgubę. Wśród ucztę jęli się gryźć i bić między sobą, niemal wszyscy się wymordowali. Trupy Chwostek do jeziora kazał powrzucać jak padło²¹⁵. U Samona dziewczkę hożą zabrano gwałtem, a kneziowa pani dała ją mężowi na zabawę. Po zagrodach tłuką się²¹⁶ smerdy jego i gwałty czynią, zabierają ludzi, niewiastom nie dają pokoju. Nikt nie pewien ani chaty, ani pola, ani komory, ani dzieci. Mamyż my to tak cierpieć²¹⁷ i po niewieściemu jak baby z płaczu zawodzić, ręce łamać? Mów, Domanie.

Domanowi lice płonęło, wargi się trzęsły, hamował się, milczał, a gdy stary dokończył, rzekł:

— Hej, hej! Dawno bo należało na to gniazdo osie iść i nogami je stratować.

— Słowo się prędko rzecze, Domanie — zawołał stary — a ręką to nie tak łatwo. Twardo siedzi to gniazdo, do stołba przylepłe²¹⁸.

— A stołb też pono²¹⁹ nie duchy stawili z kamienia, ale ludzie, to też go ręce ludzkie wyrwać mogą — rzekł Doman.

— Nie mów tak — odezwał się Wisz. — O stołba początku nikt nie wie. Stał już za praszczurów²²⁰ naszych. To pewna, że lud, co go stawili, nie nasz był i znikł z tej ziemi.

Doman zmilczał.

— Nam we dwu — dodał stary — nie rozsądzać o tym, ale poczynić coś trzeba gromadą, a dzieci ratować.

Spojrzał na młodego gospodarza, który też oczów jego szukał.

— Trzeba rozesłać wici po kmieciach i władkach, a zwołać starszyzny wiec walny. Niech się miry nasze i opola zbiorą; zaczniemy my, pójdą zatem drudzy.

— Wasze słowo za rozkaz stanie — rzekł Doman. — Niech niosą wici. Ano, mówić mi dozwolicie. Kogo wołać i kędy²²¹? Wiecie to dobrze, że Chwostek ma swoich i między kmieciami, że Leszki się rozrodziły i poswatały, a jest ich siła, że my nie sami... Trzeba więc ostrożnie i cicho wprzód języka dostać²²², wprzód się może rozsluchać i obliczyć, nim z garstką wystąpimy, bo nas zduszą.

— Nie inaczej i ja myślałem — odezwał się Wisz. — Wiem ci to dobrze, że nie zbywa Chwostkowi na druhach i że między naszymi też znajdują się z nim pobratani; ale i to wiem, Domanie, że własny jego ród Leszy niecały z nim będzie. Stryjów zgębili i w kmiecie obrócili, synowcom powylupiali oczy, drudzy ze strachu wychylić się z grodzisk nie śmieją. Ci z nami trzymać będą.

— Na wiecu się to obradzi lepiej — odezwał się Doman. — Zwołujmy wiec.

— Nim wici roześlemy — przerwał stary — pojedźmy po dworach, nie mówiąc nic, aby języka powziąć. Jedźmy razem, Domanie, i po kmieciach, i po Leszkach.

— Jedźmy, ojczyźnie Wiszu — potwierdził Doman — jam gotów. Spoczniście u mnie, dalej ja ruszę z wami.

— Jak myślicie? Dokąd? — spytał stary.

— Z kmieci... Do starego Piasta, na naradę; ubogi człek, ale mądry... Milczy, ale więcej wie od tych, co gadają.

Wisz głową skinął.

— A dalej?

— Z Leszków choćby do Miłosza... — mówił Doman.

— Tego synowi wylupili on oczy.

Liczyli tak dwory, gość palec na ustach kładł.

Konflikt

Tajemnica

²¹³czerni — tu: pospólstwo. [przypis edytorski]

²¹⁴rab (daw.) — niewolnik, sługa. [przypis edytorski]

²¹⁵padło — padlina. [przypis edytorski]

²¹⁶tłuc się po zagrodach — jeździć od zagrody do zagrody. [przypis edytorski]

²¹⁷cierpieć — tu: znosić. [przypis edytorski]

²¹⁸przylepły — dziś: przylepiony. [przypis edytorski]

²¹⁹pono (daw.) — podobno; przecież. [przypis edytorski]

²²⁰praszczur (daw.) — przodek. [przypis edytorski]

²²¹kędy (daw.) — gdzie. [przypis edytorski]

²²²dostać języka — wypytać. [przypis edytorski]

— Krom²²³ nas dwu niech o tym nikt nie wie. Jedziemy na łowy.
— Jedźmy na łowy. Ludzi waszych zostawicie u mnie, we dwu ruszymy, tak lepiej.
— Tak lepiej — dodał Wisz.
— Gdzież my wiec zwołamy? Boć stanie na tym, aby się zebrał, dawno go nie było — rzekł Doman.

— Gdzie? Tam, gdzie on od wieków bywał, nowego miejsca ni szukać, ni znaleźć. Na Żmijowym uroczysku, nieopodal od dębu świętego i źródła, w okopie na horodyszczu, gdzie ojcowie, dziadowie i pradziady się nasze zwoływały. Tam nam też stanąć wszystkim i radzić.

W oczy sobie popatrzeni.

— Uroczysko to w głębi lasów, bezpieczne, błotami opasane dokoła. Lepiej tam niż gdzie indziej. Gdyby się starszyny zebrały gromadą przy naszej czy waszej zagrodzie, mściłby się kneź i palil. Tam, kto wie? I posłuchu²²⁴ może mieć nie będzie.

— Posłuchu? — rozśmiał się Doman. — Ma on swoich wszędzie, doniosą mu, byleśmy się ruszyli tylko, ale nie przetoż się lękać mamy i siedzieć po norach. Z wieków się ludzie na wiece zbierali, czemu by i dziś nie mogli? Pilno obeślem wiciami.

— Tak — rzekł Wisz — pošemy dwu po dworach, zagrodach, chatach, aby starszyna przyszła, lecz wiedzieć wprzód musimy, kogo wołać i kto z nami stanie. Godziłoby się wziąć kłatwę²²⁵ na ogień i wodę.

Naradzać się zaczęli po cichu. Stało na tym, że wiec być ma koniecznie i że się temu nie sprzeciwią ludzie, więc już naprzód myślano, jak nieznacznie go zebrać, a że na Kupalę gromady się i tak po uroczyskach schodziły, przed Kupalą dzień wybrać chciano.

Wisz i Doman zgodzili się na to zawczasu. Na wici czasu było dosyć, a do Kupali też nie tak daleko, aby rzecz poszła w odwłokę²²⁶.

Gwarzyli długo... Naradzali się w izbie po cichu aż do zmierzchu. Stał miód na stole, ale go prawie nie tknęli. Pochmurniały czoła, zasępiły się oczy nawet wesołemu Domanowi. Przebrało się w końcu i rady, i słowa, ręce sobie podali i gospodarz wywiódł starca za zagrodę pod lipę, która na wzgórzu stała. Ledwie się tam ukazali, że dworu za panem skoczyło całe psów stado, bo myśliwiec był wielki. Obsiadło ich dokoła. Młodzież też, czeladź, dwór stanąwszy z dala — jakby na coś oczekiwać się zdawała. Doman ku nim, oni patrzali ku niemu.

— Chciałbym was zabawić i ugościć — odezwał się gospodarz. — Staremu nie w smak młode pieśni, bo są płochy. Czymś byśmy was przyjąć przecie radzi i pokazać, że my od snu nie puchniemy i u ognia nie drzemiemy. Hej, Ścibor! — krzyknął Doman, znak dając ręką. — Sam tu!

Dorodny chłop, któremu też oczy ogniem pałały, na zawołanie się stawil.

— Lepszego dnia na naszego wilka nie znajdziemy — odezwał się Doman. — Przed kim się pochwalić, jeśli nie przed starym Wiszem. Dajcie go tu z zagrody, pokażemy, że się dzikiego zwierza nie boim.

Skoczył Ścibor rażno, a za nim ozwały się głosy ochocze. Psy wnet zagnano do zagrody, kilka tylko zostawiwszy na sznurach. Wisz i Doman wstali spod lipy — zbliżając się do wrót, przy których już się chłopaki gromadzili. Gospodarz kazał wziąć oszczepy i poczał ludzi rozstawiać dokoła. Sam też ujął dzidę z żeleźcem, zajmując stanowisko w oddali. Psy na powrozach trzymali parobcy, a rwały się czując, że je nie darmo więżą.

Klasnął w ręce pan i wrota, skrzypiąc, otwarły się.

Wilk, który dni kilka w niewoli przesiedział, zahukany był i wylękły, nierychło korzystał ze swobody. Wołano nań, bijąc kijami o ściany od podwórza, a ruszać się nie chciał, skulony kłapiąc tylko zębami. Nagnano go przecie ożogami²²⁷ do wrót i głowa jego w nich się ukazała; wnet też, rozglądnąwszy się ostrożnie, naprzód skoczył i stał.

Zabawa, Polowanie,
Okrucieństwo, Pies,
Zwierzę

²²³krom (daw.) — oprócz. [przypis edytorski]

²²⁴posłuch — tu: wywiad, wieść. [przypis edytorski]

²²⁵kłatwa — tu: przysięga; por. wyrażenie: *kląć się na coś*. [przypis edytorski]

²²⁶pójść w odwłokę — odwlec się, przeciągnąć. [przypis edytorski]

²²⁷ożóg — kij do poprawiania ognia, usuwania popiołu i żużla w piecu (piekarskim a. kowalskim); tłąca się głownia. [przypis edytorski]

Cicho przysiedli czatujący, psy tylko wyc poczęły, wilczyśko się ruszyło, zrazu krokiem niepewnym, potem szybciej coraz, patrząc ino²²⁸, kędy²²⁹ umykać ma do lasu.

Ucieczka była trudna, bo zewsząd ludzie zabiegali. Doman nań godził pierwszy, biegnąc żywo na przelaj, aby go nie mógł wyminąć. Gdy się leniwo poruszał zwierz, spuszczo psy, a te się wnet nań rzuciły. I łowy rozpoczęły się wtedy na dobre.

Jeden i drugi z chłopaków śmielej zabiegli wilkowi z oszczepami, cisnął któryś z daleka i trafił słabo po grzbiecie — psy zatrzymały za uda i szarpać poczęły. Doman, korzystając z tego, przypadł i z wielką zręcznością w otwartą paszczę wbił mu dzidę, na miejscu kładąc kudłacza.

W czasie tych łowów dla zabawy krzyk, śmiechy i klaskania w ręce po dworze się rozlegały; dziewczęta, na płoty wlaższy, zachęcały i nawoływały, dzieci wywijają kijami. Stary Wisz nawet parę razy za mieczyk chwycił, nie mogąc się w spokoju utrzymać. A gdy wilczyśko, brocząc posoką²³⁰ ziemię, zwaляło się i psy je dławic poczęły, dopiero zbiegli się wszyscy z bliska oglądać zabitego.

Kilka dni temu pojmał go w lesie któryś z ludzi Domana, ogłuszywszy uderzeniem w głowę tak, że na poły przybitego związano i na dwór przywieziono, gdzie się wylizał i odżył, aby posłużyć teraz do zabawy.

Zwleczo po tem zabitego, a zaczęto próbować luków i procy. Doman ze wszystkich najzręczniejszy był, choć drudzy też czynili, co mogli, aby mu sprostać. Wisz patrzył tylko, a wdychał, że mu ręce stare drżały. Niegdyś i on tak dokazywać umiał.

Gdy zmierzchno i łuczywa w izbie pozapalano, siedli radzić jeszcze i długo na osobności szepłali z sobą — aż Doman posłanie swe staremu ustąpiwszy, drugie dla siebie w tej izbie kazawszy położyć, do spoczynku zaprosił.

Jak dzień tedy pozrywali się; konie od wczora były zapowiedziane, ludzie, choć im się chciało bardzo jechać razem z panami, musieli zostać w zagrodzie.

Do dworu Leszka Miłosza drogi przez lasy było na dzień cały. W torbach na plecach mieli jado, w drewnianych, smołą wylanych fiaskach po trosze miodu. Konie, nawykłe do trzęsawisk i lasów, nie lękały się podróży. Doman jechał przodem.

Dla pośpiechu wybrano krótszą drogę, wiodącą przez moczary i gąszcze nieprzebyte. Gdzieś tam ogromne stopy drzew wiatrem obalonych, na pół pogniętych, trawami bujnymi porośłych, gałęzmi i korzeniami posplatanych, tamowały przejazd, musieli je objeżdżać dokoła; indziej gnile²³¹ rzeczułki ze śliskimi brzegi²³² trudno konie przebywały. W ostępach²³³ tych, które rzadko człowieka widywały, zwierz, nie tak płochliwy, zrywał się niemal spod stóp jeźdźców... Na drzewach świeciły ogniste żbików ślepie, pod krzakami mruczały niedźwiedzie, stada łosiów i jeleni z ogromnym chrzęstem pierzchały przed nimi. Gęste nawet drzew wierzchołki pełne były ptastwa, gniazd i wiewiórek — które im nad głowami szeleściły...

Wnętrze puszczy tajemnicze, ciemne, straszne, ledwie promienie przepuszczało słoneczne i gdy pod wieczór wydobyli się z tych zapadłych gęstwiny na suchszą łąkę, oba raźniej odetchnęli.

Tu musieli się otrząsać z liści, gąsienic, mchów i porostów, którymi puszcza ich okryła.

W dali już dym widać było. Na wzgórzu łysym postrzegli wysoki bardzo wał z ziemi, zielonym darniem²³⁴ okryty, zza którego tylko gęstwina drzew się ukazywała. Spośród nich unosił się dym wstęgą siną ku górze, znak ludzkiego mieszkania i życia. Wały, otaczające grodzisko, tak wysoko sięgały, iż spoza nich budowli żadnych dostrzec nie było można.

Gdy się zbliżyli, postrzegli wśród okopów z ziemi, wąski przesmyk wysokim zaparty częstokołem²³⁵... Na zewnątrz żadnego znaku życia. Wrota stały zamknięte. Podjechali

Podróż, Droga, Las

Dom

²²⁸ino (daw., gwar.) — tylko. [przypis edytorski]

²²⁹kędy (daw.) — gdzie, którędy. [przypis edytorski]

²³⁰posoka — krew. [przypis edytorski]

²³¹gnily — dziś: zgniły a. gnijący. [przypis edytorski]

²³²brzegi — dziś popr. N. Im: brzegami. [przypis edytorski]

²³³ostęp — trudno dostępne miejsce w lesie. [przypis edytorski]

²³⁴darniem — dziś r.ż.; popr. forma N.: darnią; *darni* — warstwa gleby przerośniętej gęsto splecionymi korzeniami traw i in. roślin, używana do umacniania nasypów. [przypis edytorski]

²³⁵częstokół — ogrodzenie z zastrzonych na górze bali drewnianych; palisada. [przypis edytorski]

ku nim, a nikt się nie ukazał, choć na wyżynach wału kilka ludzkich spostrzegli postaci. Wisz zatrąbił.

Stali jednak długo, nim zza tynu wysokiego ukazała się głowa ludzka, okryta skórą łba wilczego.

Stary dopraszał się wnijsia — ale pacholek mruczał, że kneź Miłosz nie dopuszcza do siebie nikogo. Musiano uporu zażyć i po kilkakroć wywoływać strażę, nim ich narzecie wpuszczono. Wrota się rozwarły, przebyli ciemną drogę przez gruby okop, który grodzisko opasywał, i znaleźli się w podwórku starymi drzewy²³⁶ porośłym. Lipy i dęby z pniami olbrzymimi, z szeroko rozpostartymi gałęziami, osłaniały niemal przestrzeń całą. Poza nimi, w cieniu, niska budowla ciemna, drewniana, rozkładała się szeroko ze swymi podsieniami szerokimi i wysokimi dachy²³⁷.

Ponure, skórąmi okryte postacie jakieś włóczyły się tu i owdzie. Ogromne psy, kościste a chude, przyszyły na podróżnych zawarczyć i obwąchać ich dokoła. Nierychło zjawił się zgarbiony starzec, niskiego wzrostu, zakapturzony, o kiju. Z tym się zrozumieć i rozmówić nie było prawie można.

Mrucząc, jednak powiódł ich za sobą. Wieczorny zmierzch i cień drzew w budowli niskiej, z małymi okienkami, już mało co widzieć dozwalały.

Gdy ich do świetlicy wpuszczono, stali długo wprzód, nim oczy ich oswoiły się z mrokiem i coś rozeznac mogli. Na ognisku paliły się dogasające polana.

W głębi, na skórach leżał olbrzymiego wzrostu starzec, z brodą wyrosłą długo, której włosy jak trawa, nie kręcące się, proste spadały mu niemal do kolan. Brwi nawieszane zakrywały mu oczy, głowę miał zupełnie łysą. Trzymał ją właśnie wspartą na kościstej dłoni. Nogi jego spoczywały na czymś czarnym, co się ruszało opieszale. Nierychło Wisz dostrzegł swojskiego²³⁸ niedźwiedzia, który mrucząc, podścielał się pod pańskie nogi...

Dwie sroki chodziły, skacząc po podłodze.

Gdy weszli z wolna, kneź Miłosz się nie ruszył, oczy tylko ku nim skierował, wlepił w nich i czekać się zdawał, by oni poczęli rozmowę. Sroki tymczasem pobiegły w kąt, a niedźwiedź głowę zwróconą ku ścianie odwrócił, ziewnął szeroko i znowu ją na dawnym miejscu położył.

W izbie było duszno nieznosnie, a stary kneź trząsł się z zimna.

— Kneziu Miłoszu — odezwał się Wisz powoli — pozdrawiamy was.

— Ktoś ty taki? — zapytał głos ponury i gruby, jakby z głębin wychodzący.

— Kmieć Wisz z sąsiadem Domanem.

Kneź milczał.

— Dozwolicie mówić z sobą?

— Mówić, ze mną? — począł ten sam głos dziki. — Ja nie mam nic do ludzi ani oni do mnie! Czego chcecie?

— Rady dobrej — rzekł Wisz.

— Jam jej sobie nie znalazł, drugim też dać nie potrafię, gdzie indziej po to idźcie — odparł kneź.

— Żle się u nas i z nami dzieje — ciągnął stary z wolna, nie zważając na odprawę — wasz i nasz wróg gnębi nas coraz okrutniej.

— Kto?

— Chwostek — rzekł, obelżywego tego nazwiska używając, starzec.

Rozśmiał się dziko leżący Miłosz.

— Mnie on już nie uczyni więcej nic. Pozbawił mnie dzieci, gdyby wziął nawet życie... Nie dbam o nie. Idźcie sobie szukać indziej rady i pomocy.

— I pomsty nie chcecie? — spytał Wisz. — Wszak ta się wam za dzieci słusznie należy. Zabity jeden, oślepiiony drugi, nie została wam na starość pociecha żadna, a ma to zostać bezkarne?

Kneź milczał długo, aż zerwał się gniewny.

— Precz albo na was spuszczyć Maruchę! — zawołał. — Chwost was tu nasłał, żebyście mnie za język ciągnęli... Psie syny jakież... Won stąd!

²³⁶drzewy — dziś popr. N.lm: drzewami. [przypis edytorski]

²³⁷dachy — dziś popr. N.lm: dachami. [przypis edytorski]

²³⁸swojski — tu: oswojony. [przypis edytorski]

— Kneziu Miłoszu — odezwał się chłodno Doman — ja jestem syn tego, co wam życie zbawił, a Wisz nigdy nie zdradził nikogo. My kmicie jesteście, nie niewolniki.

Zawarczało coś na łożu tak, że trudno rozeznaczyć było, niedźwiedź czy pan się odzywał — potem sapanie słyszeć się dało i głos jęczący.

— Idźcie po radę, gdzie rozum jest, u mnie go nie ma. We mnie z bólu wyszło wszystko, siłęm stracił, pamięć, nawet do pomsty ochotę. Idźcie, mścijcie się za mnie, a gdy mu serce wydrzecie, przynieście je mnie, pożrę je i umrę... Dawno mi się umrzeć należało, wołam o śmierć, nic więcej! Nic więcej! Moje dzieci, kwiaty moje, syny moje. Cóżem ja wart bez nich? Na co mi bez nich życie?

Twarz zakrył rękami obiema i zamilkł. Wiszowi serce się ścisnęło na widok tej boleści, stali niemi. Starzec jęczał. Nierychło podniósł oczy i począł łagodniejszym już głosem:

— Idźcie ode mnie, biedne ludziska, czego wy tu szukać możecie? Ja już nie mam nic! Nic! Niech się świat spali, niech go morze pochłonie, niech ludzie umrą, mnie już gorzej ni lepiej nie będzie. Kwiaty moje! Syny moje, moje dzieci!

I znowu zanurzył głowę w dłoniach i płakał. Oni stali, nie wiedząc, czy jeszcze czekać mają czy odstać precz, aby go na próżno nie dręczyć. Jęknąwszy silnie, Miłosz się podźwignął i siadł, rękami trzeć począł twarz i czoło. Klasnął w dłonie. Z bocznej izby, uchyliwszy drzwi, wysła niewiasta tak olbrzymiego wzrostu jak starzec, wychudła i żółta, z głową zawitą chustami tak, iż oczy spod nich zaledwie widać było. Płaszcz ciemny okrywał białe ubranie niewieście. Spojrzała ode drzwi na obcych i zawahała się nieco. Niosła w ręku dzbanuszek i kubek. Stary już palce drżące ku niej i napojowi wyciągał. Milcząc, nalała mu i podała. Pocałował pić chciwie. Dopiero jakby orzeźwiony, popatrzał na Wisza i Domana, a niewiastę skinieniem odprawił.

— Mówcie — rzekł — cóż wy poczynąć chcecie? Co? Zwołacie wiec, aby się na nim pokłócić i zwaśnić? Będziecie radzić, jeździć, mrużyć, a on was po jednemu na powrót wyłowić! Zaprosi na ucztę i jednych na drugich poszczuje! Co wy mu zrobicie? Wiece się waszego nie boi, ani was, ani pogroźek waszych. — Rozśmiał się. — Połowa z was będzie z nim, pół przeciwko niemu! Rozda wasze ziemie tym, co na was mu pomogą! Nic mu nie zrobicie. Gdy ludzi zabraknie, przyjdą w pomoc Niemcy i kraj spustoszą, a krnąbrnych powiodą w niewolę.

I rzucił się znowu na łożo.

— Kneziu — rzekł Wisz — trudna to sprawa, wiemy o tym, ale się Chwosta pozbyć musimy. Zginie z nas wielu, wielu zdradzi, padnie dużo, w końcu i jego nie stanie. Przyszliśmy się spytać, kneziu Miłoszu, jak wiec postanowi na gród, dacie nam swoich ludzi? Będziecie z nami?

Stary milczał długo.

— Nie — rzekł — serce bym mu wyrwał, gdybym mógł sam, gdy wy mu je wyrwiecie, uraduję się, a na niego z wami nie pójdę... To kmicza sprawa... Jam kneź! Jam Lech! A pamiętajcie o tym, że gdy go zmożecie, on ma dwóch synów za Łabą. Tym się nic nie stanie, ci wrócą z Niemcami i pomszczą się na was... Próżne wasze jęki, próżne. Nie on, to dzieci was zabiorą w niewolę; nie on, to ja bym was uczył, co kmicieć, a co kneź! Nie byłbym lepszy... — mrużał niezrozumiale.

Wisz spojrzał na Domana.

— Cóż rzec więcej — zawołał. — Wy mu i o tym, coście słyszeli od nas, jutro znać dacie?

Kneź się rozśmiał, a niedźwiedź zamruczał.

— Między nim a mną nie ma mowy, namowy, ni rozmowy. On mój wróg, ja jego — zawołał Miłosz. Dadzą o tym znać inni, powywiesza was na dębach. Niech wiesz! Nie ma moich dzieci. Synów moich nie ma. Kwiatów moich nie ma. Niech świat ginie!

Jęknął i głowę zanurzył w posłanie — Wisz skinął i wyszli ze świetlicy. Za nimi słychać było płacz, mrużenie i krzyki dwóch srok, które, ośmielone wyjściem obcych, klócić się zaczęły.

Na podsieniu czekał na nich starzec zgarbiony. Wyszli z nim razem pod stare dęby w podwórze.

— Tak wasz kniaź zawsze? — spytał Wisz.

Ojciec, Syn, Żaloba,
Cierpienie, Rozpacz

Serce, Zemsta, Rodzina,
Pozycja społeczna, Ojciec

— Ile razy obcych widzi — szepnął stary, wzdychając. — Czasem i po nocach duchy go męczą, że się zrywa i krzyczy głosem wielkim, aż, co żyje na zamku, pobudzi. Biedny człek! Biedny!

Chcieli mimo wieczora opuścić zaraz smutne grodzisko Miłosza, lecz i tu święte prawo gościnności zachowane było. Staruszek zaprosił do izby osobnej, gdzie dla nich postawiono wieczerzę i zgotowano posłanie. Sam on poszedł z nimi, choć z niego słowa się dopytać nie było podobna. Wszystko na tym żałobnym dworze milczące było i przygnębione, zdając się czekać tylko śmierci i — końca.

VIII

Nieopodal od brzegów jeziora Gopla, na skraju lasów, był dwór i zagroda Piastuna, którego też i Piastem przez skrócenie zwano. Do niej dążyli, opuściwszy o brzasku smutne grodzisko Miłoszowe, Wisz stary i młody Doman. Kilka już dni spędził starzec na koniu, a czuł się niemal więcej krzepkim²³⁹, niż gdy doma²⁴⁰ na kamieniu u rzeki siadywał, z dala przypilnowując gospodarstwa.

Ze wszystkich kmieciów okolicy tej Piastun był najmniej zamożnym, a najbardziej poważanym przez braci. Ród jego siedział na jednym miejscu od prastarych czasów, dziad i pradziad gospodarzyli w sąsiednich lasach, głównie pilnując barci²⁴¹ leśnych i myślistwa. Mało co pola wydartego²⁴² mieli, a te zasiewali tylko, aby im chleba nie zabrakło. Było już w obyczaju ich, aby się zbyt nie troszczyć. Nie rosły też one w ich rękach. Znano tę ubogą, starą chatę naokół z gościnności słowiańskiej, dom stał otworem, wstępował do niego każdy jak do gospody, żywił się i brał w drogę, co mu było potrzeba.

Dwór w zręb zbudowany z całych drzew, mało co ociosanych, niski był i stary. Dach i ściany jego czerniały od dymu, podsienia były wąskie, słupki w nich z prosta rzezane²⁴³. Sam Piastun, żona jego Rzepica, małe pachole, synacek, składały całą rodzinę. Czeladzi było sporo, a i ta niemal do niej się liczyć mogła, bo tak się z nią po staremu obchodzono, jakby do krwi i rodu należała.

Tu jeszcze nowy obyczaj, który się od niemieckich krajów powoli wciskał, wcale był nie zajrzał²⁴⁴. I dlatego może Piastuna szanowano a radzono się, że pod tą ubogą strzechą przechowywały się skrzętnie dawne podania: o ojców wierze, obyczaju i zwyczaju. Gęślarze i śpiewacy gościli tu często, a gdy który z nich się zjawił, wieczorami siadali kołem wszyscy, zimą około ogniska, w lecie koło lip starych w podwórzu i słuchano ich a uczono się od nich przeszłości. W obrzędach weselnych, przy postrzyżynach, na pogrzebach, Piastun rej wodził, bo najlepiej wiedział: i jakie pieśni do której chwili przystały, i jaką ofiarę składać, i co gdzie czynić należało. W sądach też, jeśli się w mirze lub na opolu czasu pokoju trafiło zabójstwo, on prawo stare najlepiej wiedział, jak zastosować. A gdy on co rzekł, nie było już się co sprzeczać i sporzyć²⁴⁵.

Mały ten człek między bogatymi kmieciami więcej znaczył od najzamożniejszych. Szli z dala do Piastuna ludzie, a gdy go doma nie zastali, bo często w lesie barcie swe podpatrywał, czekali nań dzień i dwa, póki nie przyszedł i nie siadł ich słuchać; a miał ten zwyczaj, że mówił niewiele i niełatwo, że wyzywał wprzód na słowa, myślał długo, ale gdy na ostatek, wśród ogólnego milczenia rzekł swoje, tego potem nie odmienił. Ludzie o tym tak dobrze wiedzieli, że gdy ten wyrok zapadł, nie śmieli nic przeciw niemu powiedzieć.

Poszanowanie to dla Piastuna, który, choć w pobliżu grodu mieszkał, nigdy kneziowi nie dworował²⁴⁶ ani się do niego cisnął, zjednało mu na pańskim dworze nienawiść. Lecz nie tykano go, bo się wpływu jego na innych lękano. Ująć się też nie dawał niczym,

Gość, Obyczaje

Pozycja społeczna

Rodzina, Sługa

Dziedzictwo

Pozycja społeczna, Mędrzec

²³⁹krzepki — silny. [przypis edytorski]

²⁴⁰doma — dziś: w domu. [przypis edytorski]

²⁴¹barć — naturalne siedlisko pszczoł w lesie, zwykle umiejscowione w dziuplach, wydrążonych gałęziach i pniach drzew. [przypis edytorski]

²⁴²pole wydarte — w domyśle: zarośłom leśnym. [przypis edytorski]

²⁴³rzezany — tu: rzeźbiony. [przypis edytorski]

²⁴⁴był zajrzał — daw. czas zaprzeszły, wyrażający czynność wcześniejszą od innej, również dziejącej się lub dokonanej w przeszłości. [przypis edytorski]

²⁴⁵sporzyć — dziś: spierać, toczyć spory. [przypis edytorski]

²⁴⁶dworować — tu: zachowywać się służalczo, jak dworak. [przypis edytorski]

a najmniej pochlebstwem, którego nie słuchał nawet. Nazywano go też hardym, a może i był nim w istocie, choć przeciwko małym nigdy się nim nie okazywał.

Mąż był lat naówczas średnich, liczył ich sobie poza czterdzieści, wzrostu niewyniosłego, krzepki i na pozór niczym się nieodznaczający. Tylko w oczy mu spojrzawszy, widzieć w nich było łatwo, że poza nimi rozum mieszkał spokojny a silny. Gdy inni naówczas ludzie dla samego obudzenia strachu zwykli byli gniewać się, miotać i więcej może okazywać złości a gniewu, niż go mieli w istocie, Piastun nie dawał się nikomu przywieść do namietności. Surowy był, milczący, na oko chłodny i wytrzymały. Znano go jednak z tego, że gdy dla przykładu trzeba było użyć mocy i ukarać, spełniał bezlitośnie, co postanowił. Nosił się jak człek prosty i od parobka go niemal we dnie pracy rozpoznać było trudno; nie lubił błyskotek i jaskrawych drobnostek, za którymi inni przepadali, a nade wszystko nie znośli, by się co w stroju i domu zmieniało z obyczaju dawnego.

Gdy inni miewali nieraz po kilka żon, bo zwyczaj tego nie bronił, Piastun żył z jedną, a żona u niego nie była w tej niewolniczej podległości trzymana co u innych. Godzili się też z sobą we wszystkim, tak że lepszemu stadła²⁴⁷ ludzie nie znali.

Pracowano tu od dnia do nocy, a on sam rzadko w domu siadywał, co jeśli się trafiało, znać, że około roli nieopodal dworu coś miał do czynienia.

Gdy nazajutrz z południa zjawili się tu, lasami przedarłszy, nie chcąc być postrzeżeni, Doman i Wisz, znaleźli gospodarza właśnie z kobiałką na plecach, na drodze do lasu i barci. Wstrzymali więc go na drodze, Wisz z konia zsiadł i pozdrowił.

— My do was — rzekł.

— Zawracajmyż do chaty — odparł Piastun.

— Albo lepiej siądźmy gdzie pod drzewy, na uboczu, bo wasz dwór na oczach, ludzi w nim obcych często bywa wiele, a nam trzeba się naradzić po cichu...

Piastun się popatrzył nań zdziwiony, nie sprzeciwiając się jednak; ręką wskazał bliską polankę w lesie, gdzie szopka była na siano, taka jakie dawniej po słowiańskich krajach odrydami zwano. Stała ona teraz otworem i chruściane jej ściany półprzezroczyste dozwalały widzieć dokoła, gdyby się kto przybliżał. Wewnątrz para kłód sosnowych u wrót jakby umyślnie leżała, aby na nich przysiąść można.

Konie puszczono na łączkę, aby się pasły, siedli pod dachem w odrynie, gdzie spieka nie dokuczała. Piast, nie mówiąc jeszcze słowa, kobiałkę, którą na plecach niósł, odkrył i dobywszy z niej chleb i ser, położył je przed gośćmi, ale ci ich nie tknęli.

Wisz tedy pierwszy mówić począł:

— Siedzicie pod samym grodem i pod bokiem Chwostka — rzekł — wam więc dużo nie trzeba prawić o tym, co się u nas i z nami dzieje... Po tośmy do ciebie przyszli, aby się radzić... Wiec zwołać trzeba...

Strzymał się Wisz, gospodarz słuchał, milcząc, Doman gorętszy dodał:

— Jeśli się zawczasu nie poradzi, wybiją nas do szcztu... Musimy się bronić... Dawnym obyczajem nie co innego poczynać, tylko zwołać starszyznę...

Stary wciąż słuchał jeszcze; więc Wisz szeroko mówić począł, jak to dawniej w mirach bywało, a co się dziś działo, i jak z wojskowych dowódców kneziowie na niemiecki sposób panami się czynić chcieli, co cierpiano od rozrodzonych kniaziątek... I jak na to ratunku skorego²⁴⁸ było potrzeba.

Piastun mu dał mówić, wcale nie przerywając; i on, i Doman, szeroko wszystko wyluszczyli, nareszcie zamilkli, oczekując, co on powie. Piastun myślał, głowę spuszczoną trzymając, i odezwał się nareszcie.

— Ja wam coś powiem o prastarych czasach... Słyszeliście to od ojców waszych, a ojcowie od ojców swych słyszeli, że nasza mowa ciągnęła się dawniej daleko za Łabę, nad Dunaj; za Dunajem, nad sine morze i na zachód aż do Gór Czarnych²⁴⁹. Był to czas szczęśliwy, gdyśmy na niezmiernej przestrzeni byli sami jedni, a sąsiedzi w domu co robić mieli. Chodziliśmy naówczas bez mieczów, z gęslami, rolę uprawiali, w otwartych siedzieli chatach i gospodarzyli w mirach bez wszelkich kneziów... Dawne to czasy... Od

Spotkanie

Przemiana, Obraz świata,
Społeczeństwo,
Przodkowie, Historia

²⁴⁷stadło — para małżeńska. [przypis edytorski]

²⁴⁸skory — szybki. [przypis edytorski]

²⁴⁹Góry Czarne — prawdopodobnie chodzi o południowo-wschodni masyw górski, stanowiący część Gór Wałbrzyskich w Sudetach Środkowych. [przypis edytorski]

morza przypadli jedni, od gór zaczęli napastować drudzy... Z orężem w dłoni niewolniczy a karny lud... Musieliśmy się bronić... Skończyło się szczęście nasze, śpiewanie i spokój... Zamorskich wodzów trzeba było wziąć, stolby murować, grodziska stroić i bić się... A stara swoboda zawsze się nam przypominała... Kneź nam był wrogiem... I cóż? Ot, plemię nasze wyciskają powoli Niemcowie i wycisnęli je już z sadyb dawnych, i pod nogami nam co dzień ziemi ubywa...

Zamilkł Piastun, a po chwili dodał:

— Kneziów się zbędziemy, a Niemcy nam na kark wleżą...

Wisz się poruszył.

— Nie chcemy się ich zbywać — odrzekł — ale tego Chwosta tylko na innego zamienić... Wiecie dobrze, iż on pierwszy z Niemcami trzyma... Ród jego cały serce tam ciągnie... Znajdziemy innego... Dosyć się naszej krwi ulalo... Wieceu nam trzeba...

Znowu pomilczał gospodarz.

— Trzeba nam wieceu i trzeba zmiany — rzekł — ale i wieceu niełatwy, i zmiana. Ciężką to sprawę poruszać, jakbyście gołą rękę w ul wsadzili... Jedni na Chwostka płaczą, drudzy trzymają z nim... Zgody nie będzie, tymczasem Niemiec języka dostanie²⁵⁰ i najedzie wówczas, gdy my się z sobą zająć będziemy... Wieceu nam trzeba, ale zgodnego a takiego, jakie ongi bywały, gdy za ojców radzono... Zwołajcie wiece...

Poczęli tedy obliczać, o ile we trzech mogli i umieli, kogo za sobą mógł mieć Chwostek, a kogo przeciw sobie i okazało się, że niemała liczba stanąć mogła po stronie knezia, chociaż okrutnik był i dla nikogo serca nie miał.

Rozmowa cicha przeciągnęła się do wieczora. Szli potem razem do chaty i zasiedli po wtóre przy ognisku. Tu zaledwie chleb rozłamali, gdy mały, krępy człeczyna, z głową krótko ostrzyżoną, z oczyma kocimi, w obcisłej siermiężce, zjawił się w progu. Zobaczywszy go, wnet zamilkli wszyscy; był to znany kneziowski sługa, na nieustannych posyłkach spędzający całe życie. Obawiano się go na grodzie i w okolicy, bo podpatrywał, podpełznąć umiał, podsłuchiwał i donieść panu, co pochwycił. Oka jego nic nie uszło... Siadywał jak żbik na drzewach, gdy mu trzeba było niewidzianym gdzie być, wszywał się w gałęzie, zakradał do lisich nor, zakopywał w stogach siana, przylegał w wiszarach i trzcinach... Dla małego wzrostu i lichej postaci Znoskiem go zwano. Zjawienie się jego gdziekolwiek bądź nic nigdy nie wróżyło dobrego. Złośliwa żmija nie wracała nigdy bez łupu na gród, a łupem były oskarżenia, które do ucha Chwostkowi nosił.

Szeroka gęba z zębami białymi śmiała się w progu. Znosek stał i patrzył po izbie. Pozdrowił Piastuna i, nic nie mówiąc, przysiadł na ławie, przypatrując z wielką uwagą gościom...

Milczenie panowało w izbie, tylko Rzepica, która się około ognia kręciła, a jako niewiasta więcej obawiała Znoska niż Piastun, podała mu kubek piwa... Obrzydły karzeł wziął go dziwnie, popatrzył na gospodarza i gości i po cichu rechotać począł, jakby sam sobie się śmiejąc.

— Matko Rzepico — odezwał się głosem schrypłym Znosek — ty masz lepsze serce od innych. Przynajmniej zlitowaliście się nade mną, nad którym nikt się nie ulituje, którego wszyscy nienawidzą! A co ja winien? Co ja komu winien? Albo to ja taki zły, jak mówią? Oczu nikomu nie wylupiłem... Czarów nie rzucam na nikogo... Służę każdemu... Słucham wszystkich. Przecie nogami mnie kopią, plują na mnie... I każdy by mnie zgniótł, gdyby mógł...

I śmiał się szkaradny Znosek, popijając z kubka.

— Skądże to wiesz, że ci ludzie tak źle życzą? — zapytał Piast.

— Z oczów im to patrzy! Oho! — mówił karzeł. — Ja mam psi węż, Piastunie.

Pomilczawszy chwilę, począł dalej:

— Wiecie nowinę?

— Cóż tam za nowina? — spytał gospodarz.

— Na grodzie u miłościwego pana gotuje się uczta wielka i radość wielka... Naprzykrzyło się nam wojować i swarzyć... Kneź chce się ze swymi pojednać... Tego, co mu oczy wylupiono, puszcza, aby sobie w świat szedł. Kto wie, a może mu oczy odrosną? Stryjów i bratanków zaprosi kneź do stolba i zgodę na wieki zapijemy!

²⁵⁰ dostać języka — wypytać się, dowiedzieć się. [przypis edytorski]

Sługa, Szpieg

Wiadomość, Zgoda

Słuchali wszyscy w milczeniu.

— Powinniście się cieszyć z tego — mówił Znosek. — Potem wszyscy kneziowie jak się wezmą za ręce, to dopiero ład będzie u nas! Teraz zbiorą się łada żupankowie i na gród się cisną, a pięściami nam grożą pod nos... Bo wiedzą, że knezie z sobą się waśnią... Później już tego nie zobaczymy!

Mrugnął bystro oczyma i roześmiał się. Drudzy milczeli, gdy z podwórza głos się dał słyszeć. Wszyscy zwrócili głowy ku wnijściu. W progu stał człowiek siermięgą czarną odziany, w czapce czarnej, z kijem w ręku; oczyma jakby obląkanymi patrzył we wnętrze chaty, liczył nimi tych, co w niej byli. Wzrok jego zatrzymał się na Znosku i usta, które już miał otworzyć, zamknęły się. Nie powitawszy nawet nikogo, zawrócił się od progu, odszedł i usiadł na przyzbie.

— Ten mnie tylko zobaczył — rozśmiał się karzeł — i ochota mu od gościny i od mowy odpadła.

To mówiąc, dopił piwa, kubek postawił, wstał i stanąwszy pośrodku izby, rzekł, w boki się biorąc.

— Wiesz i Doman! Wiesz i Doman!

— Znacie mnie? — zapytał stary Wiesz.

— Ja? Naokół o dziesięć dni drogi znam wszystkich — rzekł Znosek — nawet psy podwórzowe po imieniu... A jakbym kmieciów znać nie miał? Tamten, co z progu zszedł, to stary Ziemba... Nieprawdaż? Nawet wiem, z czym przychodzi i co mu gębę zamknęło... Syn jego miał na grodzie przypadek... Szczepili się z Sławojem przy uczcie i pozarzynali... Potemśmy go puścili na jezioro, żeby się otrzeźwił, ale wody się nadto opił i... Zdechł...

To mówiąc, roześmiał się Znosek, pokłonił, zawinął, skoczył i znikł.

Po wyjściu jego długo cicho było w chacie, jakby się powrotu obawiano. Ziemba też, siedzący na przyzbie, nie wchodził; czekał pewnie, aż się niezdara oddali. Po dobrej chwili dopiero pokazał się w progu. Piastun, gdy próg przestąpił, poszedł go przywitać.

— Przyszedłem się wam opowiedzieć z sieroctwem moim — odezwał się stary. — Syna mi na grodzie ubito. Ciałośmy ledwie odzyskali, aby je poczestnie spalić na stosie... Mówcie, bracia dobrzy, ludzie my jesteśmy czy zwierzęta dzikie, które bez pomsty kłuć wolno?

Ręce założył i stał pogrążony.

— Mam dwóch jeszcze synów — mówił po chwili — choć tych bym chciał całych uchować! Gdzie się z nimi skryć? Jak głowy ich osłonić? Chwostek na mnie zawzięty...

Wiesz, wstawszy z ławy, przybliżył się do niego.

— Bracie — rzekł — czas nam myśleć o sobie... Siądź i radź.

Przybył w ten sposób jeszcze jeden do szczupłego gronka, które się na wiec zgadzało²⁵¹.

Do późnej nocy karmili się żalami i szeptali między sobą. Nazajutrz rano Doman i Wiesz opuścili zagrodę Piastunową. Chociaż ludzi swoich zostawił stary u sąsiada, nadto mu pilno było powracać do domu, by nakładał dla nich drogi. W lesie rozstali się z Domanem i Wiesz znanymi krótszymi przesmykami w puszczy puścił się wprost do swej zagrody. Drugiego dnia nad wieczór był już u wrót, a psy, radośnie skomląc, witać pana wybiegły. W chacie świeciło jeszcze, stara Jaga, drzemiąc, z kądzielą siedziała przy łuczywie. Pokłoniła się mężowi do kolan, wedle obyczaju, Wiesz na ławie siadł się rozzuwać, pytając o dom i chudobę. Nadszedł zbudzony syn starszy i opowiadał, co się pod niebytność ojca doma robiło i trafiło. Wilk porwał był owcę, a nie zdołano go zabić, choć pastwę mu odebrano. Była to wina pastuszków, którzy się oba pospali.

Stary spokojnie wysłuchał syna, a gdy już chciał odchodzić, dał mu znak, aby się zatrzymał. Jaga z kądzielą wyniosła się do komory.

— Ludek — rzekł Wiesz po cichu do syna — postanowiono między nami, aby wici wysłać po mirze i na wiec zwołać starszyznę, na dzień przed Kupalą, w horodyszczu na Żmijowym uroczysku. Ślij ty, jedź sam... Czyń, jak chcesz, dając wolę, ale pośpiechu trzeba.

— Pojadę sam — rzekł syn — woła wasza... Kogo mam ślać, komu zawierzyć? Najlepiej sobie.

²⁵¹zgadzać się — tu: umawiać się. [przypis edytorski]

Lecz głowę spuścił smutnie. Stary popatrzył nań i zadumał się także.

— Co będzie, to będzie, jechać trzeba i zieloną wic nieść od dworu do dworu.

Krótką, ponurą rozmowę tajemniczą na tym się skończyła.

Nazajutrz, gdy się Wisz przebudził, już syna w domu nie było.

Dni kilka upłynęło bez wieści, a życie zwykłym się trybem ciągnęło; w głębi tych lasów rzadki był gość i przechodzień. Wisz po dniu upalnym spoczywał za zagrodą pod dębami, leżąc na ziemi, psy mając przy sobie, gdy jeden z nich, podniósłszy się nagle, skoczył w stronę rzeki i wietrzyć coś począł niespokojny. Zwierza albo obcego człowieka pewnie by inaczej witał; zdumiał się stary, widząc, jak psisko radośnie ogonem kręciło, jak gdyby znajomego czuło w pobliżu. Nikogo jednak widać jeszcze nie było. Zabiegłszy w łoży, podwórzowy kilka razy szczeknął radośnie, jakby się łącił do kogo. Wisz podniósł się z ziemi, spojrział i zobaczył ostrożnie gałęzie rozgarniającego tego, kogo się najmniej spodziewał, Sambora. Stał w zaroślach chłopak, jakby zbliżyć się nie śmiejąc, dopiero starego gospodarza ujrawszy, szybko począł podchodzić ku niemu.

Chmurnie brwi ściągawszy, czekał nań Wisz.

— A tyż tu skąd? Jak? Jakże wyrwałeś się z grodu? — zawołał, gdy Sambor już mu do nóg przypadał.

— Musiałem, choćby życie ważyć — rzekł przybyły. — Musiałem przybyć z oznajmieniem... Nie chciałem, aby niespodzianie spadło nieszczęście na dwór wasz...

— Nieszczęście? Co? — zapytał stary.

— Już trzy dni temu, jak kneziowi doniesiono: Wisz objeżdża kmieci i na wiec ich zwołuje.

— Kto doniósł?

— Smerda z tym powrócił z łowów — odezwał się Sambor. — Chwostek się uniósł gniewem wielkim, zaklął, że każe wasz dwór w perzynę obrócić, a was, ojciec mój, na pierwszym obwiesić drzewie. Na was ma się wyrzucić cała złość jego... Ludziom i koniom kazano się sposobić... Słyszałem, gdy dawano te rozkazy, rzuciłem się co tchu wpław przez jezioro, aby wam oznajmić o tym. Dziś, jutro... Każdej chwili tu być mogą.

Wisz stał, nie pokazując po sobie ani strachu, ni wątpienia; myślał, co ma począć. Dwoje było tylko do wyboru: albo się bronić na zagrodzie, zwoławszy ludzi, którzy na ziemi jego siedzieli, lub z duszami i dobytkiem ciągnąć w lasy. Ostatnie niełatwe było, człowiek sam mógł się ukryć od pogoni, trzody, kędy przeszły, zdradzały się i pójść w ślad za nimi mogła drużyna kneziowska. W lesie, choćby za zasiekami, tak się bronić było ciężko jak w zagrodzie. Na łaskę Chwostkowi się zdać... Śmierć czekała i niewola. Stary nie lękał się o siebie, dawno mu było już tęskno do mogiły, do ojców... Obawiał się i troszczył o córki i syny. Milcząc, dał znak Samborowi, aby szedł za nim, i powlókł się ku zagrodzie. W drodze po kilkakroć stanął i zadumał się, opuściwszy głowę.

Doszli do wrót, gdy w nich spotkał się Wisz ze starszym synem, co wici wozził i właśnie z powrotem przybywał. Jego też już na drodze doszła była wieść o tym, co się na grodzie u Gopła przysposabiało, zdał więc wici innemu i do ojca pośpieszył. Przytomność²⁵² Sambora uwalniała go od przynoszenia złej wieści.

— Dziś tu jeszcze nie będą pewnie — odezwał się stary do swoich. — Jest czas przez noc myśleć, co z sobą czynić i do świtu się przysposobić. Zwołać parobków, zatrąbić na pastuchy... Sambor skoczy po ludzi na Rybaki i Bondarze... Kto oszczep dźwignie, niech przybywa. Żagiew zapaloną miasto wici wziąć... I żywo.

Zamiast strachu Wisz zdawał się pokrzepiony tą myślą, że jeszcze walczyć będzie i do otwartej stanie bójki. Parobcy i synowie, kto żył, rwali się do broni, biegnąc po osadników.

Niewiasty wszystkie wyszły z szop i chałupy, zawodząc żałośnie, ręce łamiąc i płacząc. Strach je ogarniał. Jęki te Wiszowi serce miękczyły, nakazał milczenie, uchłó wszystko... Dziwa stała na przedzie z Jagą.

— Wy w las z dziećmi! — zawołał stary. — Tu nie jesteście potrzebne. W las ich prowadź, Dziwa. Wróćcie, gdy albo umarłych grzebać lub pokaleczonych obwiązywać będzie trzeba.

Znikły posłuszne niewiasty.

W całym obejściu ruch powstał ogromny. Stary sam przewodził.

Pies

Niebezpieczeństwo

Walka, Kobieta, Męczyzna

²⁵²przytomność (daw.) — obecność. [przypis edytorski]

W chacie Dziwa, najprzytomniejsza ze wszystkich, resztą niewiast rozrządzała; żywność zbierano, gotując się do drogi.

W tę stronę, od której napaść musiała przybywać, wyprawiono małego chłopca na podjezdku²⁵³, aby dawał znać przodem, gdy o drużynie kneziowskiej zasłyszysz.

Noc wśród tych przygotowań nadchodziła szybko, a nawet do ziemi ucho przyłożysz, najmniejszego tętentu słychać nie było. Tymczasem spodziewano się ludzi z Rybaków i osad na posiłek.

Dziwa z całym obozem niewieścim, z dziećmi i sługami, gotową była w las ruszyć na pierwsze skinienie i wieść o niebezpieczeństwie.

Nikt tej nocy o śnie nie pomyślał, psy były niespokojne. Na próżno starano się je uciszyć, przypadały na chwilę i wnet na nowo żałobne to zawodzenie, które za złą wróżbę uważano, rozpoczynały.

Nad rankiem gromadka parobków ściągnęła z osad nad rzeką i z lasu lud zdziczały i nędzny, niewyglądający wojowniczo.

Dzień robić się zaczynał, gdy chłopak wysłany na czaty, konia co tchu pędząc, nadbiegł, wołając:

— Jada! Jada!

Zsunąwszy się z konia, padł, dysząc, na ziemię. W zagrodzie ruszyło się wszystko, stary swoich ludzi rozstawił tak, aby ich widać nie było ani przygotowań do obrony.

Chata, widziana z dala, przybrała pozór swój codzienny, ale parobcy ukryci za tynami, po szopach, na ziemi leżący, gotowi byli skoczyć na pierwsze pana skinienie.

Stary, żadnej broni nie wziąwszy, bosy, w koszuli i na ramiona tylko narzuconej siermiędze, z odkrytą głową u wrót stanął.

Z dala już coś tętnić zaczynało, rozeznac było można jadącą liczną konną gromadę, a wkrótce głosy, śmiechy jej i nawoływania.

Około zagrody cisza panowała, bocian tylko klekotał, na gnieździe gospodarząc, jakby i on chciał oznajmić o jakimś niebezpieczeństwie.

Nagle z zarośli ukazała się czapka Smerdy i dzidy kilku jezdnych, tuż za nim. Spodziewali się znać zastać zagrodę nieprzygotowaną i byli bardzo wesołej myśli.

IX

Smerda z dala już starca zobaczył, odwrócił się do swoich, dał im znak, drużyna się rozstąpiła, rozbiegła i poczęła zagrodę otaczać ze wszystkich stron, jakby się obawiała, aby z niej się kto ucieczką nie ratował.

Dowodzący samoczwart²⁵⁴ podjechał bliżej, bezpiecznie, nie spodziewając się wcale, by tu nań oczekiwano... Sambora ucieczka nie została dostrzeżona.

Wisz ciągle stał we wrotach z głową podniesioną, oczekując bez trwogi zaczepki. Zdawał się bezbronny, co Smerdę też ośmielało.

Drwiąco począł się uśmiechać kneziowski sługa, patrząc na niego.

— A ja znowu do was w gości! — zawołał z dala. — Toście mi być powinni radzi...

— Jam zawsze gościom rad — odparł Wisz spokojnie.

— Kneź wam pokłon śle i do siebie prosi, na koźle udo, na miodu czaszę, na drużbę²⁵⁵ i rozmowę — szyderczo ciągnął dalej Smerda. — A żeby prędzej was mieć, aż mnie po was przysyła...

Wisz zmilczał trochę.

— Nie byłbym od tego, aby mu się pokłonić — rzekł z wolna — alem ja stary, a on młodszy. Ja pan u siebie, on na grodzie... Jeśli co do mnie ma, posłów znajdzie...

Smerda, konno podjeżdżając coraz bliżej, mruczał:

— Milcz, ty stary zuchwalcze! Ty niepocziwy, nieposłuszny — zakrzyczał nagle. — Ja tu na ciebie sąd wiozę i powrozy! Tyś to wiecie śmiać zwoływać!

— Ano... Ja! — rzekł Wisz spokojnie. — Ja... Każdy z nas starszyzn po mirach ma do tego prawo. Tak z wieków bywało i tak będzie, póki nas stanie.

Podstęp, Pozory

Walka

²⁵³podjezdek — młody, dopiero ujeżdżany koń. [przypis edytorski]

²⁵⁴samoczwart — sam z trzema towarzyszami (razem we czterech). [przypis edytorski]

²⁵⁵drużba — przyjaźń. [przypis edytorski]

— Nauczmy my was wieców — zawrzeszczał Smerda i stanąwszy tuż przy starcu, ręką się zamierzył na niego; stary z wolna ustąpił.

— Jedliście chleb pod moim dachem — rzekł — nie życzę wam zła... Ustąpcie, proszę, precz... I powiedzcie kneziowi, że wiec się zbierze, choćby mnie między żywymi nie było.

Domawiał tych wyrazów, gdy Smerda na swoich zakrzyknął i gromadą całą rzucili się na nieustraszonego starca, który teraz dopiero miecza dobył spod poły. Zza płotów, tynów, ścian, wszystek jego lud, synowie, czeladź, wyrwała się z ogromnym wrzaskiem, napinając łuki i zamachując procami. Ale Wisz ten zapęd skinieniem ręki powstrzymał.

Kneziowscy ludzie, niespodzianym ukazaniem się obrońców trochę przerażeni, w tył się cofnęli.

— Będziemy się bronili! — zawołał stary. — Idźcie, jeśli nie chcecie, aby się tu krew polała... A tobie — rzekł, zwracając się z gniewem do Smerdy — tobież to przystało napadać na swoich i służyć obcym! Ty, niewolniku podły!

Smerdzie twarz cała krwią zapłonęła, targnął się i swoich, co stali opodał, zaczął bezcześcić.

— Bij a morduj! — krzyknął.

Strzały poleciały z obu stron.

Parobcy Wiszowi, którym pilno było wziąć się za bary z napastnikami, poczęli się cisnąć i przeć do wrót, do których z drugiej Smerda się dobijał ze swoimi.

Stary Wisz pozostał w pośrodku tej kupy, cofnąć się nie mogąc. Płot i wrota trzeszczały od nacisku, łamiąc się kawałami.

Starszy syn gospodarza, Ludek, zasłaniając ojca, ciał po łbie Smerdę i czapkę mu rozplatawszy, głowę rozkrwawił, ale razem prawie dzida, którą kneziowski sługa w ręku trzymał, utkwiała w piersi starego Wisza... Koszula jego zaczerwieniła się krwią, która buchnęła z rany. Stary ręką drżącą pochwycił pocisk, tkwiący już w nim, i zdruzgotał go jeszcze... Ale żelźce i kawał drzewa zostało w ranie. Wisz poślonił się z krzykiem i padł na ręce syna.

Na widok trupa tego, gdyż stary z jękiem wyzionął ducha, wszystko, co żyło, rzuciło się jak wściekle na ludzi grodowych. Walka rozpoczęła się, nie na łuki i proce, ale na pięści i zęby, chwyтали się za barki i walili o ziemię.

Z tyłów wdarli się na ten hałas ci, co zagrodę obstawiać mieli, i wmieszały się niespodzianie, popłoch rzucając chwilowy na gromadkę obrońców.

Trwoga trwała tylko chwilę, zwrócili się stojący w podwórzu ku napastnikom i zwarli, drudzy, u wrót z zaciętością walcząc na swoich śmieciach, odpierali kupkę Smerdowych ludzi. Widok leżących na ziemi we krwi zwłok starego Wisza zajądłość powiększał.

Liczba z obu stron prawie równa była... Za starca, który padł, kilku Smerdzie zabito, sam on ranny, gdy mu oczy krwią zapływały, ustąpić musiał i począł wołać na swoich, aby się cofali.

Co pozostało grodowych pacholców, wyparło się z podwórza, kupiąc²⁵⁶ około dowódcy i z nim razem ustępując ku brzegowi rzeki. Wiszowi²⁵⁷ dali im odejść, zostając przy obronionej zagrodzie, ścigając ich tylko łajaniem i krzykami.

Obie strony dosyć miały tej walki krwawej.

Znad brzegu rzeczki podnosiły się tylko głosy i wrzawa, której od wrót odpowiadano.

— Psie syny! Niewolniki! Raby!

— Gady! Żmije!

Podobnymi wyrazy ciskano na siebie z obu stron długo, grożąc z jednej pięściami, z drugiej oszczepy podnosząc w górę.

— Chodźcie tu! — wołali jedni.

— Zbliźcie się — odpowiadali drudzy.

Tymczasem w krzakach nad rzeką Smerdzie obmywano i obwiązywano głowę, a synowie, ciało ojca podniósłszy, nieśli je złożyć w izbie na posłaniu... Nieśli i płakali a krzyczeli...

Nikt walki na nowo rozpoczynać nie myślał. Głosy ucichały powoli.

Śmierć, Trup, Zemsta

²⁵⁶kupić się — skupiać się, gromadzić się. [przypis edytorski]

²⁵⁷Wiszowi — ludzie Wisza. [przypis edytorski]

Widoczne było, że Smerda ze swoimi ustąpi i zaniecha dalszej napaści. W istocie Smerdzie dostateczne się zdawało, że winowajca zginął, a ani on, ani ludzie jego nie chcieli życia stawic²⁵⁸, nie czując się silniejszymi.

Pokładli się tylko nieopodal od wrót obozem z końmi i pozostali, grożąc, do wieczora. Musiano też naprzeciw nich straż postawić, aby się nocą niespodzianie nie rzucili, bo im jeszcze nie dowierzano. Gdy mrok zapadł zupełny, ucichło nad rzeczką, jak gdyby po walce się wylegiwali.

Chłopak, na brzuchu podpełznąwszy, dojrzał dopiero nierychło, że, korzystając z ciemności, kneziowscy ludzie w bród przebyli wodę i drugim brzegiem znać nazad po cichu odciągnęli do grodu.

Rozstawiwszy więc czaty, mogli już wszyscy spocząć. Drogo to był kupiony odpoczynek.

W świetlicy na posłaniu swym leżał trup starca bladej, ręką jeszcze ściśniętą trzymając złamane drzewce, które tkwiło mu w piersi, zastygłą krwią czarną oblanej. Łuczywo paliło się na ognisku, dwaj synowie siedzieli i płakali. Nie było nawet komu o pogrzebie pomyśleć, bo niewiasty wszystkie jeszcze były w lesie.

Dano im znać, pobiegł Sambor, hukając w umówiony sposób, lecz nim mu na głos jego odpowiedziano, nim nadeszły żona, córki, synowe, sługi i wnuki, noc już była w polowie.

Wśród ciszy lasów, z dala ten pochód żałobny słyszeć było.

Szły, płacząc, rycząc, śpiewając, zawodząc, włosy rwąc z głowy, a puszcza jękiem rozlegała się daleko.

Przodem szła stara Jaga, siwe włosy rozpuściwszy na ramiona, z rękami załamanymi, z zamkniętymi powiekami²⁵⁹. Pod ręce wiodły ją córki, zrzuciwszy z głów wianki, rozplótłszy kosy, podarłszy odzież na sobie. Tylko Dziwa szła milcząca i jakby martwa.

Lament ten, płacz i razem pieśń jękliwa, wszystkich przejął smutkiem i grozą... Mężczyźni wtórowali. Otworzyły się drzwi i cały ten orszak niewieści wtoczył się jak pijany rozpaczą, biegnąc aż do zwłok starca. Tu popadały na ziemię wszystkie i tarzać się zaczęły.

Ogień przygasł był na kamieniach, przyrzucono pęk łuczywa i w blasku jego przedstawiał się obraz ten tak straszno, tak boleśnie, że ci, co już płakali dzień cały, na nowo ryczeć poczęli.

W podwórzu wyły psy, w szopach strwożone odzywało się bydło i konie rżały. Narzeczona Dziwa z ziemi wstała. Stara Jaga ruszyła się za nią, płaczki tylko zostały na ziemi, zawodząc i śpiewając pieśni... Matka i córka szły zmarłego do mogiły odziewać.

Żalnik i zgłiszczą dosyć były oddalone, na polance piaszczystej znajdowały się w lesie. Poszli więc parobcy drzewo przysposobić na stos, kamienie gotować do grobu, bo ciała nie chciano długo trzymać niespalonym, ażeby duch mógł prędzej wlecieć do ojców i braci.

Noc to była znowu bezsenna i łzawa... Nad rankiem już stary Wisz siedział na ławie, podparty tak, aby się żywym niemal mógł zdawać jeszcze. Najlepszą odzież nań włożono, najpiękniejszą broń przypasano do pasa, czapkę z kitą miał na głowie, łuk na plecach, procę, kamienny topór ojców i dłut z krzemienia.

Siwy koń, na którym ostatnią podróż odbywał, stał, przeznaczony, aby z nim spłonął na stosie.

U nóg nieboszczyka, na ziemi, siedziała Jaga z głową spuszczoną, ubrana w najpiękniejsze swe suknie, w sznurach bursztynu i świecących naramiennikach; siedziała i jęczała po cichu...

Dalej płaczki z rozrzuconymi włosy, bijąc w dłonie, drapiąc twarze i piersi, śpiewały pieśni rzewne... W głębi synowie stali na rękach podparci, łzy ocierając po cichu.

— Odszedłeś od nas — wołały płaczki — nie ma cię, panie... Osierociłeś nas biednych... Poszedłeś, panie, do ojców twoich, do duchów jasných, wojować z czarnymi duchy... Wszystkoś na ziemi miał, czego dusza zapagnie... Ziemie rozległe, zwierza dostatek, trzody bez liku, zboża zasieki, ulów tysiące, chleb i miód białe... I miłość miałeś u ludzi... Żonę ci wierną, dzieci posłuszne, czeladź pokorną i konie ręczne... Rzuciłeś wszystko... I nas... I dzieci... I nigdy do nas nie wrócisz... Patrz na sieroty, włosy rwą z głowy, słyszysz ich jęki... Otwórz powieki. Wiszu, wojaku niezwyknięty, wróg na

Żaloba, Rozpacz, Łzy

Koń, Obyczaje

Śmierć, Zemsta

²⁵⁸stawić — tu: postawić, zaryzykować. [przypis edytorski]

²⁵⁹powieki — dziś popr. forma N.lm: powiekami. [przypis edytorski]

cię napadł zdradliwie... Krew twa pomszczona, zemsta niesyta, z twojego rodu pójdzie ostatni mścić ją, dopóki stanie zabójców plemienia...

Śpiewy te żałobne powtarzały się bez końca. Dzień już był, gdy dano znać od lasu, że na zgłiszczu stos był gotowy. Sąsiadom parobcy znać dali, prosząc na chleb żałobny.

Cały pochód ruszył z zagrody. Czterej parobcy nieśli siedzące zmarłego ciało, za nimi wiedziono konia, prowadzono psy, niesiono broń i szaty. Płaczki kołem otaczały zwłoki, pieśni ciągle zawodząc nowe i przeraźliwe wydając jęki. Za nimi szedł guślarz Słowan ze spuszczoną głową i Jaga, którą wiodły córki pod rękę; cała ludność aż do dzieci wysypała się ze dworu, który pustką otwartą pozostał.

Do zgłiszcza trzeba się było przez las przedzierać, leżało bowiem na wzgórzu nim otoczonym, wśród gęstego boru, który doń obcym bronił przystępu. Miejsce było piaszczyste, gdzieniegdzie dziewannami i piołunem bladym porośłe. Trochę trawy wyschłej zieleniało wśród kamieni starych, których rzędy oznaczały dawne mogiły.

U wnijścia, na ubitym tokowisku, wznosił się ogromny, szeroki stos z bierwion²⁶⁰ sosnowych, który cztery grube pale wbite po rogach utrzymywały. Niedaleko od niego widać było przygotowane popielnice²⁶¹, garnki, miski i drobne gliniane naczynie, w którym popioły i ofiara obietna²⁶² mieścić się miała; chleby, kołaczki, mięsiwa, piwo i miód, na tryznę²⁶³ przygotowane. Piękne słońce majowe i niebo jasne dodawały uroczystemu obrzędowi powagi i spokoju, jak gdyby duchy dobre cieszyły się przyjęciem starego kmiecia.

Niewiasty wszystkie kołem otaczały Jagę milczącą, ubraną jak na weselne gody i po kolei całując dzieci swoje, jakby je na wieki żegnała. Nie mówiła nic — ale wszyscy czuli i wiedzieli, że na stos pójdzie za towarzyszem życia i pozostać sama, osierocona, nie zechce na ziemi.

Wśród jęków płaczek wniesiono na stos ciało, umieszczając je w pośrodku, przy nim składano z kolei wszystko, czego potrzebował za życia do pracy i łowów. Kłody sosnowe, poukładane jedno na drugim, wiodły jakby wschodami do góry, gdzie Wisza trup stał, otoczony orężem i odzieżą...

Jeszcze go przymocowywano, gdy Jaga, pocałowawszy w głowę Dziwę, krokiem powolnym ruszyła do stosu. Przypadli do niej synowie powstrzymując, ale ich odtrąciła z lekka, przystąpiły córki jeszcze, dała im znak, aby uszły z drogi, rzuciły się z płaczem wnuczki, wołając na nią, wskazała matkom, aby je wzięły na ręce... Szła tak aż do stosu, stanęła chwilę, popatrzyła na stojących, na biały świat szeroki i śmielszym krokiem wstępować zaczęła po drzewach, coraz wyżej, na szczyt sam, aż tu padła u stóp męża i objąwszy nogi jego rękami, nieruchomie przy nich została...

Jęk płaczek wznosił się coraz przeraźliwszy. Przyprowadzono siwego i na stosie uwiązano go u słupa, skrępowawszy mu nogi. Przy nim postawiono psy ulubione... Płaczki zaczęły obiegać stos dokoła, jakby w szalonych skokach miotając się i krzycząc. Nareszcie po czterech rogach ogromne kupy łuczyny smolnej, której pod spodem i po bokach nagromadzono niemało, zażegnęto razem. Podpalone zaledwie, zajęły się nagle, szybko, płomieniem jasnym i w mgnieniu oka drzewo przepojone smołą stanęło jednym ogniskiem ogromnym. Dym i płomień zakryły zwłoki.

Jęki zmieniły się w krzyk rozpaczliwy, dym wił się kłębamii sinymi dokoła, obejmując stos z boków, od spodu i buchając spomiędzy kłód, około których się obwijał. Niekiedy mignęły tylko jeszcze siedzące zwłoki i u nóg ich leżąca niewiasta, to koń, który się rwał, na próżno siłąc się uwolnić... Ogień z chciwością stos pożerał... A na chwilę wiatrem lekkim przytłumiony, powracał z podwojoną zajądłością po swą pastwę, wciskając się wszędzie, sycząc, pryskając i zdając chłonać stos sobie przeznaczony jak wygłodzona jakaś istota... Łuczyna już przezeń zjedzone opadły czarnymi drzazgami, grube kłody paliły się całe, rubinowymi okrywając się węglami. Wiatr, jakby umyślnie zesłany, zrazu lekki, wzmagął się i podlegał jeszcze ten pożar, na który wszyscy patrzali z uroczystym przejęciem i trwogą. Zdawało się im, że ujrzą ze stosu ducha ulatującego w górę.

Pogrzeb, Obyczaje, Obrzędy

Żona, Mąż, Obyczaje,
Śmierć, Ofiara

Trup

Ofiara

Koń, Pies, Zwierzęta,
Obyczaje, Okrucieństwo,
Ogień

Ogień, Ciało, Dusza

²⁶⁰bierwiono — kłoda drewna. [przypis edytorski]

²⁶¹popielnica — naczynie gliniane przeznaczone na popioły ze stosu pogrzebowego; urna. [przypis edytorski]

²⁶²ofiara obietna — obiata; u daw. Słowan ofiara składana na cześć bogów. [przypis edytorski]

²⁶³tryzna — stypa starosłowiańska. [przypis edytorski]

Była też to chwila, w której odganiać należało złe siły, czarne bogi, i czterech parobków na koniach, z dzidami w rękach poczęło szybko obiegać stos dookoła, z wrzaskiem wywijając nimi... Wtórowali im wszyscy przytomni²⁶⁴, bijąc w dłonie, podnosząc ręce, w górę podrzucając oszczepy.

Stos płonął ciągle. Zza kłębow dymu, zza jasnych płomieni widać jeszcze było szerniałe zwłoki i u stóp ich wyciągniętego trupa, na którym bielizna płonęła; to znowu osłaniały je dym i ogień wybuchające od dołu, aż bale u dołu kruszyć się, łamać i opadać zaczęły. Oba ciała osunęły się w ognistą, żarzącą głębię i znikły... Stos stał rozżarzony, jak jedno płomień²⁶⁵ ogromne, w którym tylko sterczące pale rozeznac było można. Pieśni ucichły... Duchy wleczały. Dzieci rzuciły jeszcze w płomienie, co które miało najdroższego, co ojcu na drugim świecie służyć mogło... Oręże, kawałki kruszcu, kamienie...

Tymczasem służebne napełniały misy, niecki i garnki strawą i obiatami dla żywych i umarłych, grobową dla duchów ofiar.

Zarzewie na zgliszczu, coraz się zmniejszając, z wielkiego stosu stało się małym ogniskiem, kupą węgla czarnych i popiołu. Zsuwano głównie, aby dogorywały, czekając, aż ogień święty sam przygaśnie...

Słońce już zapadało, gdy nareszcie dogorzały reszty, a zgliszczu wodą przyniesioną ze świętego źródła z wolna zalewać zaczęto.

Natenczas przystąpiły niewiasty, niosąc popielnicę glinianą, aby w nią zgarnąć niedogorzałe²⁶⁶ resztki kości, węgla i wszystkiego, co razem ze zmarłym przez ogień zniszczone poszło z nim na świat drugi. Aż do najdrobniejszych szczątków i prószyn²⁶⁷ zmieciono węgle, popioły, okruszyny, niedogorzałe kostki, niedopalone sprzętów obłamki.

I ruszył znowu orszak żałobny, niewiasty, mężczyźni, dzieci, niosąc popielnicę, garnuszki i ofiarne miski ku miejscu, gdzie miano sypać mogiłę, obok Wisza ojców i braci. W pośrodku z urną stanęły zebrane szczątki, dookoła przy niej miski ofiarne. Popielnicę pokryto wiekiem. Dzieci cisnęły się, aby każde mogło swą drobną pomieścić dań na grobie... Wśród nowych zawodzeń i pieśni zaczęto sypać ziemię na mogiłę z pośpiechem...

Niewiasty siedziały kołem, zawodziły i płakały, lecz pieśni już płynęły spokojniejsze — duch uleciał... Noc zapadła, gdy się pagórek żółty wzniosł nad popiołami Wisza...

Na żalniku zapalono stosy łuczywa i rozpoczęto ucztę żałobną.

Ludzi zgromadziło się wiele z okolicy, ugaszczano wszystkich, do wszystkich przepijano... Stały otwarte kadzie z piwem i miodem, którym się krzepili znużeni i pragnienie gasili pracujący u mogiły. Około mis i niecek z mięsivem siedziały kupy gości, oddzielnie mężowie, osobno i z dala niewiasty.

Wtem gęśla zabręczała i cisza nastała wielka, gałęzmi tylko w lesie wiatr szumiał z dala... Słowa dobywał z piersi głosu:

— Pusty w lesie dwór twój stoi, dzieci twe ojca nie mają... Poszedłeś stary do swoich, na miód biały i biesiadę... Stary woju... Woju stary... Włosy miałeś jak śnieg białe, ale młode jeszcze dłonie... Któż policzy, kto wyśpiewa, coś ty zostawił na ziemi... Ile z rąk twych padło zwierza, ileś rojów wypiastrował, ile wrogów ty zabiłeś, iluś nakarmił ubogich... Wiszu stary, Zboja synu, już nie wrócić ci do świata... Ziemiąśmy ci przysypali, popioł twój łzami poleli; poszła z tobą żona wierna, koń twój miły, róg twój głośny... Wiszu stary, Zboja synu, nie powracaj ci na ziemię... A po jasnym latać niebie... Młotem Niemców zbijać duchy... Stos ci wielki zapalili, obiady ci nie skąpili... O Łado²⁶⁸! Łado! Łado!

Za starym wszyscy wołali: „Łado!”. I rozległo się wołanie po zgliszczu, żalniku i lesie.

Ludek też zawodził, pół śpiewając, pół mówiąc, pół płacząc, a kubek z miodem trzymając w ręku:

— Ojciec dobry... Wiszu panie, za krew twoją mścić się będziem. Krew za krew muszą dać, życie muszą dać za życie! Krew za krew!

Cała męska rodzina zmarłego krzyknęła jednym głosem, ręce podnosząc do góry:

²⁶⁴przytomny (daw.) — obecny. [przypis edytorski]

²⁶⁵płomień — daw. forma w r.n.; dziś r.m.: płomięń. [przypis edytorski]

²⁶⁶niedogorzały — niedopalony; por. gorzeć: płonąć. [przypis edytorski]

²⁶⁷prószyna — kruszyna, okrusz. [przypis edytorski]

²⁶⁸Łado — w mitologii słowiańskiej bogini miłości, płodności, wiosny i wegetacji, a także zgody (tj. ładu; stąd nazwa); u Jana Długosza miała być boginią wojny, odpowiadającą Marsowi w mit. rzym. [przypis edytorski]

Pogrzeb, Uczta, Obyczaje

Śmierć, Zemsta, Krew

— Krew za krew!

Za Ludkiem stał przybyły Doman i podniósłszy też kubek w górę, głośnie zawołał:

— Krew za krew!

Oczy wszystkich skierowały się ku niemu, stał smutny i on, jakby własnego ojca utracił... I począł też, wołając na pół pieśnią, pół słowem, pół płaczem:

— Stary Wisz niech się pocieszy! Stanie się, czego on żądał, spełni się co on przykazał... Idą wici, lecą wici... I starszyzna już zwołana... Strach na grodzie... Chwostek błady, niewolników swoich zbiera... Na wiec pójdziem, poniesiemy krwawą suknię i koszulę, przed starszyzną położymy... I o zemstę zawołamy...

Wtórowali mu niemal w każde słowo bliżej siedzący, pokrzykując i kubki podnosząc. Młodzież odgróźki²⁶⁹ i przekleństwa rzuciła coraz w stronę grodu, ku Gopłu zwracając twarze i ściśnione²⁷⁰ pięści.

W miarę jak kadzie się wypróżniały, gwar powiększał; starsi o zmarłym rozpoviadac zaczęli, jak on młody wiek spędził we znoju i boju, jak dokazywał w pierwszej życia połowie, jak swoich kochał, jak oni go kochali, jak gość dlań był świętym... Kubki krążyły, żal stawał się coraz gorętszym i zemsty pragnienie.

Niewiasty także, siedząc na uboczu, śpiewały cichym głosem...

I trwało to noc całą do dnia białego, i przeciągnęło dzień drugi i noc drugą, a nie skończyło aż trzeciego... Młodzież ciskała oszczepy, biegła na wyprzodki do celu pieszo i konno; rzuciła kamieniami, próbowała sił, borykając się z sobą, aż napoju się przebrało i znużenie wycieńczyło. Dopiero się wszyscy rozchodząc poczęli, mogiłę żegnając jeszcze a okładając ją gałęzmi zielonymi.

Doman ze swym dworem dotrwał do końca, a gdy bracia zgłiszcze i żalnik opuszczać mieli, poszedł z nimi, przeprowadzając ich ku zagrodzie.

Na pół drogi zatrzymał braci.

— Słuchaj, Ludek — rzekł — albo to pora, albo nie, mówić o takiej sprawie... A ja chcę z serca zrzucić, co na nim mam... Siądźmy i gadajmy.

Posiadali więc u dębu, a Doman, braciom ręce podając, począł:

— Ja z wami... Ja wam bratem chcę być, bądźcie wy mnie też.

— Zgoda! — odparł Ludek, który po ojcu odziedziczył ten sam umysł spokojny i męstwo, jakie miał stary; nie mówił łatwo ni wiele, ale co rzekł, to strzymał, choćby krwią przyszło polewać.

— Co myślicie poczynać? Ojca trzeba pomścić... Nie może inaczej być. Smerda go zabił... Smerdę zabić mała rzecz, ale on to nie swoją uczynił wolę... Co myślicie poczynać?

— Dobrzeście wprzód rzekli — odparł po namyśle Ludek. — Zaniesiemy na wiec krwawą suknię i koszulę, położym ją przed starszyzną i rzeczymy: „Zginął Wisz za was, za wiec, niech wiec stanowi o pomście za krew jego”.

Spojrzeli po sobie...

— Pewnie — odezwał się Doman — niech starszyzna wyrzecz, a nie będziecie mieli rąk, aby się upomnieć o krew, by darmo nie wsiąkla, ja wam moje ofiaruję...

Tu zawahał się nieco Doman i oczy mu zabłyśły, ale spuścił je wnet, jakby zawstydzony.

— Ja wam bratem być chcę... Bratem... — dodał.

— My tobie braćmi! — odezwali się obaj synowie Wisza i podawali sobie ręce znowu.

— Nie stało mi czasu starego Wisza prosić, będę wam mówił o tym... Siostrę waszą chcę wziąć...

Była chwila milczenia; obyczaj ówczesny, który po starszeństwie brać przykazywał, nie zostawiał wątpliwości, że mówił o Dziwie. Ludek zwiesił głowę.

— Domanie, bracie — rzekł. — Dziwa męża nie chce znać... Nienowa to rzecz, bogom się ślubowała... To nie jest niewiasta do dzieci, do kądzieli, do garnków, ale do ognia świętego, do źródła, do pieśni i wróżby... Żony z niej nie będziecie mieli... Dałbym ją wam z serca... A przeciw ślubowi bożemu jak mi stać?

Zamilkli znowu; Doman głowę zwiesił, brodę szarpał i mruczał.

Zemsta, Krew, Obyczaje

Brat, Siostra, Kobieta,
Mężczyzna, Małżeństwo,
Bóg, Obyczaje, Klótnia

²⁶⁹odgróźki — dziś: pogróżki; por. czas.: odgrażać się. [przypis edytorski]

²⁷⁰ściśnione — dziś: ściśnięty a. zaciśnięty. [przypis edytorski]

— O! — rzekł. — Niejednej się to dziewczę śni, a jak ją weźmie mąż, zapomni... Mnie się ona upodobała z urody i ze wszystkiego... Dostatek u mnie będzie mieć, kniehinia²⁷¹ ją uczynię, ptasiego mleka chyba zabraknie...

Ludek głową wciąż potrząsał.

— Co ja poradzę — rzekł. — Z bogami i duchami ja wojować nie chcę... A młodszą, gdybyście chcieli, dam chętnie. Nie brzydsza od niej, nie gorsza od niej... Ta, choćby i popłakała, weźmiecie ją...

Spojrzał na Domana. Ten, liść urwawszy, do ust sobie przylepił i gdzie indziej patrząc, milczał; wzgardzić nie chciał, a wziąć nie mógł... Aż gdy liść odpadł, rzekł powoli:

— Dziewce gdybyście kazali, musiałyby posłuchać, wy teraz panem jesteście we dworze, co każecie, musi być... Każdej z nich się roi bogom służyć i duchom, a czy przeto ich słuchać?

— Ja przykazać jej nie mogę — rzekł Ludek spokojnie.

Domanowi twarz się marszczyła i oczy pałały, a dyszał, jak gdyby się tylko co zmęczył.

— E! — zawołał. — Takie to braterstwo wasze! Dać mi jej nie chcecie, bo może od drugiego lepszego się okupu spodziewacie...

— Domanie, bracie, okupu nie potrzebuję... Prawdę mówię.

— Chcecie, bym wam bratem był, bym pomstę z wami wziął, siostrę mi dajcie — powtórzył Doman.

— Młodszą wam dam...

— Starszej chcę albo żadnej.

— Nie mogę! — odezwał się stanowczo Ludek.

Doman wstał z siedzenia, swoim obyczajem liść znowu urwał, na ustach go położył i kilka kroków odszedł.

— Ojciec wasz byłby mi ją dał — zawołał prawie gniewnie.

— Nigdy...

— Chcecie mnie mieć z wami i za wami? Stanę... Ale ją muszę mieć, a nie, to nie...

Ludkowi się brew namarszczyła i drgnął, niecierpliwie powtarzając:

— A nie, to nie!

— Więc nie! — wybuchnął porywczo Doman. — Wolicie we mnie mieć wroga niż brata?

— Kupić was nie mogę, obejść się muszę... — rzekł Ludek zimno.

Chłopak się rzucił w tył, cały drżąc z gniewu.

— Ludku, bracie! Źle czynicie, mówię wam! Dla dziewczki ojca w mogile pocieszyć nie chcecie utoczoną krwią... Hejże! Hej!

— Słowom rzekł — mruknął Ludek. — Nie mogę...

— Druhów wam teraz trzeba, a nieprzyjaciół sobie robicie! — szydersko²⁷² dodał Doman. — Rozumu nie macie...

Spojrzeni sobie w oczy, Ludek, hamując się, powtórzył raz jeszcze:

— Nie mogę...

Doman się zerwał już iść.

— Nie zechcecie dać po dobrej woli, to ją kiedyś wezmę siłą...

— A my siłą będziemy bronić...

— A no!

— A no!

Ostatnich słów domawiając, zaczęli się cofać od siebie, ciągle sobie patrząc w oczy. Rąk już sobie nie podawali. Młodszy brat stał milczący za Ludkiem, który dlań teraz ojca zastępował.

Doman kołpak nasunął gwałtownie na oczy i odszedł. Konie jego stały opodal nieco ku zgłiszczowi, milczący powłókł się do nich, zatętniło, odjechał...

Ludek stał jeszcze, czekając, czy się nie wróci; posłyszawszy tętent ruszył się i on.

W gąszczach słychać było, jak pędził w las i psy, za nim lecąc, ujadły.

²⁷¹ kniehini — księżna. [przypis edytorski]

²⁷² szydersko — dziś: szyderczo. [przypis edytorski]

Po drodze Ludek z bratem spotykali swoich, co się na zagrodę wlekli, podśpiewując. Tryzna i stypa więcej niż bój i walka znużyły... Szli smutni, zataczając się i przystając dla spoczynku...

Nazajutrz w zagrodzie życie powróciło do trybów powszednich; niewiasty stały u ogniska, Dziwa siedziała u krosien, sługi żarna obracały, gotowano strawę, krzątano się około stada, bocian klekotał na szopce, a sroki krzyczały, skacząc po płotach. Ruch był tym większy, że pogrzeb po sobie wszędzie ślady zostawił, a starej Jagi, co niewiastom przewodziła, nie było. Miejsce jej zajęła żona Ludkowa, tak jak mąż jej władzę nad gromadką po ojcu odziedziczył.

Wieczorem na przyzbie przed chatą siedziały dwie siostry, Dziwa i Żywia, wsparte głowy na ramionach swych, obejmując się rękami... Patrzyły gdzieś na lasy i dumaly, i nuciły... Ludek wyszedł od rzeki, ręce w tył założone trzymając, z głową na piersi spuszczoną. Zobaczywszy go przed sobą, dziewczęta wstały. Zatrzymał się przed nimi. Dziwa podeszła krok ku niemu.

— Po coś ty Domana oczarowała? — rzekł powoli.

— Ja? — rumieniąc się, zawołała dziewczyna. — I czarów nie znam, i Domana znać nie chcę...

— Braterstwo nam wypowiedział za ciebie... — mówił Ludek. — Chce cię mieć... Odgraża się nam...

— Jam bogom ślubowała — spokojnie mówiła Dziwa.

— Wie o tym... A znać nie chce...

— Cóżem ja winna?

Żywia, stojąca za siostrą, to na nią, to na brata ciekawymi rzucała oczyma. Milczeli...

— Ej! Dziwa — ozwał się Ludek — lepiej by było z nim żyć, brata mieć, niż wroga sobie napytać...

Potrząsała głową, dwie łzy popłynęły jej po twarzy, spojrzała na brata, uśmiechając się błagalnie.

— Nie siłujcie mnie — rzekła cicho. — Zostawcie Dziwę w pokoju. Będę wam w krosnach tkąć, będę pieśni śpiewać, wodę nosić ze źródła, w wianku chodzić zielonym...

I pokłoniła się do nóg brata, a Żywia, nic nie mówiąc, jakby za nią też błagała, pochyliła się, ściskając go za kolana.

Ludek głowę spuścił i odszedł milczący.

X

Żmijowe uroczysko leżało, otoczone borami dokoła, jakby zapomniane od wieków, żadna donia nie wiodła drożyną. Moczary i trzęsawiska ze trzech stron je otaczały prawie nieprzebyte. Z prawej tylko wąski klin ziemi twardszej przystęp do niego otwierał. Niegdyś, przed wieki, gdy narody, wędrując, pierwszy raz się osiedlały na nieznaną ziemi, tu być musiały pierwsze gromady obozowiska.

Tu się potem na pamięć²⁷³ ową zbierały starszyny dla narady. Horodyszcze opasane było niskim, wklęsłym już w ziemię wałem zielonym. W środku opuszczona dawno stała, z dachu prawie odarta, szopa, której słupy się chyliły w różne strony. W ścianach brakło opadłego i zgniętego na ziemi płotu. Oprócz tego szczątków budowli szerniałego na horodyszczu nie było nic, ani drzewa, ani kamienia, pokrywała go darń, skąpe zioła i stare kretowiny. Okolica jak miejsce była smutna. Jak sięgnąć okiem, widnokrąg opasywały lasy czarne. Z dała na prawo małe jezioro leżało, na pół trzcinami zarosłe, w lewo gdzieś ukazywała się z błota rzeczulka gniła²⁷⁴, płynąca trzęsawiskami nieprzebytymi. Płaczliwe głosy czajek głużyły śpiew leśnego ptactwa. Niespokojne, zwijały się tu nad niezliczonymi gniazdami swymi, jakby od nich nieprzyjaciela odpędzać chciały.

Tam, gdzie horodyszcze do lądu przypierało²⁷⁵, las stary stał na straży.

Był to przeddzień Kupały, na który wiec zwołano. Kmiecie i władyki wiedzieli już, jaki los spotkał Wisza za to, że pierwszy ich na wiec powołał. Śmierć jego nastraszyła wielu, rozjątrzyła innych i pobudziła jeszcze do narady dla ratunku.

²⁷³na pamięć — tu: na pamiątkę. [przypis edytorski]

²⁷⁴gniły — dziś: gnijący. [przypis edytorski]

²⁷⁵przypierać — tu: przylegać, dochodzić. [przypis edytorski]

Siostra, Brat, Mąż,
Dziewictwo, Ślub, Bóg

Na horodyszczu tylko od strony lasu dostać się było można, a kto na nie chciał iść, musiał pomijać dąb stary na drodze stojący, na pół spróchniały, z oschłymi konary, który równie jak uroczysko za poświęcony miano bogom czy duchom tej ziemi. Widać pod nim było mnóstwo płacht na wpół pogniłych, z którymi u stóp jego składano choroby.

Małeńkie źródelko, sączące się nieopodal, służyło chorym do obmycia się z choroby, płótno do otarcia. Rzucano je potem pod dębem w tej wierze, iż z nim szła precz choroba. Aby zdrowie odzyskać, duchom je trzeba było rzucić na pastwę. Stały tu i inne ofiary pleśnią okryte, przemokłe, liściem na pół zasypane, miseczki, dzbanuszki, ziarna bursztynu, kawałki sukna i sznurki powiązane w węzły jakieś tajemnicze.

U góry w dębim spróchniałym widać było dziuplę ogromną, jakby stworzoną na to, aby w niej pszczoły dzikie barci założyły. Lecz drzewo puste stało, wilgocią odstręczając, pszczoł w nim nie było. Dziupla stała próżna i czarnym swym otworem jak paszczą ziała jakoś dziwnie, straszno.

Dokoła korę obsiadły zielone mchy jak aksamit świecące, porosty żółte, nawet trawy blade, które się na przegniłych pasożytach czepiały.

Nie rozedniało jeszcze dobrze, gdy się szelest dał słyszeć w pobliskiej gęstwinie. Ostrożnie coś się pod dębem prześliznęło, przycupnęło, rozsluchiło i gdy wszystko milczało dokoła, z ziemi się podniósł człowiek mały, w szarej guni²⁷⁶, z głową okrągłą, postrzyżoną, z oczyma świecącymi, z usty szeroko rozciętymi, w których zęby małeńkie widniały. Obejrzał się raz jeszcze, posłuchał, rękami objął dąb, nogami się go uczepił i ze zręcznością dzikiego zwierzęcia począł się drapać ku górze. Niekiedy nastawiał ucha, to znów z pośpiechem wielkim lał ku dziupli, spoglądając ku niej niespokojnie. Był to Znosek.

Drapanie się, mimo chropawej dębu powierzchni, prędkie nie było.

Drzewo grube łatwo się objąć nie dawało, mchy go śliskim czyniły, parę razy osunął się człowieczek i ledwie paznokcie zapuściwszy w korę, utrzymać potrafił, ale wnet z nowym sił wytężeniem piał się znowu do góry.

Już prawie miał dosięgnąć otworu, gdy nagle jakiś szmer dał mu się słyszeć we wnętrzu.

Z dziupli ukazała się głowa szara z najeżonym włosiem, do kociej podobna, z oczyma żółtymi, z zębami białymi, z wąsami długimi; prychnęła groźnie, klapnęła szczękami i zwierz wprost rzucił się na głowę człowieka.

Coś zaskowyczało i jęknęło, zwierz i człowiek razem się stoczyli na ziemię w jeden kłębek zwinięci. Szary pustelnik z dziupli obejmował małego człowieczka, ręce Znoska cisnęły wduszone szyję napastnika. Widać już było płynącą krew — potem dwie pięści ludzkie schowały się we włosach zwierzęcia, ścisnęły gardło, otworzyła się skrwawiona paszczka, krwią zachodziły oczy żółte, które zbiegały i kołem stały... Ciało drgało jeszcze.

Znosek podniósł się z ziemi, ocierając krew; twarz miał pazurami podartą, głowę pokąsaną. Odetchnął, prychnął, plunął, po czasie skrwawionej powiódł dłonią i zduszonym, martwym już stworzeniem strzepnąwszy, uderzył parę razy o drzewo. Potem opasał się swoją zdobyczą i znowu spojrzął w górę, krew ciekącą ocierając rękawem. Pokaleczona głowa i dłonie nie wstrzymały go od nowego pokuszenia. Rozgrzany tą walką więcej niż osłabły, począł się znowu drapać do dziupli dębowej — niosąc z sobą zduszonego nieprzyjaciela. Chwycił w końcu za krawędź wypróchniałą, zapuścił w nią palce, dźwignął się całym ciałem i zawisł nad czarnym otworem, spoglądając w jego głębie, to ku lasowi, w którego gąszczach szelest jakiś słyszeć się dawał z daleka.

Po chwili spuścił się do dziupli i — zniknął, szelest tylko jakby liści suchych na dnie jej słyhać było; później głowa wysunęła się ponad skraje, dwie ręce obok niej oparły na brzegach, patrzył. Szerokie usta mięsiste otworzył, białe zęby świeciły jak u żbika. Syczał z bólu i śmiał się.

Z lasu coraz wyraźniej zbliżający się szmer słyhać było, a w dziupli szybkie skrobanie paznokciami, aż póki w spróchniałej korze nie przewierciły otworu, przez który oko bezpiecznie niepostrzeżone wyglądać mogło. Drugi otwór wydrapał obok niego i w nim zaświeciło oko drugie... Patrzyły teraz oba... Naprzeciw zza gałęzi widać było horodyszcz i drogę wiodącą ku niemu.

²⁷⁶*gunia* — kurta męska z wełnianego, samodzielnego sukna, ze stójką, spinana pod szyją ozdobnie, niekiedy haftowana; należy m. in. do tradycyjnego stroju górali podhalańskich. [przypis edytorski]

Skryty w dziupli, mógł stąd policzyć idących i dojrzeć twarzy każdego.

Właśnie w tę stronę źrenice chciwie wymierzył, gdy gałęzie łamać się poczęły i konno jadący mężczyzna, którego kilku innych otaczało, ukazał się w niewielkim oddaleniu. Jechał na siwym, spasyłym koniu z długą grzywą, okrytym skórą, zamyślony, koniowi dając iść powoli — z oczów, które przed się wlepił, znać było, iż patrzył, nie widząc. Postać była spokojna, poważna i piękna, człowiek już sędziwy z brodą długą, białą i włosami na ramionach powiewającymi. Na głowie miał kołpak z niedźwiedziej paszczęki, której białe zęby nad czołem mu sterczały. Zwierz zdawał się grozić każdemu, kto by się śmiał zbliżyć wrogo. W ręku trzymał na kiju pstro wyrobionym i jakby białą obwiedzionym wstęgą, obuszek kamienny, świecący, wyrobiony sztucznie²⁷⁷, który wiązanie z lyka plecione umocowywało. Od szyi obręcz miedziana z kilku kół złożony, spadał mu na piersi, i okrywał je jak zbroja. Jadący za nim w pewnym oddaleniu sługami być musieli, trzymali się, patrząc skinienia i rozkazu, tylko jeden młodzian, z głową podniesioną, u boku jego stał, a miał uzbrojenie do tamtego podobne.

Zbliżając się do dębu, starzec oczy zwrócił ku uroczysku i konia przytrzymał — widząc, że na nim pusto jeszcze było.

— Nikogo! — przebaknął.

— Nikogo! — powtórzył, pochylając się, drugi.

— Mieliz by się ulęknąć i nie przybyć? Możli to być? Ani ci nawet, co zwoływali? A ci pierwsi być powinni!

To mówiąc, z konia się zsunął stary.

— Wy z końmi — rzekł — stać tu w pobliżu, paść i czekać. Ty, Mroczek, ze mną pójdziesz... Uczyć się, jak radzili starzy. Słuchaj, patrz, służ i ucz się.

Młodszy posłusznie głowę skłonił.

Wtem z drugiej strony nadjechali konni, Doman samotrzeć z ludźmi swymi. I on, nie dojeżdżając do horodyszczu, konia słudze oddał, wskazawszy pastwisko, a sam ku staremu pośpieszył.

— Dniem wiecowym pozdrawiam was — odezwał się.

— Dniem wiecowym, bodaj szczęśliwym — odparł starzec. — Kędyż²⁷⁸ się Wisz dziewa?

Doman obie ręce podniósł ku górze i pokazał na obłoki.

— Spaliliśmy zwłoki jego, płaczki go oplakały... Z ojcami pije miód biały.

Starzec ręce załamał.

— Zmarł? — zapytał.

— Zabit jest — rzekł Doman. — Zabit przez ludzi kneziowych, którzy na dwór jego napadli.

Słuchający głowę opuścił, ale krótko trwało przerażenie, podniósł wejrzenie, w którym gniew się malował.

— Myślmyż i my o szyjach naszych — rzekł. — Co jemu wczoraj, nam jutro.

Gdy mówili, z dala już tętniało znowu, tętniało coraz silniej, cały las pełen się zdawał, ze wszech stron wytykały się głowy koni i głowy ludzi, gwar się wzmaczał, starszyzna kmiecia nadciągała. Dwoje oczów z dziupli patrzyło i dwoje uszów słuchać musiało, bo rozmowy pod samym dębem się toczyły.

Przybyli pozdrawiali się dniem wiecowym, ale twarzami smutnymi. Ze trzech, liczba ich rosła do dziesięciu, do pół kopy²⁷⁹... Do soroka²⁸⁰... Do setki. Wszyscy jeszcze stali poza horodyszczem, gdy Ludek, syn Wiszów²⁸¹, nadjechał.

Zsiadłszy z konia, przystąpił z pozdrowieniem do gromady i krwawą koszulę a siermięgę czarnymi plamami zbroszoną rzucił pomiędzy stojących, nie mówiąc słowa. Rękami tylko wskazał na nie. Oczy wszystkich zwróciły się na odzież zabitego, ręce zadrgały, czoła się pofałdowały.

Z pięściami zaciśniętymi otoczyli to lice²⁸² gwałtu.

²⁷⁷ *sztucznie* — tu: misternie; zgodnie z prawidłami odpowiedniej sztuki. [przypis edytorski]

²⁷⁸ *kędyż* — gdzież. [przypis edytorski]

²⁷⁹ *kopa* — daw. jednostka obrachunkowa wynosząca 60 sztuk (5 tuzinów). [przypis edytorski]

²⁸⁰ *sorok* (z ros.) — czterdzieści. [przypis edytorski]

²⁸¹ *Wiszów* — daw. forma D.; Wiszowy (należący do Wisza), Wisza. [przypis edytorski]

²⁸² *lice* (daw.) — twarz; tu: dowód. [przypis edytorski]

Później szmer przebiegł po gromadzie głuchy i urósł we wrzawę, wśród której rozeznac tylko było można nawoływania o pomstę krwawą. Gdy się to działo, Doman odstąpił precz i milczał. Zatem ruszyła się starszyzna i ciągnęli z wolna ku horodyszczu. Łudek z ziemi podniósł odzież ojca, zarzucił ją na ramiona i szedł za nimi. Tak uroczystym pochodem, na czele mając siwych, weszli na uroczysko i pod chwiejącą się szopę. Tu, nic nie mówiąc, każdy na ziemi zajął miejsce swoje, broń składając przed sobą.

Drudzy, opóźnieni, nadjeżdżali jeszcze. Szerokim kołem rozsiadła się rada, wsparli na rękach i dumali — wielu brakło. Innym z oczów patrzyło dziwnie, jakby, słowa jeszcze nie rzekłszy, już do sporu byli gotowi.

— Nie ma już tego, kto nas tu zwołał — odezwał się Boimir stary — ale duch jego mówi, po cośmy tu przybyli. Radzić trzeba, aby stary obyczaj polański nasz nie ustał, abyśmy się w Niemców i niewolników nie obrócili a w kneziowe sługi. Wszędy, gdzie mieszka mowa nasza, *słowo*, u Łużyczan²⁸³, u Dulebów²⁸⁴, Wilków, Chorbatów, Serbów, Mazów²⁸⁵, aż do Dunaju i za Dunaj biały, do siniego morza, w lasach i po górach... Kneziowie na wojnach dowodzą, ale po mirach gromada wybiera starszyznę, rządzi i sądzi, i ziemię rozdziela. Starostów i tysiączniki²⁸⁶ stanowi, mir trzyma, bezpieczeństwa strzeże. Chwostek się z Niemcy²⁸⁷ sprzega, chce ze stolba swego nam rozkazywać, nam, cośmy tam jego ród sami dla obrony posadzili. Wisza nam za to ubito, że śmiał wiec zwoływać!

Jęknęło kilku i głuche mruczenie słyszeć się dało po tłumie. Starce²⁸⁸ głowami trzęśli.

Aż z prawej strony czarno zarosły, średnich lat wstał mężczyzna, rękę trzymając za pasem. Oczy, które dotąd miał w ziemię wlepione, podniósł i potoczył nimi, jakby w gromadzie swoich szukał.

— Bez kneziów — odezwał się — nie obejdziemy się... Ładu nie będzie... Najdą na nas Niemcy, a choćby i Pomorcy, i Wilki, gdy im głód doje, a wściekły mi uczyni, kto będzie wówczas dowodził, rozkazywał i bronił? Czy kneź, czy król, jak go tam zwać, musi być... A pod nim my, choć jemu równi, żupany, bany, kmiecie i władcy... I pospolity gmin... I niewolniki nasze... Kneź musi być...

Zaczęto mruczeć, czarny mówił dalej:

— Że się z Niemcami braci²⁸⁹, a co złego, kiedy nam to pokój kupuje?

Mruczenie rosło coraz, aż zgłuszyło mówiącego, ale drudzy widocznie za nim obstawali.

— Kneź musi być — zawołał Boimir. — Ano... Będzie! Kto przeczy? Inaczej by się od Niemca nie ostało... Niosą się oni do nas z mieczem i z wiarą swą, z namowy i z groźby... A oręż mają dobry i siłę wielką... I swoich kneziów, co lud prowadzą jak parobek woły w plugu... Nie obronim się im, samopas idąc... Kneziów trzeba! Niech będą! Ale nie Chwostków, nie tego rodu Popiołowego, co już zapomniał, skąd wyszedł!

— Nie! Nie! — zawołano z jednej strony.

Ale z drugiej się burzyło. Niektórzy wstawali i oczyma się mierzyli, policzyć już było można tych, co szli za i przeciw. A z piersi buchało jedno „Nie!” przeciw drugiemu.

— Precz z Chwościskiem! — wołali niektórzy. — Precz z Chwostem!

Drudzy wrzawę podnosili, aby tamto wołanie zgłuszyć.

Całą gromadą siedzieli poza Boimirem rozrodzeni Mieszkowie, których Myskami i Myszkami zwano, bo wielu z nich to imię nosiło... Ci się podnieśli, najgłośniej wołając:

— Precz z nim!

— Nie co czynić zostało, tylko iść i to plugastwo w gnieździe wydusić! — krzyczeli.

— Lekko rzec — rzekł inny — a niełatwo tego dokazać. Daliśmy się im rozsiać, rozrodzić, zmóc²⁹⁰, uzbroić, powąchać z Niemcy, żony od nich potajemnie brać, namawiać się z nimi... Dziś, byle skinęli, bronić ich będą. Ziemię nam zniszczą gorzej od

²⁸³Łużycanie — plemię słowiańskie, które zamieszkiwało teren Dolnych Łużyc w dorzeczu Sprewy i Nysy Łużyckiej. [przypis edytorski]

²⁸⁴Dulebowie — plemię słowiańskie zamieszkujące Wołyń. [przypis edytorski]

²⁸⁵Mazowie — prawdopodobnie chodzi o plemię słowiańskie Mazowszan. [przypis edytorski]

²⁸⁶tysiącznik — dowódca stojący na czele tysiąca żołnierzy. [przypis edytorski]

²⁸⁷z Niemcy — dziś: z Niemcami. [przypis edytorski]

²⁸⁸starce — dziś: starcy. [przypis edytorski]

²⁸⁹braci się — dziś popr. forma 3.os.łp: brata się. [przypis edytorski]

²⁹⁰zmóc — wzmóc, wzmocnić. [przypis edytorski]

Niemiec, Przywódca

Kłótnia, Konflikt

Chwościka... Ludzi w niewolę nabiorą. Lepiej cierpieć swojego, co męczy, niż cudzego, co wypłeni nas, a sam posiadzie tę ziemię, na której popioły ojców leżą... Zamiast się rzucać nań, iść trzeba do Chwosta i powiedzieć mu w oczy...

— Iść! Żaden z nas stamtąd nie wróci! — krzyczeli Myszkowie. — Wszystkich pod grodem jak psów wywieszają... Słów on nie posłucha.

— A siły my na niego nie mamy — wołał Rudan — nie mamy...

— Siła się znajdzie, byle wola była — ozwał się stary, ubogo odziany Piast.

Potakiwali jedni, część wielka siedziała w milczeniu, głowy pospuszczawszy.

— Cóż zrobić? — pytali po cichu, patrząc sobie w oczy, mniej śmieli.

— Cierpieć — mówił Rudan. — Nie wieczny on, synowie będą lepsi.

— Na to ich właśnie Niemcy zaprawiają u siebie, polując z nimi na Serbów — wtrącił inny.

— Cześć! — wtrącił inny — aby nas po jednemu, jak Wisza, wybito, a dzieci porbrano na gród, a ziemię smrodom porozdawano...

Tak różne głosy odzywały się ze stron różnych, nie było zgody. Bliżej siebie siedzący gwarzyć poczęli i naradzać się po cichu, bo się lękali już zwolenników Chwostka, aby ich na sztych nie wydali... Z cichego szmeru rodził się swar i wrzawa, i gwar taki, że jedni drugich nie słyszeli.

Myszkowie wołali, aby na gród ciągnąć i wywracać wszystko, knezia się pozbyć i innego sobie obrać z między kmieci. Rudan i jego druhowie odradzali.

— Niemców, Pomorców, Wilków ino nie widać — mówili — a oni nam straszniejsi od Chwostka. Zaskłysz, że się sami między sobą drzemą, że głowy u nas nie stało, nalecą i kraj spustoszą... Siedzieliby cicho. Dawno na nas zęby ostrzą. My ludzie od roli i od gęśli, a oni od krwi i żelaza... Łatwo im nas zmóc... Oni stoją pod jednym wszyscy, a my i jednego nie możemy ścierpieć...

— Nieprawda — rzekł Boimir. — Cierpieliśmy, obrabialiśmy sami, słuchali i karmili, aż oszalał... Słyszeliście, co tam za biesiady krwawe wyprawia, jak swoich krewniaków dusi... Kmieciom już wielu dwory pozabierano, dziewczki, chłopców, dobytki... A gdzież nasza stara swoboda? Gdzie obyczaj dawny?

Spierano się tak ciągle, Myszkowie potrząsali obuchami nad głowy i, pięści ściskając, powtarzali:

— Iść na to gniazdo plugawe i wydusić...

— Iść! Iść! — huczano.

Niektórzy ruszali się z miejsc, jak gdyby natychmiast spełnić to chcieli, ale wielka część stała oporem.

Liczono się oczyma. Myszkowie przemagali; druhy więc kneziowie odsunęli się w ostrożnym milczeniu. Rudan pozostał z małą garstką, która, brody gryząc i oczyma rzucając, siedziała na ziemi milcząca, do niczego się mieszać nie chcąc. Pojedynczo przystępowali do nich niektórzy, usiłując przekonać, ale ci spojrzeć nie chcieli i mówić nie byli radzi.

Gwar i wrzawa nie ustawały, bo nie dosyć było powiedzieć: „Iść!” — trzeba było obmyślić, z kim, jak, kiedy, a gród Chwostków był warowny, wałem i częstokołem otoczony, oblany w części jeziorem, zaopatrzony ku obronie, w ludzi obfity. Na Niemców też skinąć stamtąd mogli, aby im w pomoc szli... A wówczas z Myszków i ich druhow nie zostałoby jednej głowy.

Słońce się podniosło wysoko, minęło południe, na uroczysku z poschłymi usty starszyzna radziła, nic nie mogąc uradzić ani się zgodzić na jedno. Wołanie było wielkie chwilami, tłum to się zbijał w jedną stronę, to w drugą ciskał, gromadząc około starszych, co głosy zabierali.

Opodał od horodyszczu czeladź stała z końmi, czekając; pasiono je, popętawszy na skraju łąki pod lasem. Młodzież, parobczaki na ziemi siedzieli i śmiechy a żarty między nimi słyszać było.

Do dębu, z którego dwoje oczów patrzyło, głosy dolatywały jak fale, to szybsze, to silniejsze, widać było, jak podnoszono ręce, grożono pięściami, rwano się i rozchodzono... Jeden to drugi stawał na wyższym brzegu wału, aby go lepiej słyszano i stamtąd mówił, gardłował, często na sobie suknię i koszulę rwąc... Groźne wyrazy aż tu dochodziły. Dwoje jasnych oczu ciągle patrzyło.

Parobcy, co na łące siedzieli, rozglądali się dokoła. Wtem jeden drugiego potrącił i rzekł:

— Zyrun! Patrz ino na stary dąb... Na stary dąb...

— A co w nim? Dziupła sroga...

— Nie widzisz? Pod dziuplą, hen, dwoje oczów w dziurach świeci... Jakby żbik patrzył na nas...

— Nie patrz! To czary... Dąb święty... Kto wie, jaki duch z niego patrzy... I co jego wzrok może?

— To nie duch, ino zwierz! Albo żywy człek zakłęty... Duchy się tak po dniu nie snują... — odezwał się pierwszy.

Wszystka czeladź oczy na dąb zwróciła, lecz większą część ogarnęła trwoga.

— Dąb stary... Święty... Co by tam w dziurze człek miał robić...

— To zwierz.

— Spłoszyć go! — krzyknął pierwszy. — Ślepie mu jeszcze świecą... Ja je widzę...

To mówiąc, chwycił łuk parobczak, naciągnął go i strzała świsnęła w powietrze... Padła w sam otwór dębu, gdzie świeciło oko, zachwiała się — i znikła... Z nią razem i oczy z dziupli patrzeć przestały. Człedź, strwożona, siedziała w milczeniu.

— Zwierzaś ubił lub skaleczył — zawołał Zyrun.

— Dobrze by choć skórę zedrzeć z niego — krzyknął, zrywając się, chłopak.

— A jeśli ranny tylko i żyw, to ci się z dziupli bronić będzie — poczęli drudzy.

Zapalczywy myśliwiec nie słuchał, poskoczył ku dębowi, chwyciwszy obuszek do pasa; drudzy się tylko przypatrywali. Jak kot począł się drapać na drzewo, przykładając doń ucha. Znak dał swoim, że coś w nim słyszy. Ostrożny jednak, nie wprost się do dziupli skierował. Kawał starej, grubej, nadłamanej gałęzi chwyciwszy nad nią, uwiesił się na niej i spojrzał w głąb. Patrzył długo, nic dojrzeć nie mogąc, choć coraz przybliżał głowę a oczy.

W środku, nakryty zabitym zwierzem, któremu strzałę w oko wbił, leżał liśćmi się cały zasypawszy mądry Znosek. Ręką tulił oko, z którego krew mu ciekła, bo w nim strzała uwięzła. Parobczak, nie widząc i nie słysząc, aby się co ruszało, ośmielił się wreszcie rękę do dziupli wpuścić i z okrzykiem radości dobył z niej żbika, którego oko głęboko było strzałą przeszyte. Wnet począł trząść zdobyczą, okazując go gromadzie, która się cała ku niemu rzuciła, oczom swym nie wierząc prawie. Otoczono dąb, a szczęśliwemu łowcy już w myśli nie było sięgnąć głębiej, gdzie ducha w siebie wciągnawszy, przyczajony leżał na pół martwy Znosek.

Ze żbikiem w rękę spuszczać się począł chłopak na ziemię, rzucił go potem ciekawym, którzy z rąk do rąk sobie podawać zaczęli. Strzała tkwiła wbita tak głęboko w ślepie, iż ten sam, co ją puścił, siły swej poznać nie mógł... Zwierz był już zimny, paszczkę miał rozdartą, ozór wywalony.

Jakoś to tak było niezrozumiałe, że żartowniś jeden począł dowodzić, iż parobczak zdychające tylko zwierzę dobił.

Hałas około dębu powstał tak wielki, iż stąd aż na horodyszcze dochodził. Obejrzała się starszyzna, której ubite z dała pokazano zwierzę. Rzucili się młodszy z kmieci pytać, a jeden z zapaleńszych, chwyciwszy żbika za kark, poniósł go, potrząsając nim jak wróżbą.

— Bogowie wieszczbę uczynili! — wołano. — Żbik siedział w dziupli zacajony, jeden parobczak, napatrzwszy zaledwie ślepie, go ubił... Tak siedzi w kamiennej dziupli Chwostek... I nasza strzała go tam dosięgnie! Bogowie wróżbę dają... Precz z Chwości-skiem!

Więc gromada cała, co z Myszkami była, wołać zaczęła:

— Łado! Kolado! Łado!

I cieszyli się, i w dłonie klaskali.

Inni milczeli... Wic znużony ustawał na siłach. Wtem na skraju lasu ujrzano starego ślepcę, którego małe prowadziło chłopię i oczy się ku niemu skierowały.

— Słowan! Bywaj! — zaczęto wołać. — Bywaj nam, stary, z pieśnią... Po dawnym zwyczaj...

Nasłuchując, zbliżał się ślepy gęslarz powoli, po gwarze mógł już poznać, że się zbliżał do horodyszcza. Wszyscy mu radzi byli, orzeźwieli, ujrawszy go, niósł ze sobą woń prastarych dziejów i czasów.

Podstęp

Śpiew, Poezja, Obyczaje

— Witaj, stary Słowanie!

Szedł w milczeniu, jak gdyby miejsce znał i pamiętał, wszedł przez wał, kijem sobie miejsce obmacał i usiadł na ziemi. Gęślę milczącą trzymał na kolanach i myślał...

— Spóźniłem się, spóźniłem — począł głosem złamanym, na pół śpiewnie. — Stare nogi źle już służą, drogi się powyciągały... A jaki by to był wiec bez wieszczka? A co by to za rada bez pamięci na stare dziadów zbory! Orłom lecieć lekko górą, ślimak się powoli wlecze... Powoli...

Uderzył po strunach, milczeli wszyscy... I śpiewał starzec powoli:

— Kiedy Lecha plemienia nie stało, nie stało... Swobody się ziemianom zachciało, zachciało... Zachciało się swobody bezpańskiej, wojewodów wybrali dwunastu... Krew to ze krwi wszak naszej, kość z kości... Bracia nasi rodzeni, ziemianie, niechaj nami rozrządzą, ład sprawią... O Łado! Niechaj ziemię szczęśliwą uczynią... O Łado... Wybrali ich, wybrali dwunastu... Cieszyli się, cieszyli niedługo. Brat rodzony wnet bratu był sługą... Co jednego nad sobą nie chcieli... Dwunastu ich wybrali i mieli... Dwunastu... O Łado, o Łado... Jeden z kadzi rad czerpał i głowę zalewając, pomiatał narodem... Drugi zbierał a dusił w komorze, co ubogim odebrał od gęby... Trzeci jeździł, wyglądał, gdzie dziewczki i córki im podbierał, miód z ula... O Łado! O Łado! I tak byli z dwunastu szczęśliwi, szczęśliwi, że posłali za morze z pokłonem... Oj, posłali, szukając wojaka, co by jeden nad wszystkim panował... „Kraku, panie a kneziu”, wołali, „chodź do ziemi, do naszej, rządz nami”. I spędzili dwunastu z ich grodów. Znowu kmieci zrobili z wojewodów... A jednego już Kraka słuchali. O Łado! O Łado!

Gdy się pieśń powolnie nucona skończyła, milczenie panowało; patrzali niektórzy na starca, nie wiedząc, co by to znaczyć miało...

— Toś i ty, Słowanie — rzekł mu jeden — Chwościka pokochał...

Starzec nastawił ucha.

— Pokochał?

Pokręcił głową, poczęły brzęczeć struny, dziwny staruszek począł śpiewać znowu tęskliwą nutą:

— Siedzi Chwostek na wieżycy... I patrzy z niej wkoło... Dobry pan... Gdzie się kurzy ze świetlicy, gdzie na polu się zieleni... Gdzie rżą stada... Sycą miody... Oko widzi, ręka zgarnia... Dobry pan! Siedzi Chwostek, patrzy z dala... Kmiecie mruczą, psy li wyją? Śle drużynę, milczeć, cicho... Lub na gałąź pójdzie lichy... Dobry pan... Pan wesoly, do biesiady rad zaprasza, rad ugości a nakarmi, a upoi, aż się ludziom na wiek wieka jeść odechce... I pacholki do jeziora niosą kmieci... Dobry pan. Siedzi Chwostek na wieżycy... Czy słyszycie, jak się śmieje, hen, daleko śmiech rozlega... Aż puścicją w lasach knieje... Aż po dworach lud truchleje... Dobry pan! Z Niemcem on się pocałuje, Niemiec dziewczkę da mu białą... A wy, kmiecie, mruczeć wara! Bo mu Niemiec da swe miecze i wskroś krnąbrnych wnet wysiecze. Dobry pan! Dobry pan!

Chórem za starym poczęto powtarzać: „Dobry pan...”, a dwie te pieśni razem z sobą złożone zasępiły czoła i jednym, i drugim... Słowan zamilkł, głowę spuścił, podparł się ręką na ziemi, na pół położył i śpiewać więcej nie chciał.

Powoli szeptać znowu poczęto, gwarzyć i naradzać się.

Słońce się zniżało, gdy starszyzna, widząc, iż na niczym spełnie wiec, rozeszła się gromadkami po horodyszczu; posiadali kołem, każdy ze swymi, i podano, co kto przyniósł z sobą do jedzenia i picia... Kołacz, zimne mięso, a w drewnianych i glinianych baryłkach miód, piwo i kwas²⁹¹...

Gęślarza wzięli między siebie Myszk, ugaszczając go; dano mu pierwszy kubek w ręce.

— Po staremu — rzekł — pierwsze się bogom należy. Łado!

I wylał napój na ziemię.

Po wtóre zlał jeszcze na ofiarę duchom uroczyska dobrym i złym, białym i czarnym, aby im nie przeszkadzały; po trzecie zlał duszom ojców, co niewidzialne przy radzie stały... Na małych skorupkach postawiono im obiady z białego chleba, a dopiero potem w milczeniu jeść i pić zaczęto.

Stary Słowan, mało co zjadłszy, napił się trochę i znowu się wziął do weselszej znajo-

Władza, Śpiew

Bóg, Duch, Jedzenie,
Obyczaje, Wierzenia,
Obrzędy

Muzyka, Śpiew

²⁹¹*kwas* — kwas chlebowy; typowy dla ludów słowiańskich napój, przyrządzany ze sfermentowanego chleba. [przypis edytorski]

mej pieśni starej. Tę zaledwie posłyszano, gdy chórem za nim odezwali się wszyscy, nawet czeladź z łąki wtórowała nieśmiało.

Nadeszła pieśni godzina, więc po tej następowały inne i coraz nowe, choć wszystkie do siebie podobne. Starzec potem już sam zaśpiewał starą znad Dunaju, z innych światów, kędy wino rosło, gdzie lwy się przechadzały, żyły smoki i żmije, fala morza biła o brzegi skaliste i słońce świeciło gorące. Wszyscy wzdychali za tym światem pieśni jak za swoim.

Noc była, gdy rady, ofiary, pieśni i wiec bezowocny się skończył. Powstawała starszyzna, jęli się żegnać wszyscy, ręce sobie dając a wzdychając.

Któż wie? Może do nowego wiecu myśli zebrać chciano?

Konie z pastwisk czeladź przyprowadzała, posiadali na nie i jechali gromadkami. Każdy w swą stronę. Zostało po cichu szepczących kilkunastu, kilku, potem nikogo. Uroczysko znów było puste i milczące. Gałęzi dębu wiatr wieczorny potrząsał i ptastwo krzyczało tylko na błotach. Gwiazdy zaczynały mrugać na niebie, lekki powiew wiatru od łąk szedł do rzeki.

Wtem w dziupli zaszeleściło, prychnęło, dwoje rąk chwyciło za kraj kory, głowa się podniosła nad nią i Znosek, z pokrwawioną twarzą, dobył się ze środka. Nogami i rękami objął pień, ześliznął się powoli na ziemię. Tu padł, wyciągnięty jak nieżywy... Dyszał ledwie, wyciągał długo ręce i nogi, jęczał.

Zaszeleściło wśród lasu... Drgnął cały; uciekać już nie czas było, po ciężkim chodzie powolnym poznał nowego nieprzyjaciela. Jak nieżywy legł, przyłgnięty twarzą do ziemi. Z zarośli powoli, wlokąc się niezgrabnie, wyszedł niedźwiedź. Nosem wodził po ziemi, jakby czego szukał. Słyszał było sapanie jego i mruczenie. Żółte oczy, pobłyskujące w ciemności, skierował ku Znoskowi, który ciągle jak martwy leżał... Ostrożnie gospodarz puszczy podszedł ku niemu i jak pies począł go wachać. Z lekka potrącił go łapą, zamruczał i poszedł dalej. Widać go było zdążającego na pole, krokiem ociężałym, podnoszącego czasem pysek i wietrzącego dokoła. Siadał spoczywać, lizał łapę i znowu włókł się leniwo dalej, gdzieś za żerem czy za przyjacielem, po którym zatęsknił.

Chłopak, ujrawszy go już w pólku, zerwał się na nogi i w las się rzucił szybko.

XI

Ranek był najśliczniejszej wiosny, której już nic z jej królewskich ozdób nie brakło. Najleniwsze dęby głuche stały poubierane w liście, pachniały brzozy, potrząsając długimi warkoczami; u stóp drzew, gdzie zajrzało tylko słońce, kwiatek się ku niemu uśmiechał. Na każdej gałęzi szczebiotał ptaszek, w każdym promieniu złota muszka igrała...

Cały ten świat, wody, lasy, ptaki, zwierzęta i muszki złote, i rybki srebrne żyły naówczas życiem jednym w dziwnej zgodzie i braterstwie. Strumień mruczał zrozumiałą mową, ptaki śpiewały pieśni dla ludzi, dziki zwierz bratał się czasem z człowiekiem, by mu służyć. Harmonia wielka panowała w tym świecie zaczarowanym, w którym wszystko składało się na jedną całość. Śmierć nawet przychodziła z uśmiechem, w porę i przeprowadzała do ojców na biesiadę wieczną.

Dwie kobiałki stały na ziemi, grzybów pełne, dziewcząt dwoje odpoczywało przy nich, rękami się objawszy... Siedziały i słuchały. Dziwa, zamyślona, z oczyma wlepionymi w las, dumiała.

— Co ty tak słuchasz, Dziwo? — pytała siostra.

— Srocza mi coś powiada... Słyszysz ty ją? Pyta się nas, czyśmy dużo uzbierały? Mówi, że na uroczysku w dolinie grzybów jest wiele... Chce nas odprowadzić do chaty...

I zamilkła chwilę.

— Mówi — ciągnęła dalej powoli — przyjadą swaty... Księżyc pan młody do ciebie...

— Do mnie, Dziwo?

— Tak... Do ciebie, Żyvia, bo ja swatów nie będę znała... W wianku chodzić będę zawsze, zawsze... I w wianku, w zielonym, pójdę do ojca i matki...

Srocza, w istocie, siedząc na gałęzi, kręciła głowę i jakby przedrzeźniała dziewczętą, ciągle coś dziewczynie pokrzykiwała.

Wtem z lasu nadleciał jastrząb z rozpuszczonymi skrzydłami, począł unosić się nad łączką, patrząc pod siebie, szukając czegoś na ziemi. Srocza zobaczyła go i krzyknęła, nawołując. Z krzaków odpowiedziały jej siostrę głosy, ze wszech stron poczęły się zlatywać

Rozczarowanie, Rozstanie

Szpieg, Las, Zwierzę,
Strach, Podstęp

Złoty wiek, Obraz świata

Ptak, Siła

pstre sroczki i gromadą poleciały straszyć, łajac, odpędzać jastrzębia. Przypadały prawie do niego, a gdy się zwrócił ku nim, pierzchały nagle całym stadem i wnet wracały znowu z wrzaskiem nowym. Jastrząb niósł się ciągle, to zniżając nad ziemię, to podnosząc w obłoki, nagle się puścił jak kula i padł na ziemię, a w tejże chwili stado całe spadło nań, dziobami chwytając prawie; posypały się pióra... Kobuz wyrwał się, uleciał w górę i zniknął. Sroki pociągnęły za nim z wrzaskiem.

Dziwa westchnęła.

Z dała odezwała się kukulka — raz, drugi i uciekła.

Dziewczęta zamyśliły, kiedy Żyvia za mąż pójdzie.

— Kuj, kukulko — prosiły.

Odezwała się trzy razy... Trzy lata czy trzy miesiące? Któż to wiedzieć może...

Żyvia ze śmiechem zapytała o Dziwę. Kukulka bliżej podleciała, rozśmiała się tylko jakoś dziwnie, poznały ją przecie po pierzu, ale wróżyć nie chciała.

Dziewczęta siedziały zamyślane. Żyvia kwiatki rwać zaczęła i wianuszek pleść dla siostry. Ale kwiatki niedobre się pod rękę nawijały i końce rwały, i nie chciały się pleść w wianuszek.

Siedziały nieopodal od zagrody, były więc bezpieczne. Nazajutrz miały iść do ogniów, na Kupalę. Żyvia się cieszyła, Dziwie nie chciało się iść z drugimi... Smutno jej było.

Wtem, wśród ciszy, gdy muszki brzęczały tylko i pszczoły, las z dała zatętniał. Spojrzali po sobie.

— Czy Ludek pojechał na łowy... Czy to Ludkowe psy słyszą?

— Ludek w domu, koło stada...

Porwały za koszyki, obejrzały się dokoła i ostrożnie w gąszcz pierzchnęły... Ale cicho było znowu w lesie, ni psów, ni ludzi nie słyszą.

Żyvia główkę z gąszczy podniósłszy, patrzyła na polankę i słuchała, psy gdzieś daleko zwierza pogoniły i cicho. Dzieciół kuje drzewo... Nic więcej.

Wróciły na trawę, na słońce.

Z dała jakby śpiewanie słysząc było, ale ochryple i smętne.

— To Jaruha — ozwała się Dziwa.

— Gdzież się to ona tędy wlecze?

Zamilkły. Z krzaków na polankę wysunęła się stara baba o kiju, z garnuszkiem na sznurku u pasa, z torbą na plecach, w płachcie na głowie.

Rękę przyłożyła do czoła i patrzyła ku nim, potem pociągnęła powietrze, jakby coś poczuła w bliskości, i oczyma dokoła rzucając, zobaczyła dziewczęta. Podniosła ręce z ki-jem do góry i plasnęła.

— Dzień dobry! — zawołała.

— Gdzie to się wleciesz, Jaruho? — spytała Żyvia.

Baba iść ku nim zaczęła.

— A na Kupalę! Jutro Kupalę! Ho! Ho! Chłopcy się popiją, poszaleją, to mnie może wezmą za młodą dziewczynę, a niektóry pocałuje!

Baba podskoczyła, śmiejąc się, podeszła ku dziewczętom i usiadła przy nich na ziemi.

— Chcecie, bym wam wróżyła? — spytała.

Siostry obie milczały, baba im po twarzach patrzyła.

— Z takich liczek wróżyć łatwo — mówiła, śmiejąc się dziwnie i przekręcając głowę. — O! O! Śliczneż lica, kwitną jak lilije... I jam też je kiedyś miała, takie białe i różowe... Słońce lilije popaliło, deszcze krasę popłukały... A nie deszcze, lzy to były... Łzy!

I kiwała głową, wyciągając rękę ku Dziwie.

— Daj no dłoń, powróżę.

Niechętnie wyciągnęła ku niej rękę dziewczyna. Jaruha pilnie wpatrywać się w nią zaczęła.

— Dłoń to biała, nienamulona... Wielka bieda z taką dłonią, tysiąc chłopców sięgnie po nią... A królewna żadnego nie zechce...

Zapatrzyła się w rękę.

— Pójdiesz jutro na Kupalę?

— Pójdę — odezwała się Dziwa.

Ptak, Małżeństwo, Kobieta,
Wierzenia

Kobieta, Starość, Młodość,
Święto, Wróżba

— Nie idź! Mówię ci, nie idź lepiej... Jak pójdziesz, krew się poleje...

Dziwa zbladła.

— Jaruho — odezwała się — po co mnie straszysz? Wiesz, że w domu zostać nie mogę... A tobie dawno się w głowie przewróciło, sama nie wiesz, co mówisz.

— A któż to wie, co mówi? — szepnęła Jaruha. — Coś szepcze w ucho i językiem obraca. Albo ja wiem, kto i co? Choćbym usta zamknąć chciała, męczy mnie i mówić każe... Coś się snuje przed oczyma, coś po sercu załaskocze... Baba plecie, sama nie wie co... A musi! Nie idź ty na Kupale!

Dziwa się rozśmiała.

— A ja tobie nie radzę, Jaruho! Ty wiesz, jak cię szarpią, prześladują, co się z ciebie naśmiewają, co nadokuczają...

— Ja się tego nie boję — odezwała się stara. — Jak ognie pogasną, jak się ciemno zrobi... Hej! Hej! To mnie który pocałuje i uściśnie... Młode lata się przypomną...

— Cóżes ty w młode lata robiła? — zapytała Żywia.

— Ja? Ja? Nie wiesz? — odezwała się Jaruha. — Hej! Hej! Porwał mnie królewicz... Zaprowadził do gmachu, co miał ściany ze złota... W ogrodzie rosła jabłoń, co rodziła jabłka wonne... U stóp jej ciekła żywiąca krynica... Siedem lat królowałam, siedem lat śpiewałam pieśni, splatałam i rozplatałam kosy, wszystko mi służyło... Potem zrobiło się ciemno i ja w lachmanach, o kiju, znalazłam się w puszczy... Krucy mi w głowę pukali i oczów szukali... Hej! Hej!

Zamilkła i wracając do swego, odezwała się znowu:

— A ty, Dziwo, nie idź na Kupale!

Uśmiechnęło się dziewczę, Żywia swoją jej dłoń podała. Jaruha głową potrząsała.

— Rodzone dwie dłonie, siostrzyne... — poczęła, mruczac — a dole, a dole! Gdzie jednej do drugiej!

— Któż z nas być byś chciała? — spytała Żywia.

— Ani jedną, ni drugą — śmiejąc się, rzekła stara. — Znowu żyć, znowu płakać, znowu młodość nosić, aby stracić! O! Nie! Nie! Ani białej, ani czarnej, ani żadnej nie chcę doli... Miodu ja kubeczek wolę, a potem sen słodki, sen złoty, a choćby się już nie budzić... W kubku miodu szczęścia tyle, ile go już na całym świecie nie ma... A ty, nie idź na Kupale...

Dziewczęta z na pół oszalałej staruszki śmiać się poczęły. Jaruha śmiała się z nimi.

Wzięła znowu zwieszoną dłoń dziewczęcia i patrzyła w nią.

— Rozmłówał się w tobie strasznie — szeptała.

— Kto?

— Nie wiem! Ktoś! Ładny chłop, młody, bogaty... Ej! Nie idź na Kupale...

— Ale z nami bracia i rodzina będzie... Cóż się nam tam stać może? — zawołała Żywia.

— Albo ja wiem? Na Kupale bywają dziwy! Czasem bracia się pobijają, a czasem nieznajomi pobiorą... Na Kupale dziwy bywają... Szkoda, że raz do roku taka nocka bywa! Oj! Oj! Ja bym cały rok pieśni śpiewała, miód piła i przez ogień skakała...

Jaruha, mówiąc, rozwinęła swoją sakwę i poczęła w niej szukać czegoś. Było tam mnóstwo w płachty powiązanych ziół, kamyków, nasion i korzonków. Baba się знаła na chorobach i lekach, zamawiała, odczyniała, wiązała i rozwiązywała... Tym razem jednak nie szukała lekarstwa, miała jeszcze kawałek suchego kołacza; znalazła go, przyprószony był pyłem, otrząsała, opatrzyła i z koszyka grzybów od dziewcząt wzięła sobie syrojeżkę²⁹², zaczynając się posilać w milczeniu.

Dziwa koszyk jej podsunęła.

Jaruha jadła chciwie.

— Chodź z nami do chaty, cieplej strawy ci damy.

— Nie mogę — zamruczała stara — nogi bolą, a na pole, gdzie ognie nasze palić się będą i gdzie moje chłopcy przyjdą, daleko... Daleko... W biały dzień, to nic, ale nocka iść, a z głodnym się wilkiem spotkać, albo gorzej, z wilkołakiem...

Pokręciła głową.

— A na Kupale ja muszę być... Raz do roku młodość mi powraca... Tak na to długo

Słowo, Szaleństwo

Święto

Święto, Młodość

²⁹²syrojeżka — surojadka; gatunek grzyba. [przypis edytorski]

czekać trzeba...

Zaczęła coś nucić i przerwała. Syrojeżki wybrawszy z koszyka, otarła usta i uśmiechnęła się do dziewcząt.

— Dobrzeście mnie posiliły...

Gdy to mówiła, niespokojnym okiem rzuciła wkoło nagle.

— Kogoś czuję, obcy jakiś!

Jak zwierz wietrzyć poczęła i oczy obracać. W istocie o kilka kroków od nich stał, z zakrwawionym okiem i głową, wychodzący z lasu Znosek. Na widok jego dziewczęta się przestraszone porwały, Jaruha popatrzyła tylko.

— E! — rzekła. — Nie macie się czego bać... To znajomy! Ale gdzieś musiał po miodzie przez las wędrować, gałąź mu oko wybiła i głowę sobie pokrwawił.

— Jaruho! — krzyknął z dala karzeł. — Ratuj mnie a daj ziele.

Widząc pokaleczonego, dziewczęta, zamiast uciekać, przystały, trochę za drzewo się zasunawszy.

— Chodź tu, zobaczmy... — mruzczała stara.

Znosek się zwłókł, ręką wciąż trzymając oko, a raczej miejsce, z którego ono wypłynęło; doszedł tylko do drzewa, przy którym siedziała stara, i padł na ziemię.

Zapominając o wszystkim, Jaruha ręce wyciągnęła ku jego głowie i poczęła ją macać.

— A coś to się ze żbikiem całował? — zapytała. — Po co ci było takiego przyjaciela szukać?

Ręką podniosła mu brodę do góry i odsłoniła oko.

— A oko... Oko ci strzałą wybito! Człowiecze! — krzyknęła. — Gdzieś ty był na biesiadzie! Dobrzeż cię tam przyjmowali! Popamiętasz całe życie...

Zaczęła się śmiać dziwnie i poszła znowu do worka po zioła.

Żywią, ulitowawszy się, chwyciła biały swój fartuszek i spojrzawszy na starą, oddała z niego pas, aby mu było czym obwiązać głowę. Podała go, milcząc, starej.

Jaruha wzięła płótno w ręce i ziele narwała tuż przy sobie, ale się ociągała z poratowaniem biedaka, który ręką wciąż oko tulił i zęby ścinając, syczał.

— Juści to i wilka kulawego, gdy poprosi, trzeba ratować — rzekła cicho. — Ty, Znosku, nie wart tego, aby ciebie żywiono, boś ty dużo namorzył ludzi... Ano! Kto wie, żbik cię może poprawi... Ustatkuj się, chłopcze, weź mnie za żonę, pójdziemy razem na bocianie gniazdo i będziemy gospodarowali. Ty mi będziesz żabki zielone nosił, ja ci będę klekotała...

Jaruha się śmiała, ale trawą i liśćmi okładała mu głowę i białym płótnem wiązała ją powoli.

— Mówże ty, gdzieś bywał? I co ci żbik zawinił?

Syknął tylko Znosek.

— Z tego oka nic nie będzie — rzekł.

— Darmo o nim i nie myśl, bo go nie ma — rzekła Jaruha — a nowe wstawić trudno. Od wody żywiącej odrasta, ale jak tu trafić do niej? Żmij siedzi na straży... Smok lata nad nią... Siedem lat trzeba iść do niej, siedem się spinać na górę...

Żywią litościwa, widząc, że drżące ręce starej Jaruhy płachty nie potrafią zawiązać, przysunęła się do Znoska i zręcznie obmotała mu głowę. Jedyne pozostałe oko podniósł ku niej, ale w nim jeszcze więcej złości było i gniewu niż wdzięczności.

— Ja ci ból odczynię — rzekła Jaruha — ale musisz się przyznać, gdzieś bywał... Juści, kto może u knezia pod stołem się wylegiwać, z dobrej woli w las nie idzie.

Dziewczęta zaledwie posłyszały o kneziu, pierzchnęły obie, dosyć było tego imienia, aby je spłoszyć. Porwały za koszyki i uciekły. Stara popatrzyła za nimi tylko i zwróciła się do Znoska.

— Teraz mów — rzekła — gdzieś to się tak podrapał?

— Chodziłem po lesie... Zobaczyłem dziuplę...

— Miodu ci się zachciało!

— Żbik w niej siedział...

— A strzałę w oko kto ci posłał?

Znoska przypomnienie tej rany wściekłym uczyniło. Podniósł obie pięści.

— Nie daruję, póki jednemu z nich oka ze łba nie wyszę — zawołał. — Kneź mnie pożałuje...

— Tyś pewnie na wiecu bywał... — śmiejąc się, zawołała stara i w ręce płaśnęła. — Już wiem! Dąb tam stoi dziuplasty, wygniły pod uroczyskiem Żmijowym... Zakradłeś się podpatrywać... I tam cię kmięcia strzała spotkała...

Znosek ani się chciał zapierać, ani myślał tać, spuścił głowę i zgrzytał zębami.

— A takie miałeś czarne oko! Niczego wcale — zawołała Jaruha — szkoda! Ano, powiedz ty mnie po prawdzie, czyś ty kiedy młodym był? Czy cię matka od razu starym urodziła?

To mówiąc, wstała Jaruha.

— Ból mi odczyń — mruknął Znosek.

— Nie mogę... Nie mogę... — odparła stara. — Dopiero po Kupale godzi się odczyniać... A do tego żbik i ludzka strzała... Jakiego na to ziela trzeba... I oko! Ho! Ho! Gdybyś mi nie wiem co dawał, za mało by było za moją pracę... Gdybym ci ból odczyniła, sama bym go wziąć musiała, bo tu nie ma ani źródła, ani kamienia, ani drzewa, gdzie by się zostało... A mnie trzeba na Kupale... Na Kupale...

I śpiewając o Kupale, Jaruha rzuciła Znoska, a sama w las dalej ciągnęła. Karzeł legł na łące i w trawach złożywszy głowę, usnął...

Choroba, Wierzenia

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z *Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur*.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na *Licencji Wolnej Sztuki 1.3*. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w *Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur*. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/stara-basn-tom-pierwszy>

Tekst opracowany na podstawie: Józef Ignacy Kraszewski, *Stara baśń*: powieść z IX wieku, tom I, Spółka Wydaw. Księgarzy w Warszawie Gebethner i Wolff: M. Glücksberg [etc.], Kraków 1876

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Reprodukacja cyfrowa wykonana przez Bibliotekę Narodową z egzemplarza pochodzącego ze zbiorów BN.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aleksandra Sekuła, Aleksandra Żurek, Marta Niedziałkowska.

ISBN 978-83-288-0458-6

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: szczegóły na stronie Fundacji.